



ROZSTRZELAĆ
POLSKOŚĆ
OPERACJA NKWD
Z LAT 1937-1938

KOPERNIK
- OBŁICZE
GENIUSZA

W GARNITURZE PRZEZ ATLANTYK

Nr 03-04 (118-119)
MARZEC-KWIECIEŃ 2023
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

W SIECI

HISTORIA

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE



JAK ZGINEŁA RODZINA ULMÓW

ZBRODNIA I ŚWIĘTOŚĆ

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803



epi.sasa.pl 730191e250

NAJTANIEJ



I Z PREZENTEM!

**ROCZNA
PRENUMERATA
PAKIETU:**

tygodnik **SIECI**
+ magazyn **W SIECI HISTORII**
ponad **38% taniej**
i zawsze z atrakcyjną
książką w prezencie



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

DARMOWA DOSTAWA PRENUMERATY WPROST DO TWOJEJ SKRZYNKI

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

HISTORYCZNE I CYWILIZACYJNE WYZWANIA

Niezwyczajnie ciekawym źródłem przybliżającym nam wiedzę o PRL-u jest dziennik („Pro memoria”) prowadzony przez ponad 30 lat przez Prymasa Tysiąclecia. Kardynał poruszał wszystkie tematy, którymi żyli ówcześni mieszkańcy Polski Ludowej. W 1968 r. jednym z tych tematów była akcja antysyjonistyczna, prowadzona przez ekipę Gomułki, która doprowadziła do wyjazdu w latach 1968–1971 ponad 13 tys. Żydów, w tym komunistów, funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, w skrócie ciemężycieli Polaków. Oczywiście czystka objęła także porządných ludzi (sam pamiętam takie osoby, przyjaźniące się z moją matką, która pracowała wówczas w ZAiKS-ie). Stali się ofiarami czystki z intratnych posad przeprowadzonej de facto przez aparat, by pościć opróżnione stanowiska partyjno-państwowe.

Skutkiem ubocznym, ale najboleśniejszym, było oskarżenie Polaków przez wyjeżdżających Żydów o antysemityzm. Prymas zachował w „Pro memoria” notatkę z rozmowy ze swoim delegatem ds. Polonii, rezydującym w Rzymie przy kościele św. Stanisława, późniejszym kard. Władysławem Rubinem: „Sprawa »antysemityzmu« w Polsce. – Ponieważ w tej sprawie pisano do Sekretariatu Stanu z różnych stron, Arcbp Benelli prosił Bpa Rubina o informację. Otrzymał wyjaśnienie w liście, którego odpis Bp Rubin mi składa. Odpowiedź pokrywa się z moją opinią na temat: a) w Polsce obecnie nie ma narodowego czy też społecznego ruchu antysemickiego, bo nie ma zagrożenia, jakie miało miejsce przed wojną; b) natomiast w łonie Partii toczą się spory, których ofiarą padają Żydzi z aparatu administracji państwowej i partyjnej, w którym było ich dość dużo; wskutek tego pewna kategoria Żydów opuszcza Polskę; c) społeczeństwo polskie przyjmuje to z ulgą, jakkolwiek nie żywi do Żydów nienawiści, owszem, spieszy im z pomocą”. Notatka składała się zatem z dwóch części: w pierwszej sygnalizowano kwestię donosów na Polskę katolicką, które wymuszały ze strony Epi-

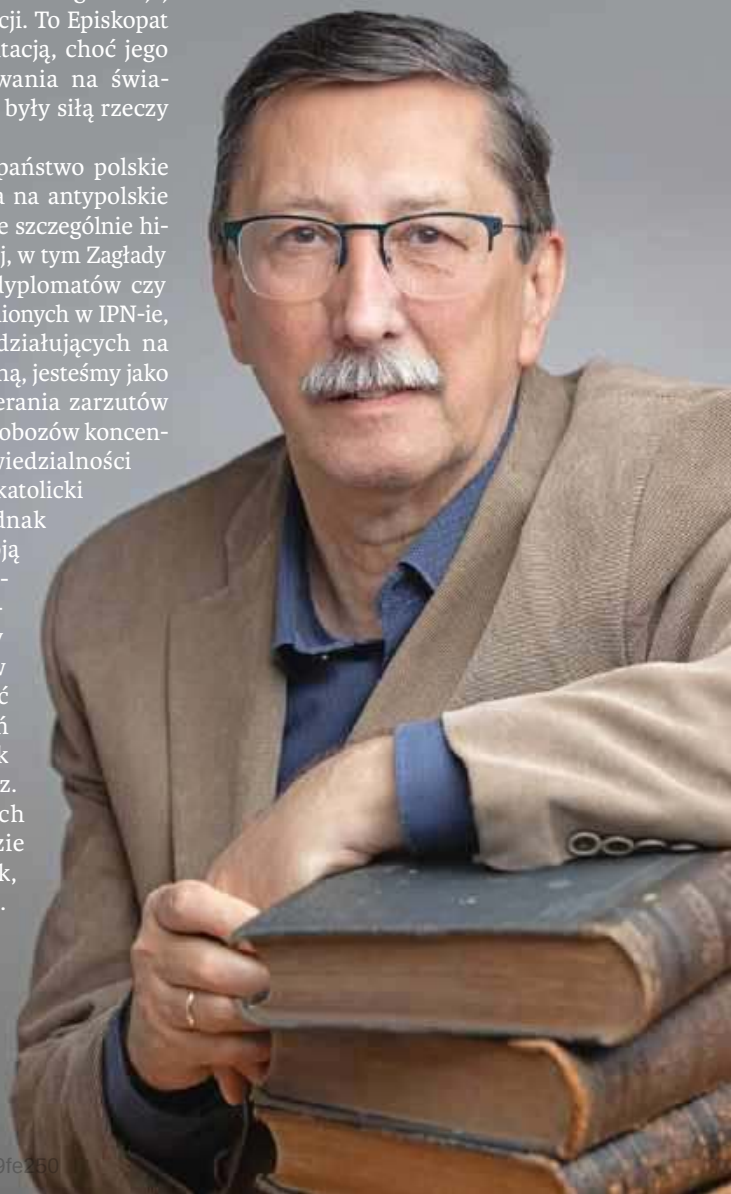
skopatu Polski dyplomatyczną reakcję wobec Stolicy Apostolskiej; druga część opisywała strategię odpowiedzi, której należało udzielać w związku z antypolską nagonką. Nie wiemy, czy list bp. Rubina został skierowany przez delegata prymasa ds. emigracji w głąb wychodźstwa polskiego, do parafii i Misji Katolickich rozsianych po całym świecie. Można przypuszczać, że tak właśnie było. Jaki stąd wniosek? Kościół w Polsce dbał o to, jako rzeczywisty zbiorowy głos Polaków, by zło czynione przez komunistów nie obciążało narodu pozbawionego swojej suwerennej reprezentacji. To Episkopat Polski był tą reprezentacją, choć jego możliwości oddziaływania na światową opinię publiczną były siłą rzeczy ograniczone.

Dziś to suwerenne państwo polskie podjęło się reagowania na antypolskie wypowiedzi, dotyczące szczególnie historii II wojny światowej, w tym Zagłady Żydów. Dzięki pracy dyplomatów czy historyków, np. zatrudnionych w IPN-ie, oraz publicystów, oddziałujących na krajową opinię publiczną, jesteśmy jako naród zdolni do odpięrania zarzutów dotyczących „polskich obozów koncentracyjnych” czy „odpowiedzialności za Holocaust”. Kościół katolicki w Polsce uczy nas jednak dalej, wypełniając swoją misję. Informacja o zakończeniu procesu be-atyfikacyjnego rodziny Wiktorii i Józefa Ulmów oraz ich dzieci skłaniać może do wielu pytań tak historycznych, jak i dotyczących tu i teraz. Jedną z wyniesionych na ołtarze osób będzie nienarodzony człowiek, będący w łonie matki. Nienarodzone dzieci, niewinne jak nikt z żyjących samodzielnie, szły i nadal idą milionami do nieba. One wszyst-

kie są jak męczennicy z Markowej, choć sprawcami ich śmierci są nie tylko ludzie, lecz przede wszystkim cywilizacja śmierci – jak ją nazwie Jan Paweł II, profilująca sumienie zbiorowe gdzie indziej niż w czasach Wiktorii i Józefa.

Nie ma już PRL-u, ale na szczęście jest jeszcze Kościół katolicki i są jego błogosławieni oraz święci.

JAN ŻARYN



HISTORII

40

ZBLIŻAJĄCA SIĘ BEATYFIKACJA RODZINY ULMÓW TO CZAS, BY SKUTECZNIEJ OPOWIEDZIEĆ ŚWIATU O POLAKACH RATUJĄCYCH ŻYDÓW I O ZBRODNICZEJ NIEMIECKIEJ OKUPACJI

- WSKAZUJE KAROL NAWROCKI

54

„OPERACJA POLSKA” WESZŁA W ŻYCIE ROZKAZEM 00485 NIKOŁAJA JEŻOWA Z 11 SIERPNIA 1937 r. SPOŚRÓD 1,2 MLN POLAKÓW AŻ 149 TYS. ARESZTOWANO, A ROZSTRZELANO 111 TYS.

- PRZYPOMINA MANUEL FERRERAS-TASCÓN

3 GŁOS NACZELNEGO

JAN ŻARYN

6 CO BYŁO, CO BĘDZIE

PIOTR MAZUREK

UKRAIŃSKO-POLSKA HISTORIA WSPÓLNA I OSOBN

10 NIEPODLEGŁOŚĆ W CINI MOSKWY

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

FELIETONY

9 WIELKI KANCLERZ, WIELKI PRYMAS

GRZEGORZ GÓRNY

65 1965 – FERDINAND MARCOS PO RAZ PIERWSZY PRZEDSIĘDZIECIEM FILIPIN

PAWEŁ SKIBIŃSKI

80 TULĄCZKA PRZEZ POŁ ŚWIATA

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

81 SILVA RERUM

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

85 ROS-IMPERIUM

ANTONI DUDEK

85 Z WOŁYNIA DO KOREI...

RYSZARD CZARNECKI

86 IRENA SIŁA-NOWICKA. „BILLEWICZÓWNA” Z BERESTECZKA

ARTUR KUBAJ

88 JESZCZE O CNOCE NACJONALIZMU

MAREK JUREK

TEMAT MIESIĄCA

12 O SZKOLNICTWIE JEZUICKIM

ARTUR GÓRECKI

16 DUMNY Z BYCIA POLAKIEM!

Z DR. TOMASZEM RZYMKOWSKIM
ROZMAWIA MAŁGORZATA ŻARYN

19 DZIAŁALNOŚĆ EDUKACYJNA I POZYTYWISTYCZNA AUGUSTA HR. CIESZKOWSKIEGO

MACIEJ GŁOGER

22 „SŁUŻYĆ BOGU, SŁUŻĄC OJCZYZNIE, SŁUŻYĆ OJCZYZNIE, SŁUŻĄC BOGU”

ROBERT GAWĘŁ

25 MAŁOMIASTECZKOWA KINDERSZTUBA SPRZED POŁWIECZA

ALEKSANDER NAŁASKOWSKI



WEHIKUŁ CZASU

28 MARZEC, KWIECIEŃ

MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

32 KONFEDERACJA GENERALNA WARSZAWSKA AKTEM TOLERANCJI WYZNANIOWEJ

JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

34 MAZOWIECKA SZKOŁA FORTYFIKACJI GRODOWEJ

RAFAŁ KIERZKOWSKI

DUSZA KONTUSZA

36 POD SZTANDARAMI ŚW. JACKA

HENRYK LITWIN

39 LUDZIE I ZWIERZĘTA W ŚREDNIOWIECZU

MAREK BARAŃSKI

IPN

40 UKARANE CZŁOWIECZEŃSTWO: BŁOGOSŁAWIONA RODZINA ULMÓW

PRACA ZBIOROWA

ZIEMIAŃSTWO

48 OLIZAROWIE Z KOROSTESZOWA POD ŻYTOMIERZEM

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

DAWNO TEMU

51 Z UKRAINY NA KAUKAZ

KS. JÓZEF MANDZIUK

72 W 550-LECIE URODZIN GENIALNEGO ASTRONOMA WRACAMY DO KWESTII PRAWDZIWEGO WIZERUNKU MIKOŁAJA KOPERNIKA I JEDNOCZEŚNIE JEGO OSOBY ORAZ DOKONAĆ JAKO SYMBOLI POLSKIEJ NAUKI – PISZE JERZY MIZIOŁEK

ZDARZYŁO SIĘ

54 ROZSTRZELAĆ POLSKOŚĆ. „OPERACJA POLSKA” NKWD Z LAT 1937-1938

MANUEL
FERRERAS-TASCÓN



57 ODWECIARZE – ŻOŁNIERZE I KONSPIRATORZY „JĘDRUSIA”

MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

59 CYRYLA I METODEGO 4

MACIEJ KĘDZIOREK

62 ARCYBISKUP BRONISŁAW DĄBROWSKI – KLUCZOWA POSTAĆ EPISKOPATU POLSKI W OKRESIE PRL

RAFAŁ ŁATKA



PRASPORT

66 PIŁKARSKIE POTYCZKI Z LWP

GRZEGORZ MAJCHRZAK

HISTORIA MUZYKI

70 OD OPOŁA DO JAROCINA

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

PEŁNA KULTURA

72 KOPERNIK – OBŁICZE GENIUSZA

JERZY MIZIOŁEK



77 NIE TACY INNI, CZYLI O DZIECIŃSTWIE I MŁODOŚCI MINIONEGO WIEKU

KLARA SAKIEWICZ



82 W KRĘGU KLIO

RAFAŁ ŁATKA

84 ŁATKI NA KLIO

ROZMOWA Z PROF.
MIROSLAWEM SZUMIŁO



DIABEŁ NIE MÓGŁ

90 LA PRINCESSE PRINTANIÈRE

JOANNA PUCHALSKA



SZLACHETNE ZDROWIE

92 Z JEDZENIEM NA BAKIER

KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

94 PANCERNIKI TYPU KONGO – POCZĄTEK NOWOCZESNEJ JAPONSKIEJ FLOTY

KACPER GROCHOCKI



Z FOTOTEKI IPN

95 „PIERWSZY KRZYŻ KATYŃSKI”

ROBERT SZCZEŚNIAK

96 HISTORIA OKŁADKI

MICHAŁ KORSUN



NAC PREZENTUJE

98 W GARNITURZE PRZEZ ATLANTYK

ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

99 DRUH „MOTEK” – HARCERZ I ŻEGLARZ

MICHAŁ TOMASZ WÓJCIC





Premiera „Panny Opętanej”

30 stycznia w Kinie Kultura w Warszawie odbył się wieczór upamiętniający 160. rocznicę powstania styczniowego, podczas którego miała miejsce premiera filmu opowiadającego o losach Anny Henryki Pustowójtówny pt. „Panna Opętana” w reżyserii Macieja Pawlickiego. Wydarzenie zorganizowane zostało przez Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, Biuro „Niepodległa”, pełnomocnika ministra kultury i dziedzictwa narodowego ds. obchodów 160. rocznicy powstania styczniowego oraz Multimedia. Spotkanie składało się z dwóch części. Pierwsza z nich stanowiła dyskusję na temat kobiet w powstaniu styczniowym, którą poprowadziła Miłka Skalska, a wzięli w niej udział prof. Jolanta Załęczny, prof. Jolanta Sikorska-Kulesza oraz Wojciech Kalwat. Później uczestnicy mieli okazję obejrzeć premierowo najnowszy film Macieja Pawlickiego. Obraz „Panna Opętana” opowiada historię legendarnej bohaterki powstania styczniowego, która pod pseudonimem Michał Smok wzięła udział w bitwach pod Małogoszczem, Piaskową Skałą, Chrobrzem i Grochowskimi. Akcja produkcji toczy się jednak przed wybuchem walk narodo-

wowyzwoleńczych, w bardzo ważnym momencie kształtowania się patriotycznej tożsamości bohaterki. Produkcja pokazuje więc drogę młodej dziewczyny, córki Rosjanina i Polki, dorastającej w niezwykle trudnych czasach i stawiającej czoło niecodziennym wyborom, które ostatecznie uczyniły ją bohaterką powszechnej patriotycznej wyobraźni. „Oczywiście główny powód powstania tego filmu to 160. rocznica powstania styczniowego i z tej perspektywy chcę powiedzieć, że nie jest przypadkiem, że kierowany przeze mnie Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej zdecydował się wesprzeć ten film, bo współpatroni tego Instytutu, czyli Ignacy Jan Paderewski i Roman Dmowski, to jest to pokolenie niepokornych, które odzyskało dla Polski niepodległość w 1918 r. Ludzie tego pokolenia, choć nam się czasem wydaje, że byli odlegli od insurekcyjistów, de facto rodzili się i wychowali w duchu pamięci o tamtych bohaterach” – powiedział w trakcie wydarzenia dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn. Powstanie filmu dofinansowano ze środków Funduszu Patriotycznego, którego operatorem jest Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej oraz „Niepodległej”. ■

Dziewięć nowych obiektów na liście Pomników Historii

3 lutego w pałacu prezydenckim odbyła się uroczystość wpisania przez prezydenta RP Andrzeja Dudę dziewięciu nowych obiektów na listę Pomników Historii. Do tego szczególnego grona zabytków dołączyły: klasztor św. Onufrego w Jabłecznej, kościół parafialny pw. św. Jakuba Apostoła w Małujowicach, zespół architektoniczny i urbanistyczny dzielnicy Nowa Huta w Krakowie, zespół kolegiaty pw. św. Marcina Biskupa w Opatowie, zespół klasztorny Bernardynów w Radomiu, Sanktuarium Matki Pokoju w Stoczku Klasztornym, klasztor męski Zwiastowania NMP w Supraślu, zespół archikolegiaty pw.

Najświętszej Maryi Panny i św. Aleksego w Tumie oraz gmach dawnego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie. W trakcie ceremonii wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński podkreślał: „To jest fakt jednak bez precedensu, że w ciągu siedmiu lat od roku 2016, gdy mieliśmy ok. 60 Pomników Historii w Polsce, w tej chwili doczekaliśmy się – i to bez pójścia na skróty, bez jakichś szczególnych ułatwień, czyli poprzez normalną procedurę poważną, państwową – 123 Pomników Historii. To jest naprawdę piękna wiadomość i będziemy da-

lej tę ofensywę prowadzili dzięki panu prezydentowi, także dzięki naszym ekspertom, ale przede wszystkim może dzięki inicjatywom oddolnym”. Pomnik Historii to jedna z pięciu form ochrony zabytków wymienionych w ustawie o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami z 2003 r. Terminem tym określa się zabytek nieruchomy o szczególnym znaczeniu dla kultury naszego kraju. Rangę Pomnika Historii podkreśla fakt, że jest on ustanawiany przez prezydenta RP specjalnym rozporządzeniem na wniosek ministra kultury i dziedzictwa narodowego. ■



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wernisaż wystawy „Twarze Powstania Styczniowego”

2 lutego odbył się wernisaż wystawy „Twarze Powstania Styczniowego”, przygotowanej przez Muzeum Historii Polski, który zainaugurował działalność galerii Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Okno na kulturę” przy Krakowskim Przedmieściu 17 w Warszawie. „Ta wystawa przedstawia powstanie styczniowe poprzez indywidualne losy. Dzięki temu przybliżyła nas do tego, co w pamięci jest najważniejsze. Pamiętamy o tych trudnych wyborach, o tych, którzy byli gotowi poświęcić swoje życie dla wspólnoty. Współcześnie takich wyborów chcemy unikać. Jednak życie, zwłaszcza w ostatnim roku, zmusza nas, aby wracać do tego, co jest podstawowe dla funkcjonowania wspólnot narodowych” – powiedział podczas wydarzenia wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. Szef resortu kultury zaznaczył, że powstanie styczniowe było pierwszym powstaniem o tak dużym zasięgu, ponieważ brali w nim udział reprezentanci różnych grup społecznych, narodowych i kulturowych. „Powstanie styczniowe to takie wydarzenie narodowych dziejów, którego konkretnych bohaterów, z imienia i nazwiska, znamy zdumiewająco słabo. Czas to zmienić” – mówił z kolei dyrektor Muzeum Historii Polski Robert Kostro. „Nie kupiamy się tym razem na przyczynach, przebiegu i konsekwencjach powstania, lecz pokazujemy ludzi, bez których zryw nigdy by nie zaistniał” – dodał Wojciech Kalwat z MHP, kurator wystawy oraz pełnomocnik ministra kultury i dziedzictwa narodowego ds. obchodów 160. rocznicy powstania. Podczas wernisażu minister kultury przybliżył również działalność nowej galerii „Okno na kulturę”. Podkreślił, że pierwszy od czasów powojennej odbudowy generalny remont kamienicy Lanciego, w której znajdują się biura Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, umożliwił stworzenie zupełnie nowej przestrzeni, w której będzie prezentowana działalność polskich instytucji kultury. „Ta przestrzeń będzie otwarta dla przechodniów – dla warszawiaków i turystów, którzy przyjdą tutaj, aby zapoznać się z tym, co do zaprezentowania ma polska kultura” – mówił prof. Gliński. „Obok będzie z kolei miejsce na kontakt z naszymi produkcjami filmowymi VR. Korzystający z tego miejsca za pomocą odpowiedniej aparatury będą mogli zapoznać się z tym, co powstało w ostatnim czasie. Chcemy, aby było to miejsce otwarte. Jego nazwa – »Okno na kulturę« – nie jest przypadkowa, ponieważ mamy tutaj piękne, duże okna, które zachęcają do tego, by zajrzeć do świata polskiej kultury” – dodał.



FOT. KRYSZTOF MAJ/PRM X2

Srebra z FON własnością Muzeum Narodowego w Poznaniu

23 stycznia odbyła się uroczystość przekazania sreber z Funduszu Obrony Narodowej do zbiorów Muzeum Narodowego w Poznaniu, w której udział wzięli premier Mateusz Morawiecki, wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński, wicepremier, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak oraz minister ds. UE Szymon Szykowski vel Sęk. „Niech te precjoza będą wspaniałym symbolem gotowości do obrony ojczyzny i symbolem chwały narodu polskiego” – mówił w trakcie uroczystości szef rządu. Wicepremier Gliński przypominał, że do Funduszu Obrony Narodowej Polacy przekazywali zarówno przedmioty powszechnego użytku, jak i przedmioty artystyczne, pamiątki rodzinne, emblematy stowarzyszeń, puchary sportowe, a także zboże, inwentarz żywy, oszczędności całego życia – wszystko, co mogli oddać polskiej wspólnocie, by jej bronić. „To zachowanie było czymś oczywistym dla wszystkich, którzy mogli dołożyć się do FON-u, a także Funduszu Obrony Morskiej czy Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej. FON zgromadził łącznie 1 mld ówczesnych zł, z czego darowizny od osób indywidualnych wyniosły 38 mln zł. Warto wspomnieć Henryka Rajchmana, Ignacego Matuszewskiego czy Halinę Konopacką oraz wiele innych osób, dzięki którym udało się ten nasz skarb zachować” – podkreślił minister kultury. Fundusz Obrony Narodowej został utworzony dekretem prezydenta RP Ignacego Mościckiego z 9 kwietnia 1936 r. Miał za zadanie pozyskać drogą składek społecznej dodatkowe środki na dozbrojenie armii w obliczu zagrożenia bytu państwa przez hitlerowskie Niemcy. Polacy niezwykle ofiarnie zasilili go zarówno gotówką, jak i nieruchomościami, kosztownościami, a nawet zbożem, zwierzętami rzeźnymi i nieodpłatną pracą na rzecz armii. Zakupy sprzętu i wyposażenia dla wojska organizowały nie tylko zakłady pracy, lecz także całe miejscowości. Organizowano zawody sportowe, mecze piłkarskie i bokserskie, z których dochód wpłacano na FON. Kapitał FON-u składał się z wpłat od osób prywatnych, darów od różnych instytucji, wpływów ze sprzedaży wojskowych nieruchomości oraz dotacji skarbu państwa (głównie z pożyczki uzyskanej przez rząd we Francji).





Zapraszamy do udziału w seminariach IDMN

Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego zaprasza wszystkich zainteresowanych badaczy dziejów obozu narodowego i katolicyzmu społecznego w Polsce do wzięcia udziału w swoich seminariach naukowych. Seminarium odbywają się w formie zdalnej na platformie Zoom Meetings raz w miesiącu do czerwca br. Podczas spotkań prezentowane i dyskutowane będą najnowsze badania nad problematyką znajdującą się w kręgu zainteresowań Instytutu. Będą się one odbywać według następującego harmonogramu:

- 22 lutego, godz. 17.30, „Rola ks. Jerzego Popiełuszki na tle innych duchownych związanych z opozycją w latach 1982–1984” – mgr Katarzyna Józwick (Wydział Historii UW/Muzeum ks. Jerzego Popiełuszki),
- 29 marca, godz. 17.30, „Władysław Siła-Nowicki i oskarżenia o zdradę” – dr Ewa Rzeczkowska (Instytut Historii KUL),

- 26 kwietnia, godz. 17.30, „Opoka – londyńska inicjatywa wydawnicza Jędrzeja Giertycha”, dr Anna Szwed-Walczak (Instytut Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS w Lublinie),
 - 31 maja, godz. 17.30, „Centralna Agencja Polska w Lozannie jako jedna z najważniejszych polskich organizacji na Zachodzie w czasie Wielkiej Wojny” – mgr Piotr Siewak (Instytut Historii PAN/IDMN),
 - 28 czerwca, godz. 17.30, „Wspólnie z sanacją czy obok sanacji? Udział Polskiego Stronnictwa Katolicko-Ludowego w kampanii wyborczej do parlamentu w 1928 r.” – mgr Paweł Magiera (Wydział Historii i Dziedzictwa Kulturowego UPJPII w Krakowie).
- Osoby zainteresowane udziałem proszone są o przesłanie takiej informacji na adres e-mail: seminaria@idmn.pl. Więcej informacji o tym projekcie i wielu innych inicjatywach IDMN można znaleźć na stronie internetowej: www.idmn.pl.

Obchody Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”

Jak co roku, począwszy od 2011 r., Społeczny Komitet Obchodów Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” przy współpracy z szeregiem instytucji i organizacji pozarządowych zaprasza do udziału w uroczystościach upamiętniających bohaterów powstania antykomunistycznego. Obchody w hołdzie żołnierzom podziemia odbędą się m.in. przy dawnej siedzibie Informacji Wojskowej w warszawskich Włochach – „Willa Jasny Dom” przy ul. Świerżcza 2 (27 lutego o godz. 17.00), a także na „Łączce” na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach (1 marca, godz. 12.00), pod którą siedzibą Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego u zbiegu ul. Koszykowej i Alei Ujazdowskich oraz przy pomniku i kościele św. Katarzyny na Służewiu (1 marca, godz. 10.00). 1 marca o godz. 12.00 uroczystości pod pomnikiem ofiar więzienia NKWD w Rembertowie. Przemarsz po miejscach kaźni na warszawskiej Pradze rozpocznie

się o godz. 12.45 przy ul. Sierakowskiego 9. 1 marca o godz. 18.00 zostanie odprawiona uroczysta msza św. w archikatedrze św. Jana Chrzciciela na warszawskim Starym Mieście oraz zostaną złożone wieńce pod epitafium ku czci Żołnierzy Wyklętych. W sobotę, 4 marca, o godz. 12.00 na Cmentarzu Bródnowskim odbędą się uroczystości pod pomnikiem ofiar w kwaterze 45N.

Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL (ul. Rakowiecka): **23 lutego** (czwartek) godz. 18.00 – przedstawienie teatralne „Nil – historia bohatera”. Świetlica. Wstęp wolny.

24 lutego (piątek), 70. rocznica śmierci gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”: – godz. 9.00–11.00; 14.00–18.00 – indywidualne składanie kwiatów w miejscu stracenia gen. „Nila” na ul. Rakowieckiej (pomieszczenie ze szczątkami po szubienicy). Obowiązują wcześniejsze zgłoszenia: sekretariat@muzeumrakowiecka37.pl, tel. 22 547 96 00;

– godz. 12.00 – państwowe uroczystości, złożenie kwiatów pod murem muzeum;
– godz. 13.30 – złożenie kwiatów przy symbolicznym grobie gen. „Nila” na Cmentarzu Powązkowski Wojskowy;
– godz. 15.00 – msza św. w sanktuarium św. o. Pio na Gocławiu (ul. Gen. Fieldorfa 1), którą odprawi bp Romuald Kamiński, ordynariusz diecezji warszawsko-praskiej;
– godz. 16.00 – po mszy św. złożenie kwiatów pod pomnikiem gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila” (ul. Gen. Fieldorfa 1).
Współorganizatorzy: Ministerstwo Obrony Narodowej, Instytut Pamięci Narodowej.
26 lutego (niedziela) godz. 18.00 – msza św. w intencji wszczęcia procesu beatyfikacyjnego abpa Antoniego Baraniaka, którą odprawi ks. Jarek Wąsowicz. X Pawilon. Wstęp wolny.
Pełen harmonogram obchodów będzie dostępny na profilu Społecznego Komitetu na Facebooku.

Opracowanie: Piotr Mazurek

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

18 lutego i 18 marca (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.



...w Radiu Warszawa...

20 lutego (poniedziałek) o godz. 9.15 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.



...i w Radiu Gdańsk



Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii” w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 23:09 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia”.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
WSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Wielki kanclerz, wielki prymas



**GRZEGORZ
GÓRNY**

W historii polskiego prawodawstwa od samego początku wielką rolę odgrywali duchowni. Gdybyśmy mieli wskazać na jedną z czołowych postaci w tej sferze życia, to nasz wzrok musiałby paść niechybnie na prymasa Jana Łaskiego, który pozostawił po sobie wyjątkowe dzieło, dokonując jako pierwszy w naszych dziejach kodyfikacji polskiego prawa.

Do jego czasu w tej dyscyplinie panował chaos, przekładając się na niski poziom świadomości prawnej i sądownictwa. Nikt przed nim nie zebrał w jednym tomie wszystkich obowiązujących statutów, przywilejów, uchwał sejmowych, edyktów królewskich czy przepisów prawa zwyczajowego. Wydana przez niego w 1506 r. księga, zwana „Statutem Łaskiego”, zyskała sławę daleko poza granicami Polski, ponieważ była pierwszym w Europie zbiorom, który zyskał rangę kodeksu prawa krajowego. Dzięki temu aktowi znacznie zwiększyła się też świadomość prawna polskiej szlachty.

W czasie pracy nad swym dziełem Łaski pełnił funkcję kanclerza wielkiego koronnego, kierując kancelarią królewską oraz odpowiadając za politykę zagraniczną Korony Polskiej. Podczas swego urzędowania dał się poznać nie tylko jako kodyfikator prawa, lecz także jako jego współtwórca. To on stał bowiem za dwoma uchwałami przegłosowanymi przez Sejm w 1504 r. i znacznie ograniczającymi wpływy możnowładców. Pierwszy z tych aktów zabraniał łączenia dwóch urzędów w jednym ręku, drugi zaś pozwalał zastawiać władcy ziemie koronne tylko za zgodą Sejmu. Do tej pory bowiem grunty kupowali od króla głównie możnowładcy, powiększając tym samym swoje bogactwo.

Jan Łaski był też głównym architektem konstytucji sejmowej z 1505 r., która przeszła do historii pod nazwą „Nihil novi” lub potocznie „Nic o nas bez nas”. Stwierdzała ona, że król nie może wydawać ustaw bez uzyskania zgody szlachty, reprezentowanej przez Sejm i Senat (choć dokument wyłączał niektóre sfery życia publicznego spod władzy parlamentarzystów, zostawiając je w wyłącznej kompetencji monarchy).

Wspomniany akt często uznaje się za początek

wprowadzenia demokracji szlacheckiej w Polsce.

W 1510 r. Jan Łaski – z woli papieża Juliusza II – został arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem Królestwa Polskiego. Dokonał wówczas w Kościele analogicznego dzieła jak w państwie, a mianowicie jako pierwszy skodyfikował prawo kościelne obowiązujące na ziemiach Korony. Efektem tego był dokument o nazwie „Zwód Łaskiego”, opublikowany w 1527 r. Dostojnik starał się też ujednolicić liturgię, drukując brennarz, mszał oraz rytuał. Dbał również o podniesienie poziomu intelektualnego i moralnego duchowieństwa, walcząc z przypadkami nadużyć wśród kleru. To w dużej mierze dzięki jego odnowicielskim działaniom ziarno reformacji padło w Polsce na mniej korzystny grunt niż w Niemczech. Gdy jednak herezja Lutra pojawiła się w dorzeczu Wisły, starał się jej przeciwdziałać, dążąc do zachowania czystości wiary.

To nie wszystkie jego zasługi. Był największym mecenasem sztuki spośród prymasów XVI w. Na swoim dworze zgromadził licznych artystów i uczonych. Choć nie miał uniwersyteckiego dyplomu, prowadził dysputy z uczonymi i korespondował z Erazmem z Rotterdamu. W Rzymie utrzymywał własny dom, gdzie kwatrowali stypendyści z Polski, którym za swoje pieniądze opłacał naukę na uczelniach w Wiecznym Mieście. Ufundował wiele świątyń, budynków kościelnych i świeckich, np. szpitali czy placówek dla chorych i ubogich (m.in. w Gnieźnie, Skierniewicach, swym rodzinnym Łasku, a nawet dalekim Kamieńcu Podolskim).

W polityce zagranicznej za główne zagrożenie dla państwa uważał żywioł niemiecki pod różnymi postaciami: Habsburgów, Krzyżaków, Brandenburczyków. Dążył do bezpośredniego włączenia Prus do Korony Polskiej, sprzeciwiając się sekularyzacji zakonu krzyżackiego, jednak jego plan nie został zrealizowany. Po wiekach historia przyzna mu rację. Jeśli nazywamy niekiedy XVI w. złotym wiekiem w historii Polski, to m.in. za sprawą takich mężów stanu jak Jan Łaski.

Jan Łaski (1456–1531) był jednym z architektów ustroju i praw Rzeczypospolitej „złotego wieku”

Ukraińsko-polska historia wspólna i osobna



FOT. AS PHOTO FAMILY / SHUTTERSTOCK.COM

NIEPODLEGŁOŚĆ W CENIE MOSKWY

Zamieszki
w Kijowie,
Euromajdan,
styczeń 2014 r.

**NIEPODLEGŁA UKRAINA STANĘŁA PO 1991 r. WOBEC
WAŻKICH PYTAŃ DOTYCZĄCYCH JEJ USTROJU
POLITYCZNEGO, ŁADU SPOŁECZNO-
-EKONOMICZNEGO I AMBICJI MIĘDZYNARODOWYCH**



**PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER**

Uniwersytet Łódzki

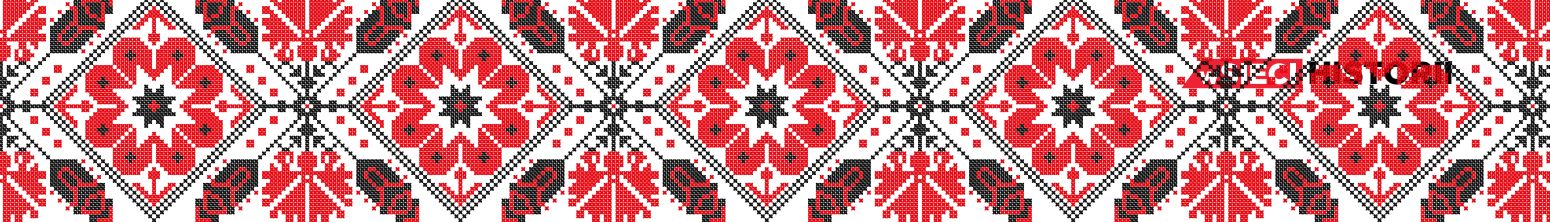
Jako suwerenne państwo zajmowała pod względem potencjału gospodarczego i militarnego (dysponowała ponad 1 tys. głowic atomowych!) siódme miejsce na świecie. Była jednym z najbardziej rozwiniętych ekonomicznie państw post-sowieckich, z liczną kadrą administracyjną i naukową. Choć wraz z innymi republikami byłego Związku Radzieckiego przeżywała zapaść gospodarczą, będącą wynikiem zarówno zerwania dotych-

czasowych więzów ekonomicznych, jak i akcji Moskwy, usiłującej przez presję gospodarczą (a także działania służb specjalnych) opóźnić bądź uniemożliwić pełną emancypację Kijowa.

W szarej strefie

Okres prezydentury Łeonida Krawczuka (1991–1994) nie przyczynił się do rozwiązania żadnego z problemów, z którymi musiała mierzyć się Ukraina. Pogłębiający się kryzys gospodarczy skutkował społecznymi protestami. Pod naciskiem jednego z nich – wielkiego, masowego strajku górników w Donbasie – Krawczuk ustąpił ze stanowiska, a przedterminowe wybory prezydenckie wyniosły do władzy Łeonida Kuczmę, którego

sztandarowe hasło: „O sojusz z Rosją” nie najlepiej wróżyło samodzielnej pozycji Ukrainy. Póki co jednak nowa głowa państwa mogła zapisać na swoim koncie udaną reformę walutową, która zastąpiła karbowanica hrywną (stabilizując nieco gospodarkę), oraz uchwalenie nowej konstytucji. W 1994 r. Ukraina zgodziła się na przekazanie Rosji głowic atomowych rozmieszczonych w jej granicach – równocześnie podpisano jednak memorandum budapeszteńskie, gwarantujące państwu ukraińskiemu integralność terytorialną po jego rezygnacji z własnego atomowego arsenału. Trzy lata później Kijów zawarł układ o partnerstwie z NATO. Jednak drugą prezydenturę Kuczmy zaczęto utożsamiać już tylko z kolejnymi aferami korupcyjnymi, oligarchizacją życia gospodarczego, rozrastającą się siecią powiązań mafijno-biznesowych i serią niewyjaśnionych zabójstw przedstawicieli wielkiej finansjery, polityki oraz dziennikarzy. To właśnie wyrok wykonany na jednym z tych ostatnich, Heorhiju Gongadze, o którego wydanie posądzano samego Kuczmę, miał przyczynić się do istotnej



zmiany politycznego układu w Kijowie. Warto tu jednak dodać, iż niezależnie od zawirowań życia politycznego i gospodarczego nad Dnieprem widoczne było stałe dążenie Polski do zacieśniania relacji z niepodległą Ukrainą, mające zarazem sprzyjać jej strategicznemu zorientowaniu na Zachód – podpisano traktat o dobrym sąsiedztwie, przyjaznych stosunkach i współpracy; przyjęto deklarację o strategicznym partnerstwie; podejmowano wspólne inicjatywy w zakresie współpracy energetycznej i wojskowej.

Pomarańczowa wolność

Lata 2002–2004 przyniosły nad Dnieprem prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi. Najpierw w wyborach parlamentarnych blok Kuczmy, oskarżanego o korupcję i zlecenie zabójstwa Gongadze, został pokonany przez koalicję Nasza Ukraina, której przewodził były premier, współautor sukcesu hrywny, Wiktor Juszczenko. W 2004 r. odbyły się wybory prezydenckie. W I turze Juszczenko, postrzegany jako zwolennik prozachodniej orientacji Ukrainy i wróg oligarchów, zdystansował Wiktora Janukowycza – urzędującego premiera i reprezentanta prorosyjskiej Partii Regionów. W II turze oficjalnie ogłoszono zwycięstwo Janukowycza. Jednak zarówno zwolennicy Juszczenki, jak i zagranica nie uznali tego wyniku, podnosząc fakty fałszerstw i licznych manipulacji wypaczających rezultat wyborów. Ujawniono też próbę otrucia lidera Naszej Ukrainy, o którą oskarżano jego ukraińskich przeciwników mających współdziałać z Kremlem. Przez kraj przetoczyła się wielka fala masowych protestów, określana później mianem pomarańczowej rewolucji. Pod ich naciskiem ogłoszony wcześniej wynik wyborów został unieważniony, a w powtórzonej II turze wygrał Juszczenko. Większość parlamentarną i kolejne rządy tworzyła przez kilka lat koalicja Naszej Ukrainy i Bloku Julii Tymoszenko – sojuszniczki Juszczenki. Ukraińska pomarańczowa rewolucja cieszyła się poparciem zarówno wśród polskiej elity politycznej, jak i społeczeństwa. Z jej zwycięstwem wiązano nadzieje na przyjęcie przez Kijów zdecydowanego kursu na współpracę polityczną, gospodarczą i wojskową z Zachodem, w czym nad Wisłą upatrywano

klucza do wzmocnienia bezpieczeństwa Rzeczypospolitej.

Triumf i klęska Euromajdanu

Jak się jednak okazało, łatwiej było wygrać przeprowadzane w dramatycznych okolicznościach wybory, niż wypełnić afery gospodarcze i przezwyciężyć kryzys ekonomiczny trapiący zwykłych Ukraińców (generowany również przez politykę gospodarczą i zakulisowe działania Rosji wobec Kijowa). Wobec rozczarowania społeczeństwa rządami „pomarańczowych” wybory prezydenckie w 2010 r. wygrał Janukowycz (dwa lata później jego sukces powtórzyła prokremłowska Partia Regionów w wyborach do Rady Najwyższej). Jednym z jego pierwszych posunięć było osadzenie Julii Tymoszenko w kolonii karnej pod zarzutami defraudacji, co traktowano jednak powszechnie jako brudną zemstę polityczną. Kiedy w 2013 r. Janukowycz odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, a władze zdecydowały się brutalnie stłumić protesty w Kijowie, masowe rozruchy i manifestacje rozlały się na cały kraj. Największe rozmiary osiągnęły w stolicy Ukrainy, gdzie centralny plac Niepodległości przekształcił się w miejsce permanentnego wiecu, nazwanego Euromajdanem. Próba jego pacyfikacji przez władze przekształciła się w kilkudniowe walki w Kijowie, w wyniku których śmierć poniosło kilkuset protestujących. Tracący poparcie Janukowycz zgodził się na przeprowadzenie wcześniejszych wyborów parlamentarnych, później uszedł do Charkowa, gdzie próbował zorganizować konkurencyjny ośrodek władzy, wreszcie – uciekł do Rosji. Radość Ukraińców nie trwała jednak długo – wiosną 2014 r. w reakcji na zwycięstwo Euromajdanu rosyjskie wojska zajęły Krym. Następnie z pomocą Moskwy po krwawych walkach doszło do przejęcia władzy na obszarach wschodniej Ukrainy przez rosyjskich separatystów, którzy ogłosili powstanie Donieckiej i Ługańskiej Republiki Ludowej. Postawa Polski w obliczu wspomnianych dramatycznych wydarzeń była jednoznaczna – w wydarzeniach na Euromajdanie i negocjacjach z Janukowiczem uczestniczyli polscy politycy jako rzecznicy protestu; Rzeczpospolita nie uznała również aneksji Krymu i próby oderwania

od Ukrainy Donbasu; poparła też późniejsze sankcje wobec Rosji.

Nowe otwarcie w cieniu wojny?

Po rosyjskim ataku na Ukrainę 24 lutego 2022 r. (choć trzeba podkreślić, iż wojna rosyjsko-ukraińska trwa przecież od 2014 r., zapoczątkowana zajęciem Krymu i próbą oderwania od państwa ukraińskiego Donbasu) Polska należy – obok Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii – do grupy państw najmocniej i najbardziej wszechstronnie wspierających Kijów. To Rzeczpospolita przyjęła na swoim terytorium największą liczbę ukraińskich uchodźców (przede wszystkim kobiet i dzieci), którym w ogromnej większości Polacy zapewnili, zamiast pobytu w uchodźczych obozach, gościnę we własnych domach. Władze państwa polskiego stały się na arenie międzynarodowej rzecznikiem interesów zaatakowanej Ukrainy, apelując dla niej o pomoc humanitarną, militarną i dyplomatyczną, a także wzywając do zdecydowanych międzynarodowych sankcji wobec agresora i wprowadzając je również we własnym zakresie. Warszawa zabiega również o jak najszybsze dołączenie Ukrainy do UE. Państwo polskie, jego instytucje i organizacje humanitarne służą pomocą w organizowaniu się i działalności ukraińskiego uchodźstwa. Rzeczpospolita przejęła też rolę swoistego łącznika, hubu, umożliwiającego transfer na Ukrainę pomocy wojskowej, ekonomicznej i humanitarnej z całego świata. Wszystkie te działania są doceniane przez instytucje państwowe, ukraińskich polityków, samorządowców, organizacje społeczne i kulturalne, media, a przede wszystkim przez zwykłych Ukraińców. W cieniu wojny następuje być może prawdziwe nowe otwarcie, zbudowanie autentycznej, a nie „zadektowanej” wspólnoty pomiędzy dwoma narodami Europy. Tym bardziej że o ile na tle bardzo dobrych relacji na linii Warszawa–Kijów cieniem kładzie się nierozliczona tragiczna polsko-ukraińska historia pierwszej połowy XX w., o tyle zauważalne są symptomy rewizji polityki historycznej Kijowa, uwzględniające postulaty sprawiedliwego ujęcia polskiego udziału w dziejach Ukrainy oraz uznania odpowiedzialności UPA za zbrodnię wołyńską i właściwej jej oceny.

CI, KTÓRZY PRZYCHODZĄ DO SZKÓŁ TOWARZYSTWA, ABY SIĘ UCZYĆ, NIECH WIEDZĄ, ŻE TU Z POMOCĄ BOŻĄ MAJĄ SIĘ DOSKONAŁIĆ ZARÓWNO W POBOŻNOŚCI, ALE I W INNYCH CNOTACH I NAUKACH (Z: „REGUŁY ZEWNĘTRZNYCH UCZNIÓW TOWARZYSTWA”)



Uniwersytet we Lwowie, dawne kolegium jezuitów, z prawej dawny kościół parafialny św. Mikołaja

O SZKOLNICTWIE JEZUICKIM



ARTUR GÓRECKI

Gdy w 1540 r. Paweł III dokonał zatwierdzenia Towarzystwa Jezusowego, wcale nie było przesądzone, że jedną z misji, którą podejmą jezuiti, będzie edukacja. Pierwsze projekty Konstytucji nie przewidywały nawet możliwości pracy w szkołach. Św. Ignacy Loyola podkreślał, że w pracy apostołskiej, poza osobistą świętością

i dobrym przykładem, potrzebne są gruntowna wiedza i umiejętności przekazywania jej innym. Dlatego szczególną troską otoczono formację nowych członków zakonu, dla których zaczęto zakładać kolegia przy uniwersytetach. Z czasem stały się one miejscem formacji intelektualnej młodych jezuitów. Zakonnicy, choć wcale tego nie zamierzali, stawali się nauczycielami.

Pierwsze szkoły

W 1544 r. istniało już 7 kolegiów, w których mieszkali scholastycy uczący się na uniwersytetach. Za pierwszą szkołę należy uznać tę, która powstała w 1548 r. w Mesynie na Sycylii. Zorganizowana była ona według modelu paryskiego (podział na klasy wyodrębniane ze względu na poziom wiedzy uczniów, określony

FOT. DOMENA PUBLICZNA.POLONIA.PL

program nauczania, jasno wyznaczone zasady organizacji, dyscyplina). Jezuici chętnie korzystali z doświadczeń innych, ale nie było to proste naśladownictwo, lecz twórcze wykorzystanie sprawdzonych rozwiązań.

W 1556 r. Towarzystwo prowadziło 42 kolegia, pod koniec XVI w. było ich ponad 200, zaś w 1710 r. – już 740. W Rzeczypospolitej pierwsze kolegia powstały w Braniewie (1565), Puławsku (1566), Wilnie (1570) i Poznaniu (1575). Po 200 latach jezuiti prowadzili tu: 1 akademię, 67 szkół, 25 seminariów, 18 konwiktów szlacheckich i 45 burs muzyków. Dla ogółu szlacheckiego narodu Rzeczypospolitej edukacja jezuicka stała się synonimem edukacji w ogóle. Rozwój szkół wydawał się iść w parze ze wzrostem liczby członków zakonu, których w 1599 r. było już ponad 8,2 tys.

Ratio studiorum

Wzorzec szkoły paryskiej, odpowiednio zaadaptowany (bezpłatne nauczanie, zdobywanie stopni naukowych, troska o zdrowie i życie duchowe uczniów, aktywna ich postawa), został upowszechniony przez jezuitów w Europie. W 1569 r. przyjęto „Ratio studiorum”, swoistą konstytucję jezuickiej edukacji. Zawierała ona regulacje dotyczące rozkładu zajęć, programu nauczania, podręczników, obowiązków rektorów i poszczególnych grup nauczycieli. Obejmowała ona tylko studia humanistyczne. W 1599 r. wydano ostateczną wersję tego dokumentu.

Nauczanie oparte było na określonej strukturze. Kolegia, zwane „mniejszymi”, liczyły pięć klas: trzy lata gramatyki, rok poetyki i rok retoryki. W niektórych

szkołach był jeszcze rok dialektyki, który uważano za etap przejściowy do uniwersytetu. Przyjmowano do nich chłopców w wieku 9–10 lat. Były też kolegia o charakterze akademickim, w których w kolejnych latach realizowano kursy filozofii i/lub teologii.

Jezuici w swoich szkołach dbali zarówno o rozwój intelektu, jak i pracę nad charakterem. Zgodnie z przyjętą zasadą *non multa sed multum* (mniej, a gruntownie) programy nie były przeładowane szczegółowymi wiadomościami. Ze względu na bezpłatność nauki łatwiej było wyeliminować postawy roszczeniowe ze strony uczniów i rodziców oraz egzekwować odpowiednią dyscyplinę w zakresie wychowania i nauki. Każdy uczeń miał być otoczony indywidualną troską. Uczniowie byli dobierani w pary, w ramach których udzielali sobie wsparcia, ale i konkurowali ze sobą. Klasy podzielone były na 10-osobowe grupy, na czele których stali zmieniający się dekurionowie. Na czele klas gramatykalnych stali cenzorzy. Dekurion odpytawał członków swojej grupy z ćwiczeń pamięciowych, zwracał uwagę na to, czy rozmawiają oni w języku łacińskim i zachowują się poprawnie, informował nauczyciela o uchybieniach kolegów.

Szukano optymalnych środków koniecznych do zachowania dyscypliny i pobudzenia pilności uczniów. W „Ratio” czytamy: „W klasie uczniowie nie mogą chodzić sobie tu i ówdzie, ale mają cicho i skromnie siedzieć na swoich miejscach i zajmować się swoimi sprawami. Nie mogą wychodzić z klasy, jeśli nauczyciel nie pozwoli. Nie wolno im oszpecać i pokrywać napisami i rysunkami barierki, katedry, krzesła, ścian, okien i drzwi”. Nauczyciel nie powinien spieszyć się z karaniem, śledzić uczniów, zamiast tego miał przyrykać oko na niedociągnięcia. Ograniczono kary cielesne, stosowano je dopiero wtedy, gdy nagrody i upomnienia nie skutkowały i w szkole pojawiały się poważne problemy z dyscypliną. Kara miała formę aktu prawnego. Dbano o naukę dobrych manier. Oto przykład zaleceń,

które brzmią dzisiaj dość humorystycznie: „7. Niech nie czyszczą zębów nożem ani widelcem. 8. Niech nie czyszczą serwetką noża, łyżki ani talerza, a tym bardziej nosa. 9. Niech nie gryzą kości, a tym bardziej obgryzają paznokci”.

W kolegiach zwracano uwagę, aby poza samymi wykładami obecne były ćwiczenia, dysputy, deklamacje itp. Wymagano pilności w nauce, która wyrażała się w punktualności, uważnym słuchaniu i aktywnym udziale w ćwiczeniach. Ważną rolę odgrywały cykliczne powtórki materiału. Na początku zajęć zdolniejsi uczniowie przypominali treści z poprzedniego wykładu. Stworzono rozbudowany system współzawodnictwa wewnątrz- i międzyklasowego. Wiele wydarzeń miało charakter publiczny. Organizowano także koła zainteresowań, zwane akademiami. Celem ich było utrwalanie i pogłębianie wiedzy zdobytej w szkole oraz prowadzenie pracy twórczej. Spotkania odbywały się pod nadzorem nauczyciela. Warunkiem udziału było m.in. „wyróżnianie się cnotą chrześcijańską i pobożnością, pilnością w studiowaniu, szanowaniem praw szkoły”.

Przywiązywano dużą wagę do rozwiązań architektonicznych budynków szkolnych (szerokie korytarze, przestronne sale lekcyjne) i ich wyposażenia (od bibliotek po ścienne dekoracje). Dbano o zapewnienie przestrzeni rekreacyjnej wokół szkoły. Wprowadzono dodatkowy dzień wolny od zajęć, był to czwartek. Uczniowie spacerowali wtedy wspólnie za miasto, brali udział w grach i zabawach zespołowych. Dzięki fundacjom i dobroczyncom nauczanie w szkołach jezuickich mogło być bezpłatne. Dbano o formację nauczycieli, także w obszarze dydaktyki. Ważną rolę odgrywały tu „Ćwiczenia duchowne”, które zawierają doświadczenie pedagogiczne wraz z różnymi elementami ściśle określonej praktyki wychowawczej. W szkołach dbano o atmosferę zaufania, wzmacnianą dobrym przykładem. Obowiązkiem nauczyciela było zachęcanie uczniów do praktyk religijnych, do codziennej modlitwy, do wieczornego rachunku sumienia, do udziału w szkolnych nabożeństwach, do częstego i pobożnego przystępowania do spowiedzi i komunii św. Ponadto przynajmniej raz w tygodniu nauczyciel wygłaszał w klasie tzw. egzorty (napomnienia) lub uczył katechizmu. Pogłębianie religijności uczniów odbywało się np. poprzez >>

Skrypt wykładów w kolegium jezuitów w Poznaniu, 1598 r.



» wykorzystanie cyklicznych świąt czy ważnych wydarzeń o charakterze religijnym i świeckim.

Jezuicka działalność wychowawcza wykraczała poza zajęcia szkolne. Przykładem może być organizacja stowarzyszeń nazywanych Sodalitami Marianskimi. Oparte były na samorządzie wybierającym własne kierownictwo, prowadziły one kasy, angażowały się w działalność dobroczynną.

Bardzo wyraźnie dowartościowywano znaczenie nauk humanistycznych. Podkreślano wychowawczy wpływ starożytnych autorów, uważając, że dobra lektura zmienia człowieka. Odwoływano się do modelu szkoły humanistycznej, gdzie poprzez gramatykę, poetykę i retorykę doskonalono znajomość łaciny.

W programie nauczania nie przewidywano nauki języków narodowych (organizowano ją jednak wtedy, gdy sytuacja tego wymagała), logiki (dialektyki), rachunków na humaniorach czy też etyki społecznej (etyka i polityka). Choć takie działania podejmowano wcześniej (np. przed 1599 r. historii, nowożytnych języków i logiki nauczano w kolegiach prowincji polskiej). Historia została podporządkowana retoryce.

W części traktującej o profesorze nauk humanistycznych czytamy m.in., że „poziom tej klasy ma na celu osiągnięcie – potem, gdy uczniowie opuszczą klasy gramatyczne – przygotowanie gruntu do wymowy, co wypływa z trzech źródeł: z poznania języka, zdobycia określonej erudycji i krótkiego kursu prawideł dotyczących retoryki”. Kolejny zestaw reguł przeznaczony jest dla profesorów trzech klas gramatyki: a. najstarszej („syntaksa”) – zdobywa się całkowitą wiedzę gramatyczną; wybrane utwory: Cyce-rona, Owidiusza, Katullusa, Tibullusa, Propertiusza, Wergiliusza; b. średniej – „poznaje się ogół przepisów gramatyki (druga księga Alvareza), ale nie w całej rozciągłości”; z autorów wymienieni są: Cyce-ron (listy rodzinne), Owidiusz (łatwiejsze wiersze), „jeśli prefekt zgodzi się na to, katechizm grecki lub Tablicę Cebesza”; i c. najniższej (infimy) – podstawy gramatyki (Emmanuela Alvareza) i pierwsze wiadomości o składni. „Nauczyciel zaczyna od deklinacji rzeczowników i dochodzi do ogólnej budowy czasowników”; z autorów wymieniony jest Cyce-ron.

Program klasy poetyki jest przygotowywaniem do cyce-ronskiej wymowy.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wzbogacane jest łacińskie słownictwo, przekazywana wiedza niezbędna mówcy oraz reguły retoryki. Program klasy retoryki obejmuje zaś: reguły przemówień, styl i erudycję.

Choć „Ratio” była dedykowana wszystkim jezuickim szkołom, to jednak poszczególne placówki wprowadzały także lokalne rozwiązania. Instytucją, która rozwinęła się np. w kolegiach jezuickich w Polsce, był teatr. Pamięciowe opanowanie długich tekstów, liczne próby, praca przy scenografii uczyły odpowiedzialności, pracowitości, pilności i współpracy. Jego wychowawczo-dydaktyczna rola wyraźnie wykraczała poza wskazania „Ratio”, która nakładała tu pewne ograniczenia dotyczące rodzaju wystawianych sztuk i ich częstotliwości. Podobne zjawisko obserwujemy w odniesieniu do retoryki. „Ustawa” wyraźnie polecała oprzeć jej nauczanie na Cyce-ronie, tymczasem w XVII w. wiele kolegiów zaczęło preferować styl barokowy (np. długie zdania, wyszukane porównania, ogromna liczba szczegółów erudycyjnych).

Szkoły jezuickie chciały przekazać uczniom dobrą znajomość łaciny i greki, a także solidną wiedzę humanistyczną oraz umiejętności retoryczne.

Jezuici zaczęli też prowadzić tzw. kolegia szlacheckie (Collegium Nobilium), w których kształcili się głównie synowie magnaterii i bogatej szlachty. Oprócz przedmiotów teoretycznych prowadzono m.in. lekcje jazdy konnej, tańców, muzyki, szermierki. Przed kasatą zakonu jezuici prowadzili kolegia szlacheckie w sześciu miastach na terenie Rzeczypospolitej (w Wilnie od 1751 r., Warszawie od 1752 r., Poznaniu od

1755 r., we Lwowie od 1749 r., w Lublinie od 1755 r. i Ostrogu od 1751 r.).

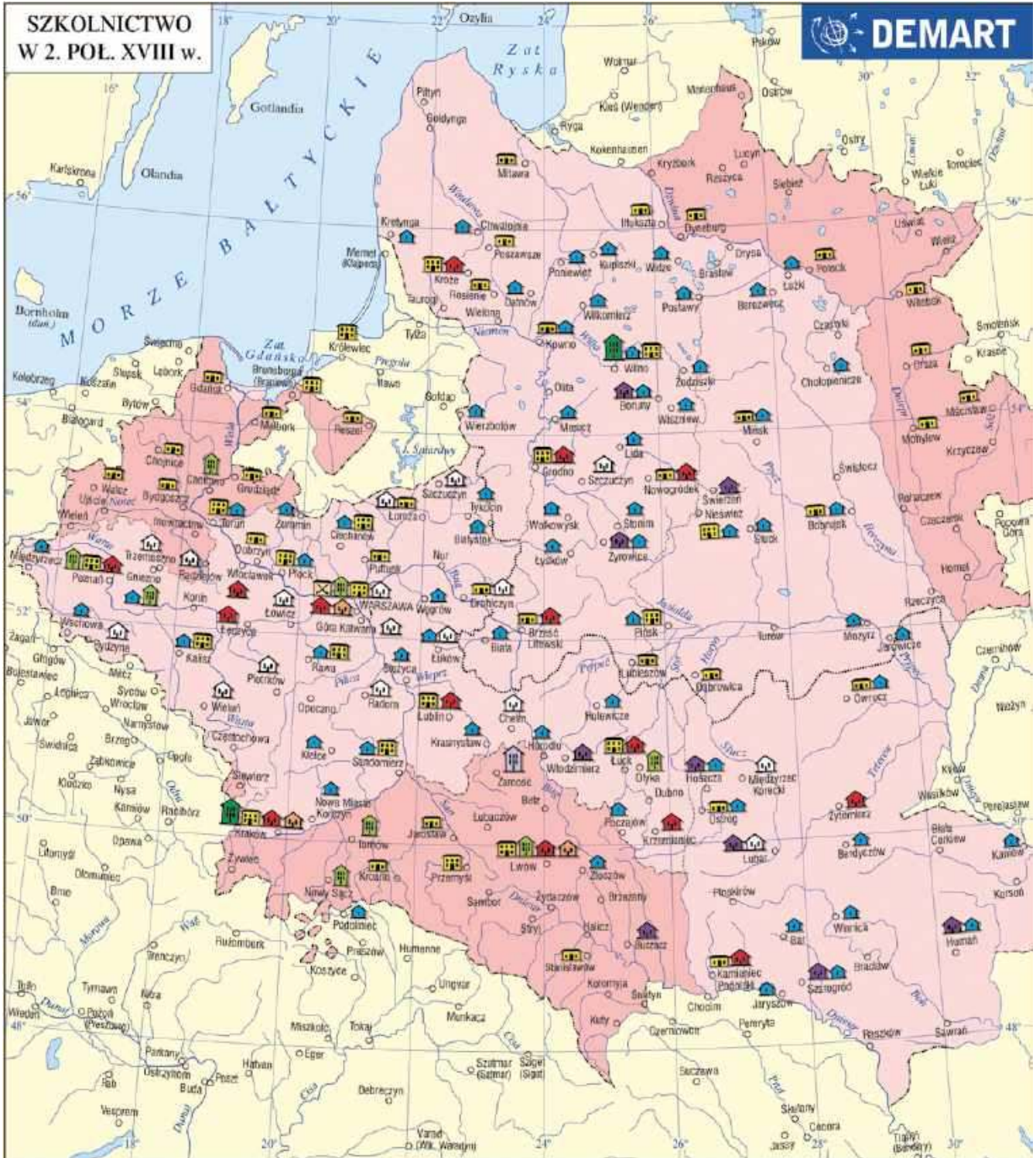
Dla potomnych

Przedstawiony w zarysie model edukacji nie był pozbawiony słabości. Daje się zauważyć pewien rozbrat między kształceniem a wychowaniem moralnym: stopniowe zapoznawanie metafizyki, zmiany w rozumieniu natury, pragmatyczne nastawienie. Zaczęło zanikać powiązanie rozumu, poznania i nauczania moralnego. Cnotom zaczęło grozić zredukowanie do nawyków. Szczególnie widoczne jest to wtedy, gdy jezuici, dostosowując się do zmieniających się realiów, zaczęły modyfikować swoje programy zgodnie z duchem oświeceniowym. Od początku XVIII w. w kolegiach polsko-litewskich zaczęto nauczać nowożytnych języków obcych, a następnie wprowadzono nauki doświadczalne. W wychowaniu położono nacisk na wartości obywatelskie. Filozofia została zredukowana do logiki i nauk przyrodniczych. Rozważanie sensu bytu uznane zostaje za bezużyteczny wysiłek, liczyło się tylko factum.

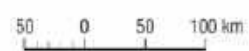
Znajomość zasad leżących u fundamentów szkolnictwa jezuickiego może pomóc nam w zaradzeniu problemom, z którymi boryka się współczesna edukacja, po tym jak zerwała z wielowiekowym dziedzictwem edukacji klasycznej, które w tradycyjnej pedagogice jezuickiej było jeszcze wyraźnie obecne. Szkoła ogólnokształcąca – bazująca na założeniach edukacji klasycznej – winna formować młode pokolenie, opierając się na prawdzie o człowieku, w tym na jego wrodzonych predyspozycjach i ostatecznym celu życia. Kolegia jezuickie pokazały, że doskonałą metodą rozwijającą myślenie, precyzję wypowiedziania się w mowie i piśmie, podstawę moralną i zmysł estetyczny są nauka języków starożytnych i ćwiczenia na tekstach klasyków, a także poznawanie literatury antycznej. Zdawano sobie sprawę z roli, jaką miały ćwiczenia w redagowaniu tekstów, teatr, wystąpienia publiczne, dysputy. Piętnowano niedbałe lub powierzchowne sposoby myślenia. Taka edukacja kształtuje również charakter, ćwicząc siłę woli, ucząc dążenia do doskonałości, męstwa w stawianiu czoła trudom dnia codziennego.

*Autor jest dyrektorem Departamentu
Kształcenia Ogólnego i Podstaw
Programowych MEiN*

SZKOLNICTWO W 2. POL. XVIII w.



- Granice Rzeczypospolitej przed rozbiorami
- Granica między Polską a Litwą do 1791 r. (zniesiona na mocy Konstytucji 3 maja)
- Ziemie utracone wskutek I rozbioru (1772 r.)
- Akademia Zamojska
- Kolonia Akademii Krakowskiej
- Szkoły bazylianów
- Szkoły teatynów
- Szkolnictwo jezuickie do 1772 r.:
 - Kolegia jezuickie
 - Niższe szkoły jezuickie
 - Szkoła Rycerska
- Szkolnictwo KEN po 1773 r.:
 - Szkoły wyższe
 - Szkoły wydziałowe
 - Szkoły podwydziałowe
 - Szkoły wydziałowe pijarów



O nauczaniu historii, miłości do
ojczyzny, ciężarze dziedzictwa
i szacunku do przodków
z sekretarzem stanu w MEiN
dr. TOMASZEM RZYMKOWSKIM
rozmawia Małgorzata Żaryn

Panie ministrze, jak dziś po 160 latach młode pokolenie odbiera powstanie styczniowe?

Tomasz Rzymkowski: Jako zamierzchłą przeszłość, ale jednak taką, która ma swoje odzwierciedlenie w teraźniejszości. Ci, którzy przeszli kurs historii, mają wiedzę wspomaganą innymi informacjami. Miejmy nadzieję, że pytają o patronów ulic, pomniki, place i z wiekiem przejmują coraz więcej z dziedzictwa powstania styczniowego. Widzę to po sobie. II RP, ale też cały ruch Solidarności, czy nawet nasza współczesność są zbudowane na tym etosie.

Ale czy etos ów nie pozostaje w sferze teoretycznych doznań intelektualnych? Jakie ma on przełożenie na formowanie młodego pokolenia współcześnie?

Moim zdaniem bardzo duże. Historia jest nauczycielką życia i pewne analogie historyczne są niezwykle ważne. Powstanie styczniowe było fenomenem, gdzie nie regularne wojsko polskie, a partyzantka łącząca wszystkie stany dawnej Rzeczypospolitej w obronie swoich praw, ale jednocześnie w walce o suwerenność, o niepodległość, o powrót Polski na mapę świata, ruszyła do walki z najpotężniejszym państwem świata, z Imperium Rosyjskim. Że to nie jest bajka o żelaznym wilku, pokazuje analogia do dzisiejszych zmagania Ukrainy z Federacją Rosyjską. Pojawienie się pułku im. Konstantego Kalinowskiego to jest proste odwołanie się do jednego z przywódców powstania styczniowego.

No dobrze, ale jak w sytuacji pokojowej młodzi ludzie mogą korzystać z dziedzictwa powstania styczniowego? Co powinno być elementem konstytutywnym naszej świadomości w warunkach pokojowych? A rzecz odnosząc bezpośrednio do szkoły – jak nauczyciele powinni o tym powstaniu mówić?

Godny naśladowania jest szacunek, który w okresie II RP był oddawany tej nielicznej grupie żyjących powstańców. A nauczyciele powinni mówić tak samo jak o powstaniu antykomunistycznym po II wojnie światowej. To jest bowiem żywotna analogia. To jest też jeden z naszych narodowych kamieni milowych – insurek-

Dumny z bycia
POLAKIEM!

cja 1863 r. dała asumpt do wybicia się na niepodległość Polski. Nie można pomijać błędów, które były wówczas popełnione, i należy się na nich uczyć. A wreszcie czerpać wzorce z biografii, choćby takich osób jak Romuald Traugutt, które mają na szczęście swoje upamiętnienie praktycznie w każdym mieście Polski.

Powinniśmy bez wątpienia okazywać naszym bohaterom szacunek, podziw, ale także miłość i wdzięczność. Jest to jednak możliwe tylko wtedy, gdy naszą niepodległość, suwerenność, wolność będziemy traktować jak skarb, który nie został nam dany raz na zawsze i o który musimy dbać...
...ustawicznie!

Ale jak to osiągnąć przy tak wysokim poziomie ojkofobii w naszym społeczeństwie? Jak podatnym na ten nurt młodym ludziom mówić o historii, żeby przelać ich niechęć?

Przede wszystkim walczyć z kompleksami, które leżą u podstaw tego wstydu za Polskę i niechęci do niej. Kompleksami wspomagany brakiem wiedzy i fałszywą, wynikającą z wyobrażeń, a nie doświadczeń, fascynacją innymi państwami. To jest wielkie zadanie przede wszystkim dla rodziny. Takie rzeczy jednak wynosi się z rodzinnego domu.

A jak w domu ich nie ma?

Wtedy szukamy wszelkich możliwych dróg dotarcia, przy czym wpływ środowiska, zwłaszcza rówieśniczego, ma olbrzymie znaczenie. Jestem zwolennikiem tego, żeby przekazywać wartości dumy narodowej – oczywiście w dobrym znaczeniu. Naprawdę miło mieć świadomość bycia depozytariuszem i spadkobiercą dobrego dziedzictwa. My, Polacy, nie powinniśmy mieć żadnych kompleksów, bo nie mamy się czego wstydzić. Warunkiem jest tylko posiadanie wiedzy. Młody człowiek w 2023 r., kiedy można podróżować, studiować za granicą, winien być uzbrojony w argumenty, które pozwolą mu pokazywać swoim rówieśnikom, współpracownikom, pracodawcom czy sąsiadom, z jakiego kraju pochodzi, jaka była rola Polaków w dziejach świata, jaką mamy historię, tradycję, kulturę. Powtórzmy: tylko ten, kto nie jest świadom dziedzictwa kulturowego i historii Polski, może

mieć kompleksy na tle innych narodów. Mało jest wspólnot na świecie, które mogą się poszczycić taką tradycją i plejadą wielkich postaci. Jesteśmy – można powiedzieć w awangardzie świata – co trochę brzmi nacjonalistyczne, ale takie są po prostu fakty!

Jedni powiedzą nacjonalistycznie, inni powiedzą ksenofobicznie, bo ponoć postawa samouwielbienia maskuje poczucie niższości. Lubimy skrajne oceny – z jednej strony pełna afirmacja, a z drugiej – całościowa negacja. Jak zrezygnować z tych dwóch postaw na rzecz poczucia normalności?

Tak zawsze było, jest i będzie. Patrząc na dzieje chociażby I RP, zwłaszcza jej schyłku – widzimy obóz patriotyczny, który chciał wzmocnienia i trwania państwa oraz dobra publicznego, i drugi, który uważał, że państwo polskie jest zbędne, że więcej praw i wolności zapewnią nam państwa ościenne, że wybierzemy sobie z otaczającej nas rzeczywistości tylko przywileje, a wszelkie obowiązki zostaną z nas zdjęte. To oczywiście miraż. Tylko ten, kto nie zna historii, może powtarzać tego typu mrzonki. W XIX w., kiedy Polski nie było na mapach świata, też istniały takie dwie postawy. Serwiliści w oboc zaborców Polacy, którzy się germanizowali i rusyfikowali, stawali się gorliwsiymi przedstawicielami aparatu zaborcy niż przeciętni Rosjanie, Prusacy czy Austriacy. Inni natomiast uważali, że tylko suwerenna Polska da im możliwość kultuwowania własnych tradycji, ale także rozwoju, bogacenia się, posługiwania się językiem ojczystym w urzędzie, w szkole czy w obrocie gospodarczym. Dziś też możemy zaobserwować podobne zjawiska. Są tacy, którzy uważają się bardziej za Europejczyków czy obywateli świata niż Polaków i dla nich polskość nie ma żadnej wartości. Mało tego – wszystko, co polskie, poczynszy od języka, a skończywszy na naszej historii i kulturze, jest dla nich ciężarem. Lepiej im być obywatelami świata w takim tyglu języków i religii. Bez tożsamości ludzić się wyłącznie mirażem pseudoszczęścia za ciężkie pieniądze. Żyją w kontrze do szeroko rozumianego nurtu patriotycznego, też bogatego w różne odcienie: jedni odwołują się do tradycji Romana Dmowskiego, inni do tradycji Józefa Piłsudskiego czy do tradycji pepeesowskiej lewicy niepodległościowej. Wspólne jest przekonanie, że państwo polskie powinno istnieć na

mapach świata i że jesteśmy dumni z naszej tradycji.

Czyli podstawowe zadanie dla edukacji to wyposażyć ucznia w aparat pozwalający mu na zbudowanie silnej tożsamości. Ku temu służą przyjęte przez MEiN strategie dydaktyczne. Mam wrażenie, że cały czas króluje tu idea insurekcyjno-romantyczna. Wspomniał pan o Rzeczypospolitej Obojga Narodów – czy nie warto czerpać z niej więcej niż do tej pory?

Ja trochę za Mackiewiczem: „Tylko prawda jest ciekawa”. Uważam, że wszystkie epoki w dziejach naszego państwa i narodu są ciekawe. Ważne jest to, żeby młodym ludziom uświadomić, w jakich realiach geopolitycznych przez te jedenaście już wieków naszej państwowości funkcjonujemy. Oczywiście, powiew romantyzmu jest bardzo silny w duszy Polaka, więc odwołujemy się do tej tradycji siłą rzeczy – chcemy czy nie chcemy. Równie ważny obok ducha romantycznego jest XIX-wieczny ruch pracy u podstaw i pracy organicznej, które wywołują u młodych ludzi coraz większe zainteresowanie. Chętnie czerpią z nich dla współczesności. Mamy renesans organizacji młodzieżowych bez konkretnych afiliacji politycznych. Przyciąga młodzież skauting, harcerstwo. Najważniejsza jednak rzecz to to, aby lekcje historii w szkole były traktowane poważnie i przez nauczyciela, i przez uczniów, i przez całą wspólnotę szkolną. Wszak młody człowiek, który nie ma świadomości dziedzictwa przodków, nie będzie pełnoprawnym obywatelem. Jeśli ktoś nie umie czytać i pisać, to nie odczyta choćby swojej karty do głosowania. Jeśli nie pozna swojej historii nawet w stopniu minimalnym, to nie rozumie współczesności. I nie chodzi tu o zalew dat i nazwisk, lecz o umiejętność analizy zjawisk, która to kompetencja pozwoli młodym zrozumieć, kim są i dokąd dążą.

Jak sobie poradzić z interpretacją zjawisk przy takiej polaryzacji społecznej świadomości? Nauczyciel ze światopoglądem narodowym zupełnie inaczej będzie opowiadał o polskim dziedzictwie niż ktoś, kto jest komunistującym anarchistą.

Uczciwy nauczyciel historii, bez względu na to, jakie ma poglądy, powinien pokazać pełne spektrum oceny różnych zjawisk. Powstanie warszawskie np. winien przedstawić z pozycji narodowych, >>

>> piśsudczykowski, lewicy niepodległościowej i niedobitków KPP. Wtedy na mapie zjawisk widzimy więcej szczegółów historycznych. Uświadamiamy sobie, jakie wartości wyznawały poszczególne nurty światopoglądowe. Tylko pełne spektrum pokazuje prawdę i tylko ta prawda jest ciekawa. Młodzież od razu wykrywa fałsz i agitację. Jeśli nauczyciel siemięźnie i bardzo jednostronnie przedstawia pewne zjawiska, młodzież traci zaufanie.

Pod warunkiem, że ma już jakąś orientację w danej dziedzinie, która pozwala na samodzielną ocenę. Zmagania z podrywaczem prof. Roszkowskiego i HiT-em świadczą jednak o tym, że nauczyciele nie są chętni do pokazywania wszelkich interpretacji. Uczciwość naukowa przegrywa ze światopoglądem i ustawiczną opozycją do wszystkiego, co proponuje rząd.

To bardzo dobry przykład! 20 lat temu prof. Wojciech Roszkowski wydał wraz z Anną Radziwiłł całą serię podręczników do szkół średnich. Ja też z nich korzystałem. Dziś ci ludzie, którzy pasją historii zarazili się od profesora, odrzucają książkę do HiT-u często a priori, nie z powodów merytorycznych. Żaden uznany autorytet w dziedzinie historii w Polsce – ja przynajmniej nie znam takiego – nie zarzucił profesorowi błędów merytorycznych czy metodologicznych. Cała sprawa pokazała, że może komunizm w 1989 r. w Polsce upadł, ale mentalność komunistyczna w Polakach trwa. To jest w skali do tej pory nieznaną w systemie oświatowym efekt nagonki medialnej. To, z jakiego podręcznika i pomocy dydaktycznej nauczyciel korzysta, to jest jego suwerenna decyzja. Wiem, że wielu władarzy dużych miast wydało zakaz używania tego podręcznika na wzór cenzorskich praktyk z okresu PRL. Nawet nauczyciele szanujący dorobek i autorytet prof. Wojciecha Roszkowskiego ulegli presji dyrektorów, samorządów czy nawet niektórych nadgorliwych, zaczadzonych ideologią z Czerskiej czy z Wiertniczej rodziców. Patrząc po statystykach, uważam, że stchórzyli.

Jak sobie radzić z tego typu zagrożeniami w erze, w której cieszymy się dobrodziejstwem, a zarazem przymusem bezpłatnego nauczania powszechnego? Jak sprawić, aby kanon formacyjny historii, czyli przekazywania dziedzictwa,

był kanonem niedyskutowalnym bez względu na sytuację polityczną, żeby nauczyciele przekazywali uczniom patriotyzm?

To jest bardzo trudne pytanie, bo trzeba by każdego nauczyciela potraktować indywidualnie, a tego się nie da zrobić. Uważam, że wielkim zadaniem dla nas jako ministerstwa jest to, aby podstawa programowa historii nie była przeciążona, ale zawierała niezbędne elementy. Pamiętam ze swojej szkolnej edukacji i słyszę często od swoich wyborców – rodziców, że historia współczesna jest pomijana. Zajmowaliśmy się dziejami antyku, a na XX w. w Polsce nie starczyło czasu. Dla Polaków tu żyjących dużo ważniejsze są rozstrzygnięcia II wojny światowej niż II wojny punickiej i rola naszego narodu w tych zmaganiach na wielu płaszczyznach.

TYLKO TEN, KTO NIE JEST ŚWIADOM DZIEDZICTWA KULTUROWEGO I HISTORII POLSKI, MOŻE MIEĆ KOMPLEKSY NA TLE INNYCH NARODÓW

Czyli jedyna możliwość to formacja nauczycieli. To jest zadanie dla ministerstwa?

Nie jesteśmy w stanie robić certyfikacji dopuszczenia do zawodu i nie możemy wprowadzać cenzury. Możemy tylko i wyłącznie wywierać miękką presję poprzez liczne szkolenia, wpływ metodyków, akcje społeczne, zachęcanie młodych ludzi i zainteresowanie ich historią. Najlepiej byłoby, żeby sami uczniowie domagali się rozszerzenia tej wiedzy historycznej i sięgali po dostępne publikacje. Wbrew powszechnej opinii historia jest w polskim społeczeństwie kochana. Patrząc na zainteresowania młodych ludzi ich historią lokalną czy na uginające się półki z czasopismami, liczbę wydawnictw książkowych, jesteśmy dobrej myśli, jeśli chodzi o kondycję polskiej świadomości

historycznej. Co prawda, narzekanie to nasza cecha narodowa, ale na tle innych narodów wypadamy dobrze. Bardzo żyjemy naszą przeszłością – w dobrym tego słowa znaczeniu, bo ona rzutuje na naszą teraźniejszość i przyszłość.

Profesjonalista czy mistrz? Do której z tych postaw ministerstwo zachęcałoby nauczycieli, oczywiście biorąc pod uwagę osobowość i charakter. Są przecież mechanizmy promujące różne postawy.

Uważam, że każdy nauczyciel powinien być profesjonalistą w tym sensie, żeby prawdziwie i z największą starannością przekazywał fakty. Życzyłbym sobie jednak, żeby było jak najwięcej mistrzów, bo mistrz to profesjonalista, ale również osoba, która jest w stanie wyjść poza ramy podstawy programowej i nie tylko przedstawić wiedzę, lecz także dzięki charyzmie pociągnąć za sobą uczniów. A najważniejsze jest umiłowanie prawdy. Historia ma też ten walor, że pozwala obserwować i oceniać konkretne zachowania i postawy. Trzeba na zjawiska historyczne patrzeć w sposób zobiektywizowany, jeśli chodzi o fakty, a subiektywny, jeśli chodzi o ocenę. Można różnić się w kwestiach obyczajowych czy systemu wartości, ale zgadzać w historycznych. I przeciwnie, nawet w ramach tych samych światopoglądów możemy spierać się w ich ocenie. Nie ma prawdziwości.

Podstawą jednak musi być szacunek do państwa polskiego!

Jakiegolwiek próby zaangażowania szkoły do polityki antypaństwowej, tzn. podważenia sensu istnienia państwa polskiego, deprecjonowania polskiej historii i kultury, muszą być gorącym żelazem wypalane. Jeśli tego jako wspólnota polityczna nie rozumiemy, to znaczy, że jesteśmy w bardzo ciężkiej sytuacji. Mam jednak nadzieję, że daleko nam do tego. Nie znam poważnego bytu na scenie politycznej, który myślałby tak destrukcyjnie. Pojedynczych polityków oczywiście byśmy znaleźli. Tutaj musi być po prostu zdecydowana reakcja na działanie antypaństwowe. Uważam, że całościowa ocena naszych dziejów jest pozytywna. Jestem dumny z tego, że jestem Polakiem!

Życzymy sobie, żebyśmy potrafili tak wychować młode pokolenie. Żeby oni też czuli się dumni! Dziękuję bardzo za rozmowę.

NIĆ ŻYCIA
KULTURALNEGO
I UMYŚLOWEGO
W XIX w. W POLSCE
NIEUSTANNIE SIĘ
RWAŁA. BYŁ TO WYNIK
KOLEJNYCH ZRYWÓW
INSUREKCYJNYCH
I NASTĘPUJĄCYCH W ICH
WYNIKU NATĘŻONYCH
PRZEMYSŁANYCH
REPRESYJNYCH
DZIAŁAŃ ZABORCÓW
WYMIERZONYCH
W POLSKĄ TOŻSAMOŚĆ



**MACIEJ
GLOGER**

**DZIAŁALNOŚĆ
EDUKACYJNA
I POZYTYWISTYCZNA
AUGUSTA HR.
CIESZKOWSKIEGO**

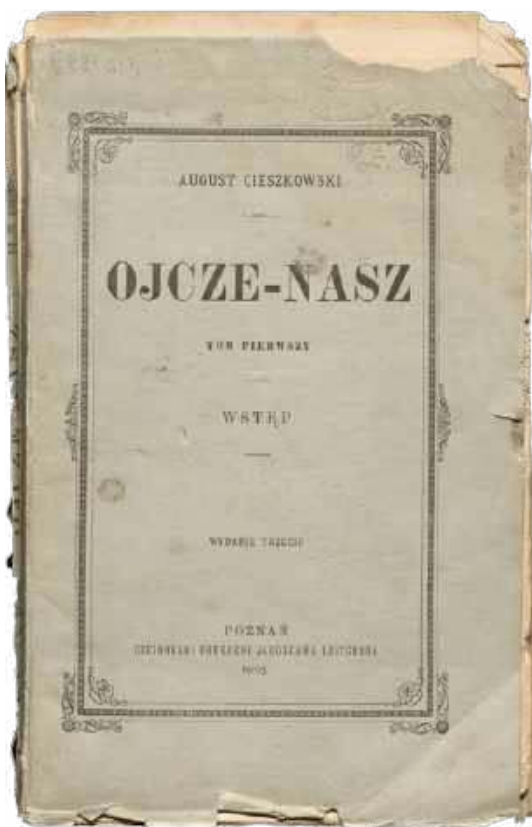
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ciągłość życia duchowego, starania o poziom i zakres oświaty w XIX w. na ziemiach polskich zależała coraz bardziej od oddolnych inicjatyw obywatelskich i to często bardziej o charakterze indywidualnym niż zbiorowym. Jednym z takich ludzi instytucji, dzięki którym wzrastał nie tylko dorobek polskiej filozofii, lecz przede wszystkim udało się utrzymać poziom kultury oświatowej i edukacyjnej w ówczesnej Polsce rozbiorowej, był August hr. Cieszkowski. Podkreślić trzeba zarazem, że czynił on wszystko, aby jego indywidualne wysiłki uzyskały trwalsze i szersze podstawy społeczne, by wrosły w zbiorowość i stały się jej fundamentami na przyszłość. Jego działalność, jak rzadko która, potrafiła łączyć wyrafinowane koncepcje filozoficzne i historiozoficzne z inicjatywami praktycznymi, które złożyły się na cały szereg działań organicznych obejmujących wiele sfer życia codziennego (przede wszystkim w Wielkopolsce). Trzeba pamiętać, że Cieszkowski prowadził zarówno wyrafinowane dysputy historiozoficzne z Zygmuntem Krasińskim, jak i potrafił doskonale zajmować się wraz z Hipolitem Cegielskim zaprowadzaniem nowych urządzeń w rolnictwie.

Idea Królestwa Bożego a korzenie Unii Europejskiej

Cieszkowski wniósł największy wkład do filozofii powszechnej spośród wszystkich polskich filozofów XIX i XX w., co wciąż nie jest docenione w powszechnej świadomości naukowej i społecznej. Jego koncepcje historiozoficzno-reformistyczne, oparte na wnikliwym przemyśleniu teologii i zasad etycznych chrześcijaństwa, stanowią dzisiaj najważniejszą konkurencyjną alternatywę wobec ideologii wolnomularskiej, na której osadzone są obecne procesy integracyjne Unii Europejskiej przybierające coraz bardziej centralistyczny charakter. Im bardziej będą narastać tendencje federalistyczne i totalistyczne w krajach Unii, tym większa szansa na to, że uniwersalistyczna wizja połączenia narodów w duchu Chrystusowym, rozwinęta przez Cieszkowskiego w jego życiowym dziele „Ojcie nasz”, znajdzie poważanie i zostanie spopularyzowana. Jest to wizja

nad wyraz nowoczesna i na czasie. Autor dzieła zlecił jego publikację synowi, sam był bowiem przekonany, że „czasy jeszcze nie nadeszły”. Idea połączenia rozwoju materialnego i postępu technicznego z dążeniami soteriologicznymi chrześcijaństwa wydaje się nad wyraz śmiała i niezwykle spektakularna. Myśl Cieszkowskiego przeszła jednak sprawdzian praktyczny, a jego inicjatywy, inspirowane mesjanistycznym duchem, wnikały w życie codzienne i stawały się czynem. Kontemplacja „Modlitwy Pańskiej”, jaką jest jego dzieło życia, doprowadziła go do przekonania, że Królestwo Boże na ziemi „jest rzeczywistym stanem, którego dostąpić cała



Ludzkość jest przeznaczoną”. Myśl Cieszkowskiego krążyła blisko socjalizmu utopijnego w rodzaju koncepcji Pierre-Josepha Proudhona czy Henriego Saint-Simona i pozytywizmu Augusta Comte’a, ale zdecydowanie opowiadała się za utrzymaniem wiary w Boga osobowego, wolną wolę i czyn jednostki, jak i esencjalną, niepowtarzalną naturę oraz misję każdego poszczególnego narodu. Pozytywiści, wolnomularze i dzisiejsi eurokomuniści dążą mechanicznie do abstrakcyjnej ludzkości kosztem inicja-

tyw indywidualnych, samorządów oraz narodowych tożsamości.

Ojciec polskiego pozytywizmu i organicznej ekonomii

To August hr. Cieszkowski jest ojcem polskiego pozytywizmu i największym realizatorem hasła „pracy organicznej”. Termin ten spopularyzował się w drugiej połowie lat 40. XIX w. najpierw w Wielkopolsce, ale praktyka takich działań zaistniała wcześniej, przynajmniej od powrotu gen. Dezyderego Chłapowskiego po wojnach napoleońskich do Wielkopolski. Cieszkowski jest autorem pierwszego całościowego polskiego manifestu pracy organicznej „O skokarzeniu dążeń i prac umysłowych w Wielkim Księstwie Poznańskim”, opublikowanego w 1843 r. Rok wcześniej ogłasza rodzaj instrukcji-poradnika „O ochronach wiejskich”, inspirowany angielskimi doświadczeniami i dokonaniem, który staje się inspiracją do charytatywnej działalności bł. Edmunda Bojanowskiego. Rozprawka natchniona jest myślą utopijnego socjalisty Roberta Owena, ale jest też poprzedzona dwoma mottami z Ewangelii. Skalę jego praktyczno-ekonomicznych horyzontów wyznaczają rozprawy „O organizacji handlu drzewem. Uwagi nad obecnym stanem finansów angielskich” czy zwłaszcza profetyczna i obecnie bardzo na czasie rozprawa ekonomiczna, opublikowana po francusku „O obiegu i kredycie” z 1837 r. Rozprawa ta zaciękała m.in. Proudhona. Próżno jednak szukać wzmianek o koncepcjach Cieszkowskiego w historiach myśli ekonomicznej, tak jak nie znajdziemy takich informacji na temat koncepcji dystrybucjonizmu Gilberta K. Chestertona i Hilairego Belloc’a.

Od Cieszkowskiego można wywieść trzeci nurt myśli ekonomicznej, przełamujący doktrynalizm kapitalizmu leseferycznego i centralizmu komunistycznego. W nurt ten można wpisać myśl ekonomistów związanych z nowoczesnym ruchem narodowym: Wincentego Lutosławskiego, Romana Rybarskiego, Adama Doboszyńskiego. Trzeba ten nurt nazwać ekonomią organicystyczną, godzącą samorządność i własność prywatną z koniecznością pewnych działań i inicjatyw państwowych, np. w dziedzinie edukacji,

porządku publicznego czy obronności, przeprowadzanych jednak zawsze w duchu etyki chrześcijańskiej i prawa naturalnego. Najgłębsze źródło tej ekonomii biło z Listu do Koryntian św. Pawła: „Podobnie jak jedno jest ciało, choć składa się z wielu członków, a wszystkie członki ciała, mimo iż są liczne, stanowią jedno ciało, tak też jest i z Chrystusem”. Cieszkowski w swoim fundamentalnym dziele „Ojciec nasz” pojmował, że społeczeństwo jest „powszechnym człowiekiem” i posiada podobne jak jednostka fazy wzrastania (ciało to okres dzieciństwa, dusza odpowiada czasom młodości, duch to efekt dojrzałości, wtedy rozwija się „cała rzeczywistość ducha”). Zatem „wszelkie społeczeństwa i nareszcie ludzkość cała, ów powszechny, zbiorowy człowiek przez podobne przygotowawcze szczeble żywota przejść musiałby przed dostąpieniem dojrzałego i właściwego stanu swego”. Ludzkość przechodzi więc analogiczne stany rozwoju jak człowiek, aby przez stan fizyczny i dalej moralno-ideowy dojść do „trzeciego, organicznego i właściwie duchowego okresu”. Sądził, że zbiorowości wiąże „siła asocjacji”, która jest pierwotnym pierwiastkiem organicznotwórczym o Boskim pochodzeniu. Postęp społeczny prowadzi do demokracji organicznej, w której znikają stopniowo wszelkie animozje. Filozofia ta stała u podstaw pozytywizmu Cieszkowskiego, który zarazem był wielkim orędownikiem postępu i wynalazków, takich jak maszyny parowe, telegrafy i nawozy sztuczne. „Dlatego wynalazek maszyn parowych, jako też stowarzyszeń, słusznie poczytać by można za zwiastunów owej powstającej w naszym wieku potęgi, [...] a której nazwisko: prawdziwa, dobrze rozumiana, organiczna demokracja” – pisał filozof w 1850 r. w akcie Ligi Polskiej, której był czołowym działaczem.

Minister edukacji narodowej

Po aresztowaniu Cieszkowskiego w Królestwie Polskim za działalność edukacyjną osiadł on w 1842 r. w Wierzenicy nieopodal Poznania. Tam wielokrotnie gościł Zygmunta Krasińskiego, tam też w pięknym drewnianym kościele pochodziącym z XVI w. znajduje się jego grobowiec. Po zamieszkanu rozpoczął od razu prace nad podniesieniem stanu gospodarowania w Wielkopolsce oraz nad podniesieniem kultury umysłowej. W latach 1851–1855 prowadził w sejmie

pruskim batalię o założenie polskiego uniwersytetu w Poznaniu. Gdy batalia ta skończyła się niepowodzeniem, Cieszkowski stał się współzałożycielem w 1857 r. Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu (późniejsze Poznańskie Towarzystwa

wniósł Cieszkowski do rozwoju nie tylko filozofii, lecz także nauk empirycznych i przyrodniczych. W dobie zaborów pełnił on po prostu rolę polskiego ministra nauki i oświaty, aczkolwiek miał licznych prekursorów, zastępców i kontynuatorów

„LUDZKOŚĆ CAŁA, ÓW POWSZECHNY, ZBIOROWY CZŁOWIEK PRZEZ PRZYGOTOWAWCZE SZCZEBLE ŻYWOTA PRZEJŚĆ MUSIAŁBY PRZED DOSTĄPIENIEM DOJRZAŁEGO STANU SWEGO”

Przyjaciół Nauk, popularny PTPN), którego był prezesem trzykrotnie (w latach 1857–1858, 1861–1868, 1893–1894, t. do śmierci). Towarzystwo to stało się w naturalny sposób fundamentem, na którym było możliwe powołanie do życia w 1919 r. Uniwersytetu Poznańskiego. W 1870 r. założył Szkołę Rolniczą w Żabikowie im. Haliny (ku pamięci zmarłej żony filozofa). Szkoła ta stała się załącznikiem Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, funkcjonującej obecnie jako Uniwersytet Rolniczy. W ten sposób dzieła Cieszkowskiego ukazywały znaczenie prac powolnych, uporczywych, organicznych i ewolucyjnych słowem. Ta ostatnia placówka na skutek represji zaborcy pruskiego działała zaledwie siedem lat, jednak w tym krótkim czasie wykształciła wcale pokażny dorobek naukowy. W 1875 r. odbywała się w Warszawie Wystawa Przemysłowo-Rolnicza, na której szkoła prezentowała swój dorobek. Wizytujący wystawę Bolesław Prus był zachwycony zaprezentowanymi osiągnięciami: „Stajemy wobec okazów stanowiących kulminacyjny punkt naukowej strony naszej ekspozycji. Mówiąc tak, mamy na myśli plastyczną monografię pszenicy, nadesłaną przez Szkołę Rolniczą Żabikowską. Oto co nadesłała nam ta szkoła: a) 180 odmian pszenicy w ziarnach i kłosach; b) modele woskowe przedstawiające rozwój zarodka, korzeń pszenicy (6 stóp), odcisk jego na marmurze; c) kultury wodne pszenicy w normalnych i nie-normalnych rozczyinach”. Opis ciągnie się jeszcze długo i musi on imponować nawet laikom. Kronika Prusa zaświadcza najbardziej obrazowo, jak ogromny wkład

w postaci całego szeregu przedstawicieli wielkopolskiej pracy organicznej.

Warszawscy pozytywiści a dziedzictwo wielkopolskiej pracy organicznej

Z dorobku tego wyrastał także po 1864 r. tzw. pozytywizm warszawski, który początkowo pozostawał pod wpływami naturalizmu, ewolucjonizmu i empiryzmu angielskiego. Dużą część wybitnych przedstawicieli tego środowiska – z Prusem, Sienkiewiczem i Orzeszkową na czele – przeszła ewolucję umysłową pozwalającą uznać, że pozytywizm polski ma charakter bardziej chrześcijański, ewangeliczny i spirytualistyczny. Młody Prus, Julian Ochorowicz, studenci Szkoły Głównej korzystali często z prac wydanych w kręgu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W dojrzałych latach coraz bardziej zwracali się do myśli romantycznej, np. Orzeszkowa do poematów i rozpraw Zygmunta Krasińskiego. W jednej z ostatnich rozpraw Prusa pojawiają się katechizmowe słowa, które ktoś nieświadomy mógłby bez wahania przypisać Cieszkowskiemu: „A co to jest człowiek? Jest to dziecię Boże, stworzone na obraz i podobieństwo Ojca, którego powinien naśladować. Gdy go naśladuje, pracuje nad urzeczywistnieniem Królestwa Bożego na ziemi. I tyle. W kilku słowach streszcza się cała historia cywilizacji”.

W powyższych słowach, a nie w rozważaniach Milla, Marksa czy Darwina, streszcza się także prawdziwe dziedzictwo polskiego pozytywizmu.



**ROBERT
GAWEŁ**

Wielkopolski
Kurator Oświaty

ROK 2023 ZOSTAŁ UZNANY ROKIEM GENERAŁOWEJ JADWIGI ZAMOYSKIEJ (1831–1923)

W uznaniu zasług Jadwigi z Działyńskich Zamoyskiej dla polskiego społeczeństwa i kształtowania wzorców postaw obywatelskich, uniwersalnego i ponadczasowego potencjału jej myśli wychowawczej, kulturotwórczej roli stworzonej przez nią i jej syna, Władysława Zamoyskiego, Fundacji Zakłady Kórnickie, w setną rocznicę śmierci, Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ogłasza rok 2023 Rokiem Jadwigi Zamoyskiej” – czytamy w końcowym fragmencie uchwały rocznicowej.

Ta jedna z najwybitniejszych Polek, obeznana w świecie dyplomacji środowiska Hotelu Lambert, mająca szerokie horyzonty zainteresowań, a przede wszystkim twórczyni wielkiego dzieła wychowawczego, jakim była Szkoła Domowej Pracy Kobiet w Kórniku – Jadwiga z Działyńskich Zamoyska urodziła się w Warszawie 4 lipca 1831 r. Była dzieckiem Gryzeldy Celestyny Zamoyskiej i Adama Tytusa Działyńskiego. Jej matka Celestyna prowadziła szeroką działalność edukacyjną, zakładała szkoły na wsi, pomagała ubogim i chorym, przyczyniając się do powstania w 1853 r. Towarzystwa Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo. Piastunką Gryzeldy była panna Cléry, córka pierwszego kamerdynera Ludwika XVI, która – to ciekawostka – była jedną z wielu emigrantów po rewolucji francuskiej, jacy znaleźli schronienie w Polsce. Ojciec Jadwigi, Adam Tytus Działyński, to jeden z najznajniejszych reprezentantów polskiej szlachty, powstaniec listopadowy, kolekcjoner dzieł sztuki, wydawca źródeł historycznych,

który z kórnickiego zamku uczynił twierdzę kultury polskiej. Skazany w Królestwie na karę śmierci i konfiskatę majątku za udział w powstaniu 1830 r. zamieszkał w Małopolsce. Dobra odzyskał w 1838 r. w wyniku procesu.

Dzieciństwo Jadwigi to czas represji popowstaniowych i emigracji. Atmosfera romantycznej poezji, legendy ześląnców syberyjskich i konieczność poświęcenia dla ojczyzny kształtowały jej poglądy. Nauki pobierała w typowej dla panien z rodzin arystokratycznych formule nauczania domowego przy pomocy guwernantek, z których największą rolę odegrała Angielka – Anna Birt. Stała się ona z czasem przyjaciółką i dożyła kresu swoich dni przy generałowej. Birt była protestantką, co zapewne wpłynęło na przyzwyczajenie jej uczennicy do systematycznego czytania Pisma Świętego. Jej cechy charakteru, jak systematyczność, pracowitość, ciekawość świata, przekładały się na zamiłowanie do języków obcych (uczyła się nawet perskiego i tureckiego), miłość do sztuki, muzyki i literatury.

Małżeństwo z bratem matki

Brat Gryzeldy Zamoyskiej, Władysław, był kształcony w kierunku kariery wojskowej. Po przegranym powstaniu listopadowym udał się na emigrację, nawiązując bliską

współpracę z księciem Adamem Jerzym Czartoryskim i jego ugrupowaniem Hotel Lambert. Imponował on Jadwidze swoim oddaniem w służbie ojczyźnie i szybko stał się dla niej autorytetem. Okazało się, że Władysław miał plany matrymonialne

„SŁUŻYĆ BOGU,
SŁUŻĄC OJCZYŹNIE,
SŁUŻYĆ OJCZYŹNIE,
SŁUŻĄC BOGU”

wobec Jadwigi, wspierane zresztą przez jej matkę. Jadwiga odczuwała naturalną niechęć do małżeństwa z o wiele starszym i do tego blisko spokrewnionym wujkiem, co było powodem rozstroju nerwowego. Determinacja wuja była jednak tak wielka, że pokonał opory i lęki przyszłej żony. Po otrzymaniu dyspensy od papieża Piusa IX i perypetiach związanych z zakazem powrotu jako wygnańca do Wielkiego Księstwa Poznańskiego do ślubu doszło w Halle 14 października 1852 r. I tak oto „miałam lat niespełna 21, ale żyłam sobie, jakbym ich miała czterdzieści” – napisała we wspomnieniach Jadwiga Zamoyska.

Czas rozterek przekształcił się w końcu u Jadwigi w pełną miłość, a wzajemny szacunek uczynił z ich małżeństwa uzupełniający się związek. Choć pierwotnie się nie zanosilo, to jednak pożycie ich było udane i szczęśliwe. Młoda żona coraz bardziej wciągała się w życie polskiej emigracji, przejmując de facto rolę sekretarza swojego męża. Mieli czworo dzieci, z których córeczka Maria zmarła jako niemowlę.

Okres wojny krymskiej (1853–1856) był dla państwa Zamoyskich czasem szczególnej aktywności dyplomatycznej. Rząd turecki zwrócił się do księcia Adama Czartoryskiego z prośbą o przysłanie dowódców do armii z nominacją na generała dla Władysława Zamoyskiego. Jadwiga prowadziła korespondencję męża, przyjmowała posłów, organizowała herbatki, bywała z Władysławem na balach i rautach. Jej znajomość tureckiego robiła dobre wrażenie i ułatwiała polityczne działania Zamoyskiego. Po upadku powstania styczniowego jej zaangażowanie w sprawy polityczne znacząco osłabło.

Szkoła Domowej Pracy Kobiet

Po śmierci męża w 1868 r. Jadwiga kontynuowała pracę pamiętnikarską. Starła się uporządkować archiwum generała, a przede wszystkim tłumaczyć zawichości polityki europejskiej wokół sprawy polskiej. Jej pamiętniki stały się niezwykle ważnym źródłem wiedzy o Wielkiej Emigracji. Jednak coraz bardziej zaprzętała jej umysł chęć wykorzystania własnej wiedzy i doświadczenia do szerzenia oświaty. Jadwiga dobrze rozumiała potrzebę pracy organicznej i tego, co jest jej istotą, a więc edukowania ludu, który może w ten sposób wydzwignąć się ma-



Jadwiga Zamoyska
z wychowankami

terialnie, a przede wszystkim zdobyć świadomość wspólnoty, którą jest naród.

W Poznaniu uznawano konieczność walki o kulturę, która musi się zaczynać w domu rodzinnym, gdzie uczy się języka i wiary ojców. Pracę tę wspomagały parafie i niezliczone organizacje, pobudzające cały lud do czynu. Główną rolę w tym dziele odgrywały kobiety. One tworzyły wyjątkową atmosferę wychowawczą, wskazując dzieciom, a także swym mężom najlepszą drogę do celu: wiara, dom, praca, wspólnota. Wystarczyło obserwować, co działo się w rodzinach mieszanych, gdzie matka była Polką, a ojciec Niemcem. W większej ich części już w następnym pokoleniu następowała polonizacja.

Dla Jadwigi Zamoyskiej najbardziej uciążliwą pracą, z jaką przyszło się zmierzyć kobiecie, było prowadzenie gospodarstwa domowego. Wydaje się, że właśnie ta – typowa dla niej – chęć przewycięzania trudności przez stawianie im czoła legła u podstaw powstania Szkoły Domowej Pracy Kobiet. Ogromny wpływ na duchowy kształt szkoły mieli oratorianie (Kongregacja Oratorium Świętego Filipa Neri), kierujący się zasadą: modlitwa, nauka, praca. Postać ojca Adolphe'a Perrauda i jego dzieło pomocy polskim emigrantom we Francji, a przede wszystkim kształcenie sierot po powstańcach, zaowocowało długoletnią współpracą generałowej z tym zgromadzeniem. Poza tym odwiedzanie szkół i ochronek prowadzonych przez paryskie

wizytki czy rzymskie siostry miłosierdzia oraz rekonesansy w Danii i Holandii dały dużo wiedzy o tym, jak zorganizować specjalistyczną szkołę gospodarowania dla dziewcząt.

Szkoła Domowej Pracy Kobiet powstała w Kórniku w 1881 r. przy gospodarstwie, które było dla niej zapleczem praktycznym, a także zasilalo finansowo całe przedsięwzięcie. Hodowla krów, drobiu, mleczarnia, przetwórstwo rolne, a także pracownia krawiectwa oraz sklep z dzianinami dają wyobrażenie o rozmachu działalności Zamoyskiej w Kórniku. Ten „projekt folwarczny” był tak pomyślany, aby nie nagłaśniać faktu istnienia szkoły, co w okresie wzmożonego kulturkampfu mogło doprowadzić do interwencji władz niemieckich i zakazu działalności. Władze pruskie przyglądały się uważnie placówce, a coraz częstsze nękania zakończyły się krótkim aresztem generałowej i zamknięciem szkoły. Zamoyska zaczęła szukać dla zakładu nowej siedziby. Przejściowo znalazła je w Lubowli na Spiszu i Kalwarii Zebrzydowskiej. Miejsca te, ze względu na klimat i potencjalnie duże nakłady finansowe, nie nadawały się na tego typu działalność. Ostateczną przystanią dla szkoły stało się Zakopane (Kuźnice), które syn Jadwigi, Władysław, nabył w 1889 r. Miejsce to dla Polski okazało się niezwykle cenne, a wobec rodu Zamoyskich stanowić winno powód wiecznej wdzięczności narodu.

Aby uzyskać niezależność w działalności placówki, będącej organizacją >>

» świecką, Zamoyska wystarała się o błogosławieństwo papieża Leona XIII i stosowne pismo urzędowe. Nauki gospodarowania pobierały tam dziewczęta z domów zasobnych i biednych, przy czym te ostatnie uczyły się bezpłatnie.

Zamoyskiej system wychowania

Jadwiga Zamoyska ubolewała nad stanem społeczeństwa polskiego, upadkiem wychowania i złym przykładem, jaki dorośli dają dzieciom. Główną siłą naprawczą tego stanu – według Zamoyskiej – powinny być kobiety, bo „ludzie znakomici mieli matki znakomite”. Celem wychowania powinno być poznanie Boga i służba Jemu, co przyczyni się do nagrody wiecznej. Cały zaś proces wychowawczy powinien opierać się na katechizmie, gdzie wyłożone są zasady wiary, oraz kształceniu woli, której dziecko musi nauczyć się od dorosłych. Generałowa stawiała na dobre przygotowanie nauczycieli, bo mieli oni stawać się dla młodego człowieka drogowskazem na drodze życia. Rodzice, wychowawcy, nauczyciele, księża – to od nich w głównej mierze zależy kondycja społeczna i narodowy rozum. Szkoła była dla Zamoyskiej miejscem służby Bogu i ojczyźnie. Bo właśnie z edukacji i ćwiczenia przydatnych nam cnót (pracowitości, oszczędności, umiarkowania, porządku) nastąpić może odkupienie win i zmartwychwstanie ojczyzny.

Krytykowała narodowe wychowanie oparte tylko na uczuciach, przy braku zdrowego rozsądku, obowiązkowości i systematyczności w pracy. Jednocześnie stała na stanowisku, że każda z uczennic

wymaga odrębnego podejścia wychowawczego. Zamoyska prowadziła z nimi indywidualne rozmowy, podobnie z ich rodzicami. Regulamin szkoły był surowo przestrzegany, a konsekwencja i wspólne działanie wychowawców przynosiły pożądane efekty. W całym procesie edukacyjnym stosowano metodę praktycznego wychowania. Chodziło o takie zorganizowanie pracy, aby oszczędzać czas i wykonywać czynności efektywnie. Czy to w kuchni, piekarni czy mleczarni, wszędzie praca wykonywana była według ustalonego schematu.

W swoim podręczniku „O wychowaniu” w szczegółowy sposób pokazała drogę pracy nad sobą i poznania prawdy przez katolickie zasady teologiczne. Dlatego też wychowanie duchowe, na które składały się: czytanie Pisma Świętego, modlitwa, rozmyślanie, stanowiły tak ważną część w przezwyciężaniu słabości i kształtowaniu charakteru. Wychowaniu umysłowemu służyć miały zajęcia teoretyczne wykładane w szkole: katechizm, arytmetyka, historia Polski, rachunki, śpiew, kaligrafia. Ogromną wagę Zamoyska przykładła do nauki czytania, głównie książek religijnych i historycznych, ale także dzieł filozoficznych.

Istotą wychowania było podejście integralne. Podkreślała, iż „niektórzy zapominają, że prawa moralne są równie obowiązujące, jak fizyczne” oraz że „nie należy ani przedwcześnie rozwijać umysłu dziecka, wkładając weń wiedzę ponad jego pojęcie, ani stawiać wymagań, którym słaba wola podołać jeszcze nie może, ani narażać na pokusy, z którymi walczyć dziecko nie jest jeszcze w stanie”. Wysoko ceniła posłuszeństwo. Trak-

towała je nie jako środek ograniczający wolność czy indywidualność dziecka, ale narzędzie, które „wyrabia samodzielność i kształci zdolność do trafnych i stanowczych kroków”. Kwintesencję systemu wychowania ujęła następująco: „Wszelka nauka bez wiary służy raczej do paczenia umysłu, niż do kształcenia go; ale jeżeli nauka bez wiary wykołaja umysł, a tym samym sąd i życie całe, to nauka oparta na wierze i jej towarzysząca stokroć pomnaża dobrodziejstwa z wiary płynące”. „Na co nauka i wykształcenie, jeśli im nie towarzyszy wychowanie, to jest wyrobienie zdrowego sądu, czujnego sumienia, męskiej woli i hartu duszy?”.

Mimo że Jadwiga Zamoyska tak duże znaczenie przywiązywała do wykształcenia kobiet i uważała, że dziewczęta muszą być uczone na równi z chłopcami, to jednak po wyjściu za mąż miały się, jej zdaniem, poświęcić obowiązkowi rodzinnemu. System wychowawczy obowiązujący w szkole generałowej z biegiem lat był coraz bardziej krytykowany za to, że w czasach emancypacji stosował niepasujące do współczesności metody. Zamoyska nie miała jednak zamiaru podporządkowywać się oczekiwaniom, bo wierzyła w to, że to właśnie taki system edukacyjno-wychowawczy przynosi najlepsze efekty. Ten konserwatywny program wychowawczy dawał dziewczętom szansę na awans społeczny, dzięki temu paradoksalnie je emancypował.

Ta kobieta o cechach heroicznych, mądra i konsekwentna w działaniu ostatnie lata swojego życia spędziła w Kórniku, gdzie zmarła 4 listopada 1923 r. Była osobą niezwykle uduchowioną i religijną, niewątpliwie otoczoną charyzmą, wypełniającą obowiązki wobec Boga i ojczyzny. Jest wciąż postacią, której przykład pociąga następne pokolenia.

Wielkim dobrem dla Polski stała się Fundacja Zakłady Kórnickie. Powstała ona dzięki darowiźnie Jadwigi z Działyńskich Zamoyskiej oraz jej syna Władysława Zamoyskiego, którzy należący do nich majątek przekazali w całości Narodowi Polskiemu. Po wojnie majątek ten został zagrabiony przez państwo komunistyczne. Wydarzeniem niezwykłym była restytucja Fundacji Zakłady Kórnickie w 2001 r., co – biorąc pod uwagę ówczesną sytuację polityczną – mogło sprawiać wrażenie, jakby ktoś nie spośród żywych nad tym czuwał. Może to dobry duch generałowej – służebnicy Bożej?



Generałowa Zamoyska
przed zamkiem w Kórniku

MAŁOMIASTECZKOWA KINDERSZTUBA SPRZED PÓŁWIECZA

JEDNYM Z POJĘĆ TZW. PEDAGOGIKI POTOCZNEJ, POJĘĆ ODCHODZĄCYCH DO HISTORII I OBECNIE MOCNO TRĄCĄCYCH MYSZKĄ, JEST „KINDERSZTUBA”



ALEKSANDER
NALASKOWSKI

W rozmowach, które pamiętam z dzieciństwa, dało się słyszeć, że ktoś jest „bez kindersztuby”, albo że ktoś ma „złą kindersztubę”, a kto inny dobrą. Tutaj kindersztubę będziemy rozumieć jako zachowanie wynikające z wychowania. To coś więcej niż kultura bycia albo dobre

manieri. Kindersztuba bowiem jest nie tylko zachowaniem zewnętrznym, lecz także głęboko upodmiotowionym, przyswojonym tak mocno, że wydaje się być dla jednostki naturą. Dobre manieri czy kulturalne obycie są rodzajem gry aktorskiej, a w stosunku do kindersztuby są bardziej powierzchowne.

Od zawsze głównym miejscem nabywania kindersztuby był dom rodzinny.

Ale też nie można pominąć tutaj szkół czy guwernantek. O szczególnej kindersztubie przekazywanej przez szkołę bogato informuje nas np. regulamin gimnazjum im. Sułkowskich – słynnej „Rydzyny”.

Ja pragnęłbym się skupić na międzypokoleniowym przekazie kindersztuby jako zespołu upodmiotowionych zachowań regulujących życie domu. W tym wypadku międzypokoleniowość należy tak >>

FOT. MAC



Uczniowie w czasie lekcji
w klasie wzorcowej,
Instytut Pedagogiczny
w Katowicach

» rozumieć, jak przedstawiała to filozof i antropolog Margaret Mead. Przekaz kulturowy miał charakter postfiguracywny, czyli młodsze pokolenie uczyło się od starszego pokolenia, w przeciwieństwie do meadowskiego przekazu kofiguracywnego, w którym starsze i młode pokolenie wywierają na siebie wzajemnie wpływ. Trzecim typem wyróżnionej przez Mead transmisji jest przekaz prefiguracywny, w którym młodsze pokolenie kształtuje starsze. Nas jednak interesuje tu wyłącznie transmisja postfiguracywna, o której możemy śmiało rzec, że ma charakter tradycyjny.

Dom i rodzina – element pierwszy

Urodziłem się w inteligenckiej rodzinie w 1957 r. i jestem dzieckiem wyżu demograficznego, który eksplodował po ustąpieniu stalinowskiej nocy, po politycznej odwilży. Urodziłem się i wychowywałem w Chełmży. Małym miasteczkiem z wszystkimi tego wadami i atutami. Niektórzy publicyści nazywają moje pokolenie generacją boomerów, czyli generacją demograficznego wyżu, demograficznej hossy, urodzeniowego boomu. Moi rodzice podstawową kindersztubę zdobywali w okresie przedwojennym. Kształtowały ich rodzina, szkoła, kultura, Kościół, wydarzenia czasu międzywojnia, a w końcu i wojna. To ze swojego dzieciństwa przenosili wzorce wychowania, lęki, oczekiwania na swoje dzieci. A to oznacza, że moja kindersztuba wyrosła na gruncie wartości międzywojennych. Zwłaszcza, że rodzice nigdy nie sprzedali się komunizmowi.

Niekiedy wpajane mojemu rodzeństwu i mnie zasady mogą dziwić. Podam prosty przykład. W każdą sobotę wieczorem mieliśmy obowiązek przygotować ubranie na niedzielne wyjście do kościoła. Mieliśmy sprawdzić, czy odzież nie wymaga drobnej naprawy lub przyszycia guzika. Był to ostatni moment na takie prace, ponieważ w niedzielę obowiązywało bezwzględnie trzecie przykazanie. Niedzielne i świąteczne obiady miały swój nienaruszalny rytuał, zaczynały się zawsze modlitwą i przebiegały niemalże w całkowitym milczeniu przy dźwiękach odtwarzanej ze szklanych płyt na sfatygowanej Radioli muzyki poważnej. Zasadą było, że dzieci mogły odzywać się dopiero przy deserze. Jeśli się chciało po obiedzie odejść od stołu, komunikowało się to w następujący sposób: „Dziękuję, czy mogę odejść od stołu?”.

Pewnego roku proboszcz naszej parafii zainicjował niedzielne msze bigbitowe. Lokalny zespół w beatlesowskim składzie (trzy gitary i perkusja) akompaniował do mszy zamiast tradycyjnych organów. Były to nabożeństwa adresowane rzecz jasna do młodzieży. Lata 60. obfitowały w urodzaj rozmaitych zespołów „mocnego uderzenia”. Na jedną z takich mszy wybrała się moja mama. Po czym stwierdziła, że są one nieodpowiednie, naruszają sacrum i nakazała nam chodzenie na niedzielną mszę w innych godzinach, gdy akompaniowały organy. Co ciekawe, nie odczuwaliśmy tego jako terroru, przemocy ani też pruskiej dyscypliny. Byliśmy bowiem wychowani w tradycji, że słowo rodziców jest święte, co nie oznacza, że nie mogliśmy wyrażać własnego zdania. Niejednokrotnie w takim czy innym przypadku udawało się nam rodziców przekonać, jakkolwiek ostatecznie słowo należało zawsze do nich. W żadnym z tych przypadków nasza rodzina nie stanowiła wyjątku ani osobliwości. W wielu domach inteligenckich było dokładnie tak samo.

Wpajana nam kindersztuba dotyczyła również szkoły. Pod żadnym pozorem nie wolno nam było krytykować nauczycieli. Winy za niepowodzenia musieliśmy szukać wyłącznie w sobie. Po przyjeździe ze szkoły i posiłku należało niezwłocznie zabrać się za odrabianie lekcji, to warunkowało możliwość wyjścia na dwór do kolegów, do zabaw na podwórku. Zupełnie niepojęte było pójście do szkoły bez odrobionych zadań domowych. Ale i tutaj rodzice wykazywali pewną elastyczność. Zimą, ze względu na krótkie dni, można było po obiedzie wyjść na podwórko (bardzo popularna była wśród młodzieży gra w hokeja na zaimprovizowanych ślizgawkach), a dopiero potem po zmroku zabrać się za lekcje. Rodzice szanowali nasze zainteresowania i pasje. Wyrażało się to w kupowanych przy różnych okazjach prezentach, opłatach za naukę gry na instrumentach czy nawet finansowaniu wyjazdów związanych z zainteresowaniami.

Należy zauważyć, że w tamtym okresie wychowanie domowe i generowana przez nie kindersztuba były znacznie mniej podatne na neutralizację czy wręcz zniekształcenie przez środowisko rówieśnicze. Obecnie bardzo wielu rodziców traci wpływ na własne dzieci na rzecz grupy rówieśniczej, w której to dokonują się liczne inicjacje, nie zawsze zgodne z wychowawczymi intencjami rodziców, a często im zaprzeczające. W moim dzie-

ciństwie łatwo było dorobić się miana łobuza czy chuligana. Rodzice innych dzieci często zabraniali zabaw i kontaktów z kimś takim. A pozbyć się tego piętna było trudno.

25 lat byłem dyrektorem własnej szkoły i ze zdumieniem spostrzegałem, że granica wieku dziecka, na której rodzice tracą wpływ, stale się obniżała. Zdarzali się rodzice 12-latków, którzy przyznawali się do tego, że głównym wychowawcą ich dzieci jest podwórko.

W latach 60. grupy rówieśnicze w przeważającej swej liczbie nie były w stanie wykrzywić wychowania domowego. Jeżeli już, to w niewielkim stopniu. Działo się to z powodu dużego szacunku dla osób dorosłych i szacunku dla starości. Było wręcz nie do pomyślenia, żeby młody człowiek pyskował do osoby dorosłej. Na czynione przez dorosłych uwagi reagowało się przepraszać i z pokorą. Dorosłość i starość cieszyły się wysoką pozycją w codzienności. Świat był inaczej skonstruowany i szacunek do rodziców przenosiło się na innych dorosłych. Kierunek transmisji obyczaju był z domu na ulicę, a nie z ulicy do domu, jak to ma miejsce obecnie. To powodowało, że młodzież była w dużej mierze odporna na ewentualną demoralizację ze strony tzw. ulicy i przejmowanie złej kindersztuby. Przyznaję, że często dziś występująca fascynacja latami 60. i gomułkowszczyzną jest dla mnie niezrozumiała. Był to czas Polski przasnej, biednej, źle odżywionej i nudnej. Gdy pojawiali się goście z Zachodu, oznaczało to feerię nowych zapachów, smaków, kolorów i ich zupełnie dla nas niezrozumiałego zadowolenia z życia. W małych miasteczkach kontrast był nie do ukrycia. Stabilizacja okazywała się stagnacją, telewizja miała jeden program, w którym tylko od czasu do czasu można było obejrzeć klasykę kina czy zachodnie produkcje. Polacy gnuśnieli. Paradoksalnie jednak ta beznadziejna sytuacja wydawała się być sprzyjającą dla polskich rodzin. Dom był atrakcyjniejszy niż rzeczywistość na zewnątrz. Dzieci spędzały dużo czasu w towarzystwie dorosłych, a to sprzyjało ich wychowaniu i kształtowaniu kindersztuby.

Nauczyciele i szkoła – element drugi

Niezwykła rola przypadła szkole i nauczycielom. W latach 60. spora część moich nauczycieli pochodziła z dawnych Kresów Wschodnich, zwłaszcza z Wilna i okolic.

FOT. NAC



Byli to ludzie o nienaganej kindersztubie, ale i też wytrawni wychowawcy. Wychowania fizycznego uczył mnie dawny członek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Woźnym w szkole był mężczyzna w sile wieku, z wytatuowanym na przedramieniu numerem. W szkole, do której uczęszczałem, zupełnie nie czuło się żelaznego uścisku socjalizmu, indoktrynacji ani ateizacji młodzieży. Być może moja Chełmża była zbyt małą miejscowością, aby partia czy Służba Bezpieczeństwa zdecydowały się na jakąś większą tam aktywność.

Szkola jednakowoż wymagała dyscypliny. Dotyczyło to zarówno klasy, jak i boiska. Dyżurujący nauczyciele budzili respekt, ale i zapewniali bezpieczeństwo. Wszelkie szarże chłopców uspokajali u podstaw.

Wychowanie w szkole polegało na stwarzaniu możliwości poznania własnego kraju. W samej tylko szkole podstawowej każdy uczeń miał okazję uczestniczyć w czterech czy pięciu wycieczkach krajoznawczych. W czasie wakacji szkoła organizowała dwutygodniowe rajdy rowerowe połączone ze zwiedzaniem objeżdżanych terenów. Ich walor wychowawczy jest absolutnie nie do przecenienia.

Kłanialiśmy się wszystkim nauczycielom bez względu na to, czy mieliśmy z nimi zajęcia, czy też nie. Obecnie kłanianie się profesorom na uczelni, z którymi dany rocznik nie ma zajęć, należy do rzadkości.

Nie mitologizuję ani nie apoteozuję ówczesnej szkoły. Jako pedagog znam niezłe historie szkół w PRL-u, zasady, którym podlegała i moja placówka. Jednakowoż widzę, jak wiele zależało od samych nauczycieli, od mądrych dyrektorów szkół, od rozsądnych rodziców. W tym kontekście warto zauważyć, że co do zasady ro-

dzice i szkoła przemawiali jednym głosem. Ale wielkim nadużyciem i niesprawiedliwością byłoby stwierdzenie, że była to szkoła zamordystyczna, oparta na mechanicznym egzekwowaniu dyscypliny. I nie sądzę, aby była jedyną tak normalną szkołą w ocenianiu socjalistycznego systemu oświaty.

Kościół – element trzeci

Osobnym ośrodkiem kształtowania kindersztuby był Kościół. W okresie mojej nauki szkolnej lekcje religii odbywały się w salkach katechetycznych rozsiadanych w różnych budynkach kościelnych. Nauczali wyłącznie księża, a najmłodszymi dziećmi zajmowały się zakonnice. Bez wielkiego ryzyka mogę stwierdzić, że na lekcje religii chodziło 100 proc. dzieci. I tak było przez długie lata. Katecheci byli różni. Część z nich miała ewidentny talent pedagogiczny, ale byli też tacy, którym tego talentu brakowało. Wszyscy jednak ze względu na stan cieszyli się szacunkiem. Po latach dowiedziałem się o silnej inwigilacji kapłanów przez Służbę Bezpieczeństwa, czego w tamtym okresie księża nie dali po sobie poznać.

Magiczny zwrot – nie wypada

Miejscem testowania kindersztuby było podwórko, na którym spotykały się dzieci z domów inteligentnych, z domów robotniczych i rzadkich wówczas rodzin dysfunkcyjnych. Na podwórku byliśmy jednak sobie równi. Przyjaźniliśmy się niejako w poprzek wszelkich różnic. Nie pamiętam też żadnej osoby lidera. Myślę więc, że byliśmy całkowicie demokratycznym podwórkiem. Kłóciliśmy się o rzuty karne, czasami się biliśmy, jabłka popijaliśmy wodą z podwórkowego kranu, ale

gdy się rozjeżdżaliśmy na wakacje, to tęskniliśmy do siebie.

Co ciekawe, nie bywaliśmy u siebie w domach. Miejscem spotkań było podwórko, czasami korytarz w kamienicy, ale odwiedziny w domu należały do rzadkości. Kwitowano to jednym zwrotem: „nie wypada”. Nie wypadało przeszkadzać domownikom w ich odpoczynku, nie wypadało też paru innych rzeczy. Ten magiczny zwrot dotyczył trzymania rąk w kieszeni, pobytu na podwórku w niedzielne przedpołudnie, mówienia zakazanych słów czy głośnego zachowywania się. Nie wypadało nie chodzić na majowe nabożeństwo, śmiać się ze starszych i bić dziewczyn, chociażby nie wiadomo jak zalażyły pod skórę. Zwrot „nie wypada” w sposób szczególny dotyczył dziewcząt. Nie wypadało im obejmować się w miejscu publicznym ani tym bardziej całować, nie wypadało, aby dziewczyna po zmroku sama wychodziła z domu, nie wypadało, by kobieta sama szła do kawiarni czy siadała w tzw. męskich ławkach w kościele.

Obyczajowość była o kilka piętér surowsza niż obecnie. Ileż to razy wchodząc na uczelnię, mijałem w holu pary namiętnie całujące się czy intensywnie przytulające. Można powiedzieć, że rygory kindersztuby czyniły nasz świat grzeczniejszym. Chociaż dotyczy to mocno nieformalnej strony tamtej rzeczywistości. Do legendy bowiem przeszły opryskliwość czy nieuprzejmość obsługi w państwowym handlu czy w administracji.

Bez wątpienia małomiasteczkowe wychowanie i wynikająca z niego kindersztuba miały silne znamie zachowawczej endemiczności. Warto pamiętać, że lata 60. to okres 40 lat przed wszechobecnym internetem, 30 lat przed komputerem osobistym i 10 lat przed elektronicznym kalkulatorem. Fundament wspólnoty stanowiły kontakty bezpośrednie, które obecnie zostały mocno ograniczone przez zdalność relacji. Świat i Polska, także ta małomiasteczkowa, się zglobalizowały. Internet, telewizja, dobre drogi, dostępność aut spowodowały, że nic już nie wygląda tak jak dawniej. Można nawet wątpić, czy w ogóle jeszcze istnieją małe miasta jako środowisko wychowawcze.

Nieżyjąca już pedagog prof. Andrea Folkierska, której nie można bynajmniej posądzać o sympatie prawicowe, powiedziała, że aby społeczeństwo było demokratyczne, szkoła musi być konserwatywna. Może nie tylko szkoła, ale cały proces wychowania młodych pokoleń?

Marzec



**MICHAŁ
KOMUDA**

4 III 1998

W Warszawie zmarł ostatni z uwięzionych przez Sowieców i skazanych w moskiewskim tzw. procesie Szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, minister Adam Bień. W moskiewskim więzieniu był przetrzymywany od 1945 do 1949 r.



6 III 1933

120 polskich żołnierzy dokonało desantu z transportowca ORP „Wilia”, wzmacniając oddział składnicy tranzytowej Westerplatte. Akcję tę przeprowadzono w odpowiedzi na prowokacyjną próbę zastąpienia przez senat Wolnego Miasta Gdańska policji portowej niemiecką Schutzpolizei. W konsekwencji władze Gdańska wycofały się ze swojej decyzji.



11 III 1863

Dowodzący z powodzeniem powstańczymi siłami województwa sandomierskiego, a następnie również krakowskiego, gen. Marian Langiewicz został mianowany dyktatorem powstania styczniowego. Zastąpił na tym stanowisku Ludwika Mierosławskiego.



15 III 1923

W Paryżu Rada Ambasadorów ostatecznie potwierdziła przebieg granic pomiędzy Polską a bolszewicką Rosją oraz Polską i Litwą. Akt ten oficjalnie zakończył proces krzepnięcia granic II Rzeczypospolitej.

17 III 1713

W Liptowskim Mikulaszu, na terenie dzisiejszej Słowacji, został stracony najślynniejszy karpacki zbójnik Juraj Jánošík. Wyrokiem sądu został powieszony na haku za ostatnie lewe żebro.



19 III 1238

Zmarł prekursor zjednoczenia ziem polskich i twórca tzw. monarchii Henryków Śląskich, książę piastowski Henryk Brodaty. Pod swoim panowaniem zdołał skupić dziedziczny Dolny Śląsk, Ziemię Krakowską, południową Wielkopolskę oraz uzależnić od siebie Księstwo Opolskie, Ziemię Sandomierską i Ziemię Kaliską.



28 III 1383

Na drugim zjeździe w Sieradzu wysunięto kandydaturę mazowieckiego księcia Siemowita IV na męża mającej objąć polski tron Jadwigi Andegaweńskiej. Gdyby małżeństwo to doszło do skutku, przedstawiciel dynastii piastowskiej ponownie stałby się faktycznym władcą Polski.



➤ 7 III 1923

100 lat temu w Warszawie urodził się por. Jan Rodowicz „Anoda”, podharc mistrz, żołnierz legendarnego powstańczego batalionu „Zośka”. Koledzy z oddziału, wspominając go, mówili: „To był pistolet”.

Przed wojną był harcerzem 21., a następnie 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej oraz uczniem Liceum im. Stefana Batorego. Maturę zdał już podczas okupacji, kończąc swoją szkołę na tajnych kompletach. Jednocześnie jako członek Grup Szturmowych Szarych Szeregów ukończył konspiracyjną podchorążówkę „Agricolę”. Wziął udział w wielu akcjach zbrojnych, m.in. przez Aleksandra Kamińskiego został uwieczniony na kartach „Kamieni na szaniec” jako uczestnik słynnej akcji pod Arsenałem. Podczas powstania warszawskiego walczył w kompani „Rudy” batalionu „Zośka”. Został wówczas kilkakrotnie ranny. Mimo to okres ten wspominał pięknymi słowami: „Cała nasza kompania [...] to przyjaciele lub znajomi; poznałem ich i żyłem się z nimi w działaniach dywersyjnych i w partyzantce. Wspaniale żyje się i walczy w takim gronie przyjaciół, których się kocha jak braci”. Za powstanie został odznaczony orderem Virtuti Militari. W ostatnich miesiącach wojny wstąpił w szeregi antykomunistycznej Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, po czym we wrześniu 1945 r., zgodnie z apelem dowódcy, płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”, ujawnił się. Czuwał nad pracami ekshumacyjnymi i pochówkami swoich poległych kolegów z oddziału oraz zbierał o nich informacje. Zainicjował również spisywanie wspomnień żyjących żołnierzy batalionu „Zośka”. Jako student architektury 24 grudnia 1948 r. został aresztowany przez UB. Dwa tygodnie później zginął w gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w niewyjaśnionych okolicznościach.



➤ 12 III 1938

Wojska Rzeszy Niemieckiej przekroczyły granicę Republiki Austrii, bezkrwawo zajmując terytorium swojego mniejszego sąsiada. Adolf Hitler, realizując – praktycznie bez sprzeciwu świata – swój plan Anschlussu, wykonał pierwszy krok na drodze do podboju Europy.

Miesiąc wcześniej Führer w trakcie spotkania z kanclerzem Austrii Kurtem von Schuschniggiem w agresywnym tonie sformułował listę żądań pod adresem jego państwa. Austriacki przywódca, chcąc oddalić groźbę zbrojnej konfrontacji, spełnił je, choć ceną była utrata pełnej niezależności. Jednocześnie podjął ryzykowny pomysł przeprowadzenia plebiscytu, który dowiódłby, że Austriacy niezłomnie pragną zachować niepodległość i stoją po stronie swojego kanclerza.

W pierwszych dniach marca minister spraw zagranicznych II RP płk Józef Beck przybył z oficjalną wizytą do faszystowskich Włoch, które do niedawna odgrywały rolę protektora Austrii. Z rozmów przeprowadzonych z Benito Mussolinim i Galeazzo Ciano, swoim włoskim odpowiednikiem, zrozumiał, że tym razem Rzym już nie podejmie próby ratowania Wiednia i nie odważy się zagrozić drogi Niemcom. Niemoc ta, jak i anemiczna postawa pozostałych mocarstw europejskich sprawiły, że minister Beck ocenił wytworzoną sytuację następującymi słowami: „W sprawie austriackiej ani nie byliśmy zainteresowani, ani nie mieliśmy sposobu interweniowania”. Jednocześnie – jak wspominał – w trakcie spotkania, które miało miejsce 7 marca: „Mussolini zapytał mnie: »Jak długo, sądzi pan, może to jeszcze potrwać?«. Odpowiedziałem: »Może rok, może czterdzieści osiem godzin«. Wyraz twarzy Mussoliniego wyraźnie się zmienił. Oparł głowę na ręce i po krótkim milczeniu powiedział z widocznym niepokojem: »Sądzi pan, że sprawy aż tak daleko zaszyły!«”. Słowa te okazały się proroczymi. Dwa dni później austriacki kanclerz Schuschnigg realizując swój plan, ogłosił wyznaczenie terminu plebiscytu na 13 marca. Reakcja Hitlera, który postanowił nie dopuścić do zorganizowania wspomnianego referendum, była błyskawiczna. Niemcy rozpoczęły mobilizację przy austriackiej granicy oraz uaktywniły austriackich nazistów. Jednocześnie Führer 11 marca zażądał odwołania plebiscytu. Choć Schuschnigg, od razu spełnił to żądanie, Niemcy sformułowały kolejne ultimatum dotyczące jego dymisji oraz powołania nowego kanclerza w osobie austriackiego nazisty Arthura Seyssa-Inquarta. Jeszcze tego samego dnia oba warunki zostały wcielone w życie. Jednak rankiem 12 marca armia niemiecka, nie napotykając oporu, zajmowała Austrię. Dzień później dopiero co narzucony przez Berlin austriacki kanclerz ogłosił dekret o przyłączeniu swojego państwa do Rzeszy Niemieckiej, łamiąc tym samym postanowienia traktatu

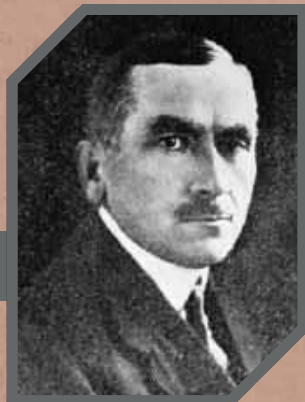
wersalskiego. Austria stała się integralną częścią nazistowskich Niemiec, czyniąc je drugim co do wielkości państwem w Europie. Rzesza zyskała wspólną granicę z sojuszniczymi Włochami oraz Jugosławią i Węgrami. Po tej łatwej zdobyczy wzrok Hitlera zaczął się zwracać w stronę kolejnej ofiary. Miał stać się nią sąsiad Polski – Czechosłowacja, której terytorium dzięki Anschlussowi znalazło się w niemieckich kleszczach.



Kwiecień

1 IV 1893

Młodzi działacze Ligi Polskiej powołali nową, tajną, niepodległościową organizację o nazwie Liga Narodowa. Kierował nią Roman Dmowski, a jej zasięg objął tereny wszystkich trzech zaborów.



4 IV 1883

W Wieliczce urodził się polski drzeworytnik, malarz, grafik i rzeźbiarz, Władysław Skoczylas. Okres jego pracy w Szkole Przemysłu Drzewnego w Zakopanem zaowocował cyklem słynnych prac inspirowanych podhalańskimi legendami i kulturą.



9 IV 1968

W Bielsku-Białej zmarła ciesząca się międzynarodową popularnością polska pisarka Zofia Kossak-Szatowska (z pierwszego małżeństwa Kossak-Szczucka). Podczas II wojny światowej była współzałożycielką tajnego Frontu Odrodzenia Polski oraz Komitetu Pomocy Żydom, więziona na Pawiaku oraz w KL Auschwitz, uczestniczyła w powstaniu warszawskim.



13 IV 1603

W trakcie wojny o Inflanty hetman polny Jan Karol Chodkiewicz po kilkumiesięcznym oblężeniu zdobył twierdzę Dorpat. Po kapitulacji szwedzkiej załogi wojska Rzeczypospolitej przejęły całą pozostawioną przez wroga artylerię.



15 IV 1993

Na warszawskim Ursynowie rozpoczęto budowę I linii metra. Jej pierwszy fragment otworzono 7 kwietnia 1995 r., a całość łączącą Kabaty z Młocinami udostępniono podróżnym dopiero 25 października 2008 r.

16 IV 1923

100 lat temu w Warszawie przyszedł na świat harcmistrz, dowódca kompanii „Rudy” batalionu „Zośka” i kawaler orderu Virtuti Militari, kpt. Andrzej Romocki „Morro”. W trakcie powstańczych walk w nocy z 30 na 31 sierpnia wraz z grupą żołnierzy jako jedyny zdołał przebić się z oblężonej Starówki do Śródmieścia. Został uznany najbardziej utalentowanym młodym dowódcą powstania warszawskiego.



19 IV 1773

Pod łaską Adama Ponińskiego rozpoczął obrady sejm, którego celem, w myśl dyktatu Rosji, Prus i Austrii, było zatwierdzenie pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. Trzy dni wcześniej, aby uniemożliwić jego zerwanie przez zastosowanie zasady liberum veto, posłowie zawiązali konfederację.

29 IV 1923

100 lat temu, na terenie wskazanym przez inż. Tadeusza Wendę, leżącym wówczas na północ od wsi Gdynia, dokonano otwarcia Tymczasowego Portu Wojennego i Schroniska dla Rybaków. W tej historycznej uroczystości, dającej II Rzeczypospolitej niezależność od Gdańska, wzięli udział prezydent RP Stanisław Wojciechowski i premier Władysław Sikorski.





➤ 18 IV 1518

Zygmunt I Stary poślubił swoją drugą królewską żonę, skoligaconą z cesarzem Maksymilianem I, włoską księżniczkę, Bonę Sforzę. Władczyni ta zapisała się jako jedna z najbar-

dziez ambitnych i wpływowych królowych w dziejach Rzeczypospolitej.

Po śmierci Barbary Zápolyi, ze związku z którą nie narodził się męski potomek, król rozpoczął starania o poślubienie nowej żony. Ostatecznie wybór padł na Bonę, młodszą o 27 lat od polskiego monarchy córkę księcia Mediolanu Giana Galeazza Sforzy. Kandydatura ta została zauważona na polskim dworze m.in. dzięki intensywnym zabiegom matki pięknej Włoszki, księżnej Izabeli Aragońskiej, która przeznaczyła na ten cel znaczne kwoty finansowe. Zaślubiny per procura przyszłej pary królewskiej odbyły się 6 grudnia 1517 r. w neapolitańskim Castel Capuano. O randze uroczystości świadczył fakt, że zgromadziła licznych przedstawicieli lokalnej arystokracji. Na wiosnę następnego roku księżniczka wyruszyła do Polski. Ślub Zygmunta I i Bony oraz jej koronacja odbyły się w Krakowie. Dokładnie dziewięć miesięcy później urodziła królowi córkę, przyszłą królową Węgier, Izabelę. Natomiast 1 sierpnia 1520 r. dała mu długo oczekiwanego następcę tronu, Zygmunta II Augusta. Łącznie królewska para doczekała się sześciorga dzieci. Pojawienie się Bony na Wawelu zaowocowało rozkwitem wywodzącego się z jej ojczyzny renesansu, a także włoskich wpływów kulinarnych. Jednak najbardziej uderzało jej otwarte, nieznane dotychczas ze strony kobiet na polskim dworze zaangażowanie w politykę. Ambicja, konsekwencja w zdobywaniu dóbr oraz umacnianie wszelkimi sposobami pozycji Jagiellonów nie przyniosły jej sympatii wśród współczesnych.

➤ 20 IV 1873

150 lat temu w dzisiejszych Siemianowicach Śląskich przyszedł na świat mąż stanu i główny architekt przyłączenia po I wojnie światowej Górnego Śląska do Polski Wojciech Korfanty. Do dziś uznawany jest za jednego z najwybitniejszych śląskich polityków.

Już w okresie edukacji w gimnazjum w Katowicach rozpoczął tajną działalność propagującą polską kulturę. Za krytykę niemieckiego kanclerza Otto von Bismarcka został usunięty ze szkoły, którą ostatecznie zdołał ukończyć eksternistycznie, dzięki czemu mógł rozpocząć studia. Związał się wówczas

z kierowaną przez Romana Dmowskiego Ligą Narodową. Publikując na łamach endeckiego „Dziennika Berlińskiego” oraz stworzonego przez siebie „Górnoślązaka”, atakował niemiecką politykę, za co w 1902 r. został skazany na cztery miesiące więzienia. Represje te przysporzyły mu popularności i w 1903 r. został wybrany na posła do Reichstagu. Sukces ten jako pierwszy w historii reprezentant Górnego Śląska osiągnął, głosząc propolskie hasła. Równolegle został wybrany do Landtagu – parlamentu pruskiego. W kolejnych latach zaczął oddalać się od Narodowej Demokracji, co zbiegło się w czasie z utratą popularności oraz części dawnego elektoratu. Do wielkiej polityki Korfanty powrócił podczas I wojny światowej. W 1918 r. powtórnie wybrano go do Reichstagu, gdzie 25 października 1918 r. wygłosił słynne słowa: „Nie chcemy ani jednego powiatu niemieckiego, tylko żądamy polskich powiatów Górnego Śląska, Śląska Średniego, Poznańskiego, polskich Prus Zachodnich i polskich powiatów Prus Wschodnich”. 17 dni później wyjechał do Poznania i wszedł w skład Naczelnej Rady Ludowej. Z jej ramienia uczestniczył w rozmowach rozejmowych po wybuchu powstania wielkopolskiego. W grudniu 1919 r. powierzono mu funkcję Polskiego Komisarza Plebiscytowego na rodzinnym Górnym Śląsku. To wówczas przyszło mu odegrać dziejową rolę, gdy w sierpniu 1920 r. stanął na czele II powstania śląskiego, a w maju kolejnego roku obwołał się dyktatorem III powstania. Powstańcy pod jego przewodnictwem zdołali wywalczyć korzystny dla Polski podział Górnego Śląska. Sukces ten wyniosłby byłego przywódcę powstań na fotel premiera II RP, jednak jego kandydaturę zablokował Józef Piłsudski. Niemniej Korfanty w drugiej połowie 1923 r. pełnił funkcję wicepremiera. W niepodległej Polsce związał się z Chrześcijańską Demokracją i skupił się na działalności poselskiej w Sejmie RP oraz Sejmie Śląskim. W okresie tym nabrzmiewał jego konflikt z piłsudczykami, a po przewrocie majowym również z wywodzącym się z tej frakcji wojewodą śląskim Michałem Grażyńskim. W konsekwencji, po wygaśnięciu mandatu poselskiego w Sejmie Śląskim, w 1930 r. został tymczasowo osadzony w twierdzy w Brześciu Litewskim. Po uwolnieniu został wybrany do Senatu RP i ponownie do Sejmu Śląskiego. W 1935 r. w obawie przed groźbą aresztowania udał się na emigrację do Czechosłowacji,

a następnie do Francji, gdzie tworzył Front Morges oraz Stronnictwo Pracy. Gdy

w przededniu II wojny światowej zdecydował się powrócić do kraju, został pojmany i osadzony na warszawskim Pawiaku. Uwięzienie skrajnie pogorszyło jego stan zdrowia. Pomimo zwolnienia z aresztu zmarł 17 sierpnia 1939 r. W swoim testamencie napisał: „Wypowiadam gorącą prośbę do ludu śląskiego, by pozostał wierny zasadom chrześcijańskim i swemu przywiązaniu do Polski”.



KONFEDERACJA GENERALNA WARSZAWSKA AKTEM TOLERANCJI WYZNANIOWEJ



**JACEK
KROCHMAL**

**28 STYCZNIA 2023 r. MINĘŁA 450. ROCZNICA
KONFEDERACJI GENERALNEJ WARSZAWSKIEJ.
TEN AKT O DONIOSŁEJ TREŚCI UCHWALONO PODCZAS
BEZKRÓLEWIA ZGODNYM POSTANOWIENIEM
ZJAZDU POWSZECHNEGO SZLACHTY POLSKIEJ.
PRZYJĘTE ARTYKUŁY MIAŁY ZAPEWNIĆ POKÓJ
I PORZĄDEK WEWNĘTRZNY W RZECZYPOSPOLITEJ
PRZED ELEKCJĄ PRZYSZŁEGO KRÓLA**

Jednym z warunków pokoju miało być zagwarantowanie swobody religijnej wyznawcom wszystkich konfesji chrześcijańskich w Rzeczypospolitej Wielu Narodów.

W ten sposób przyjęta w 1573 r. konfederacja generalna warszawska stała się wielkim aktem tolerancji wyznaniowej, później nazwanym klejnotem swobodnego sumienia. Po kilku stuleciach daleko siężne skutki tego wydarzenia dostrzegła społeczność międzynarodowa. Doceniono dojrzałość decyzji gwarantujących pokój, tolerancję, wolność słowa i zgromadzeń oraz poszanowanie porządku prawnego, czyli wartości, które z czasem nazwano prawami człowieka. Wyrazem tego było wpisanie w 2003 r. aktu konfederacji generalnej warszawskiej na listę światową programu UNESCO „Pamięć Świata”. Uwierzytelniony 209 pieczęciami woskowymi pergaminowy dokument konfederacji jest

przechowywany w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie.

Schyłek panowania króla Zygmunta Augusta upływał na dążeniach do utrwalenia wielkiego dzieła zjednoczeniowego, w wyniku którego na sejmie lubelskim w 1569 r. doszło do unii realnej scalającej Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie we wspólną Rzeczpospolitą. Dopelnieniem unii lubelskiej były akty prawnoustrojowe uchwalane w latach następnych. Część z nich powstała już w okresie bezkrólewia, po śmierci Zygmunta Augusta, zmarłego w Knyszynie 7 lipca 1572 r. Był to okres niosący wiele zagrożeń dla bezpieczeństwa wewnętrznego, a nawet integralności państwa, szczególnie wobec ciągle silnych tenden-

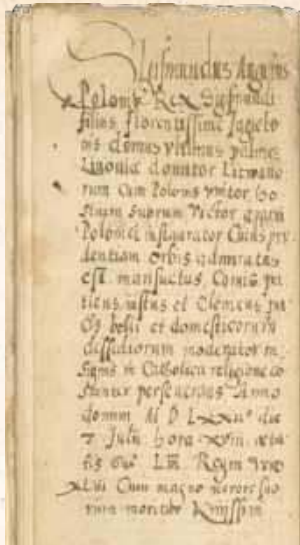
cji odśrodkowych dążących do zerwania niedawno zawartej unii polsko-litewskiej. Z tego niełatwego zadania elity Rzeczypo-



**Certyfikat wpisu na listę
światową programu
UNESCO „Pamięć Świata”**

spolitej wyszły obronną ręką. W wyniku trudnych negocjacji państwu nadano nowy model ustrojowy monarchii elekcyjnej. Zanim jednak doszło do ustalenia warunków obioru nowego króla, należało zapewnić pokój wewnętrzny w Rzeczypospolitej, której mieszkańcy stanowili mozaikę wielu nacji, religii i wyznań. Nie dziwi więc, że w takich okolicznościach priorytetową kwestią stało się zapewnienie pokoju wewnętrznego na czas bezkrólewia. 28 stycznia 1573 r. uchwalono konfederację

generalną warszawską. Jej sygnatariuszami byli „Rady Koronne, duchowne i świeckie, i rycerstwo wszystko, i stany insze jednej a nierozdzielnej Rzeczypospolitej”. Konfederacja zawierała uregulowania prawne pozwalające na zachowanie pokoju w państwie czasowo pozbawionym króla. W realiach XVI-wiecznej Europy, w której częste były spory religijne powodujące prześladowania, rozlew krwi i wojny religijne, był to akt niezwykły, dający wyśmienite świadectwo dojrzałości politycznej ówczesnych elit, dbających o dobro wspólne i biorących na siebie pełną odpowiedzialność za bezpieczeństwo państwa. Często podkreślane jest znaczenie konfederacji generalnej warszawskiej jako aktu gwarantującego tolerancję religijną, a ściślej rzecz biorąc, tolerancję wyznaniową dla wyznawców wszystkich konfesji chrześcijańskich. Rodzi się pytanie: dlaczego właśnie państwo polsko-litewskie stało się europejską oazą wolności wyznaniowej? W przeciwieństwie do krajów zachodniej Europy, której mieszkańcy od wieków byli wyznawcami tylko jednej konfesji – katolicyzmu, a wszelkie próby jego reformowania albo pojawianie się nowinek religijnych były surowo zwalczane jako przejawy herezji, w Polsce już od połowy XIV w. mieszkali wyznawcy prawosławia, co było konsekwencją przyłączenia Rusi Czerwonej i Podola. Liczebność prawosławnych niepomniernie wzrosła w wyniku polsko-litewskiej unii dynastycznej. Przemiany te w ewolucyjny sposób przygotowały Polskę do wyzwań niesionych przez reformację protestancką. Co oczywiste, nowinki religijne nie wszędzie były witane z radością, nigdy jednak w Rzeczypospolitej nie doszło do wojen religijnych. Takie więc było podłoże przyjęcia tolerancyjnych postanowień konfederacji



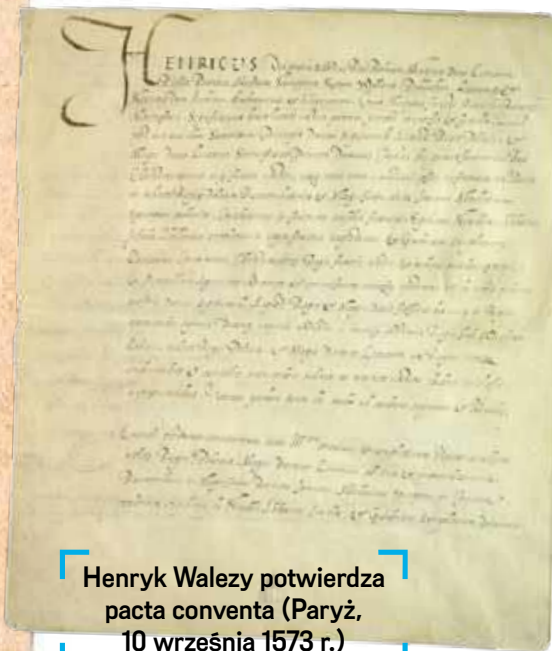
Wpis z 7 lipca 1572 r. informujący o śmierci Zygmunta Augusta

generalnej warszawskiej. Podsumowując jej znaczenie w aspekcie wyznaniowym, można stwierdzić, że nie tyle wprowadzała ona tolerancję religijną, ile raczej poszerzała ją na nowe wyznania protestanckie, a jednocześnie sankcjonowała rzeczywistą tolerancję, istniejącą w państwie polsko-litewskim już wcześniej. Warty podkreślenia jest jeszcze jeden aspekt konfederacji warszawskiej. Jej zapisy nie wprowadzały podziału na wyznania tolerujące i tolerowane, czyli nie wskazywały ani wyznania ważniejszego (Ko-

ścioła panującego), ani drugorzędnego, ale wyraźnie mówiły o wspólnej płaszczyźnie wszystkich wyznań chrześcijańskich traktowanych równorzędnie. Wyrazem tego było wzajemnie złożone zobowiązanie, „iż którzy jestechny dissidentes de religione (rozróżnieni w wierze), [obiecujemy] pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary i odmiany w Kościele, krwi nie przelewać”. Ważnym aspektem dokumentu są więc zapisy gwarantujące wolność religijną wszystkim wyznaniom chrześcijańskim w ogarniętej reformacją Rzeczypospolitej, nie tylko protestantom, lecz także katolikom. Nieco wcześniej podobne gwarancje uzyskali prawosławni, których wolności religijne w latach 1563 i 1568 r. potwierdził Zygmunt August, pragnąc w ten sposób zyskać ich przychyłność dla planów zjednoczeniowych Korony i Litwy. Znaczenie aktu gwarantującego swobodę wyznawania w Rzeczypospolitej należy rozpatrywać również w kontekście starań o koronę polską księcia francuskiego, z którym połączona była rzeź hugenotów (kalwinistów) w Paryżu, tzw. noc św. Bartłomieja z 23 na 24 sierpnia 1572 r. Zagwarantowanie pokoju, w tym religijnego, podczas bezkrólewia umożliwiło rozpoczęcie przygotowań do elekcji. Komisja złożona z senatorów i posłów przygotowała warunki, które nowy monarcha miał zaprzysiąc przed koronacją. Od imienia pierwszego króla elekcyjnego Henryka Walezego (1573–1574) postanowienia te nazwano artykułami henrykowskimi. Stały się one swego rodzaju konstytucją Rzeczypospolitej szlacheckiej, którą przyjmował każdy następny król polski. Dodatkowo dla Walezego ułożono jeszcze specjalne zobowiązania. Były to tzw. pacta conventa, które

były później układane także dla kolejnych władców Polski. Postowie Henryka przyjęli pacta conventa na sejmie w Kamieniu pod Warszawą 16 maja 1573 r., a 10 września król elekt potwierdził ich moc w Paryżu.

Konfederacja generalna warszawska należy do kardynalnych praw tworzących ustrój polskiej demokracji szlacheckiej. Akt zapewniający tolerancję religijną i głoszący równość nie tylko dla wybranych, lecz także dla wszystkich wyznań chrześcijańskich stanowił ewenement w ówczesnej Europie. Wolność religijna sprawiła, że do Rzeczypospolitej zaczęli licznie imigrować wyznawcy różnych wyznań i religii cierpiący prześladowania w swych ojczystych krajach. Byli to Niemcy luteranie, Francuzi hugenoci (kalwiniści), Włochy antytrynitarze, holenderscy anabaptyści (menonici), Anglicy kwakrzy, Rosjanie starowiercy, a oprócz chrześcijan również Żydzi prześladowani w krajach monarchii habsburskiej. Przy-



Henryk Walezy potwierdza pacta conventa (Paryż, 10 września 1573 r.)

byśże ci znaleźli nad Wisłą doskonałe warunki do wyznawania religii i rozwijania swej kultury. Odnajdując tu swój drugi dom, wielu migrantów uległo polonizacji i zyskało nową ojczyznę. Wnieśli oni też znaczący wkład w rozwój życia gospodarczego i kulturalnego Polski. Zasady tolerancji religijnej uległy osłabieniu w połowie XVII w., czego wyrazem było wypędzenie braci polskich (arian). Choć postanowienia konfederacji warszawskiej uległy wówczas przekreśleniu, to jednak do końca trwania Rzeczypospolitej pozostałe konfesje mogły cieszyć się swobodą kultu religijnego. ■



ARCHIWA
PAŃSTWOWE
ARCHIWUM AKT NOWYCH

MAZOWIECKA SZKOŁA FORTYFIKACJI GRODOWEJ



RAFAŁ
KIERZKOWSKI

Dokumentacje Państwowej Służby Ochrony Zabytków, Urzędu Generalnego Konserwatora Zabytków czy Ośrodka Ochrony Dziedzictwa Archeologicznego pozwalają wejrzeć w skomplikowany, wieloletni proces zabezpieczania zabytków i ich badań, a następnie zestawić je z obecnymi osiągnięciami nauki.

Jednym z przedmiotów badań archeologicznych są grodziska Mazowsza. Dzięki archeoarchiwaliom i współczesnym badaniom możemy opowiedzieć ich historię.

Serce państwa i dzikie pogranicze

Mazowsze weszło w skład państwa Piastów już pod koniec X w. i mimo pogranicznego położenia już 100 lat później stało się regionem wyjątkowo ważnym. Główną siedzibą Władysława Hermana, a następnie Bolesława Krzywoustego był bowiem jeden z najpoważniejszych wówczas w całym kraju ośrodków – Płock. To tu funkcjonował książęcy dwór, gdzie zap-

WŁAŚCIWY ZASÓB ARCHIWUM AKT NOWYCH STANOWIĄ MATERIAŁY WYPRACOWANE W XX w. JEDNAK SĄ TO RÓWNIEŻ ARCHIWALIA ZAWIERAJĄCE INFORMACJE O CZASACH DUŻO ODLEGLEJSZYCH...

dały najważniejsze decyzje. W tym okresie powstało również wiązane z działalnością biskupa-wojownika Aleksandra z Malonne opactwo w Czerwińsku, jeden z najwspanialszych zabytków sztuki romańskiej w Polsce. Tak bogaty i ważny region kuśił najeźdźców, musiał więc zostać należycie zabezpieczony.



Pieczęć księcia
Siemowita I

Oko w oko z Prusem, Jaćwingiem i Litwinem

Średniowieczni północni sąsiedzi Mazowsza – Prusowie, Jaćwingowie i Litwini – byli wyjątkowo wojowniczy. Jednocześnie tworzyli społeczności o bogatej kulturze materialnej i duchowej.

Budowali warowne grody, znali handel i rzemiosło.

Ekspedycja archeologów pod kierunkiem dr. hab. Tomasza Nowakiewicza i Dawida Rembeckiego z Wydziału Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz Iwony Lewoc z Fundacji Terra Desolata bada cmentarzyska jaćwieskie odkryte w Puszczy Augustowskiej. Tysiące zabytków uzbrojenia i ozdób, rytualnie zniszczonych i spalonych wraz z poległymi wojakami,

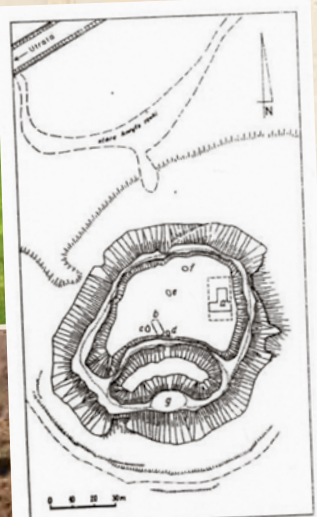
można już obiektywnie uznawać za jedno z największych odkryć polskiej archeologii. To właśnie bałtyjska wojowniczość wpłynęła na losy Mazowsza.

Mazowiecki limes

Wojny pomiędzy bałtyjskimi łupieżcami a państwem polskim są poświadczane historycznie już od X w. Toczyli z nimi boje Bolesław Chrobry, Henryk Sandomierski, Konrad Mazowiecki i Bolesław Wstydlivy.

Najazdy pogańskich Prusów i Jaćwingów, a następnie Litwinów nie mogły podbić Mazowsza, były jednak wyjątkowo niszczące i uciążliwe. Podczas ataku Litwinów i Rusinów w 1262 r. spłonął

Grodziska w Błoniu i Starej Łomży –
zdjęcia lotnicze M. Bogackiego, obok
plan sytuacyjny grodziska w Błoniu,
według T. Kiersnowskiej



Ryc. 12. Błonie. Plan sytuacyjny grodziska, wg T. Kiersnowskiej

a – dwór, b – pracownia alchemiczna, c – piekarnia (?), d –
jaskinia do przechowywania żywności, e – wędzarnia, f – po-
łożenie doświadczenia, g – kłosał (miejsce wsielny)

Płock, a w obronie Jazdowa zginął książę Siemowit I, jeden z walecznych wodzów wypraw przeciw poganom.

Z kronikarskich relacji Piotra z Dusburga wynika, że dużo częściej zdarzały się mniejsze pograniczne rajdy, nastawione na wzięcie łupu i jeńców. Atakujące w ten sposób siły nie były zdolne zdobywać dużych grodów, które w takich wypadkach stanowiły zabezpieczenie dla lokalnej ludności.

Odpowiedzią władców Mazowsza i ich lokalnych komesów, oprócz organizowania kolejnych wypraw o statusie krucjat, m.in. we współpracy z zakonami rycerskimi, było zatem budowanie warownych grodów złożonych z systemów wałów, palisad i fos, mogących przetrwać najazdy opóźnić działania agresora. Jak zapisał Jan Długosz – również idący na pomoc Mazowszu książę wielkopolski Bolesław Pobożny spaloną w trakcie walk płocką warownię „przemysłnym kunsztem odbudował, wałami i przekopami umocnił”.

Fortyfikacje wznoszono w doskonale wybranych miejscach, o trudnym dostępie i dobrej widoczności, wykorzystując nadrzeczne skarpy, ciekł wodne i wyniosłości terenu. Do wspaniałych przykładów potężnych mazowieckich fortyfikacji z tego okresu należy grodzisko w Starej Łomży, gdzie na nadnarwiańskiej skarpie do naszych czasów zachowały się spektakularne zwielokrotnione linie wałów, majdan i wydzielony kasztel, zapewne siedziba możnowładcy, a w razie walki ostatni punkt oporu. Do dziś respekt budzą też umocnienia XIII-wiecznej książęcej siedziby w Błoniu. Kolejnym wartym wymienienia jest położone nad Liwcem grodzisko, będące jednym z największych w Europie Środkowej, które dało nazwę pobliskiej wsi Grodzisk. Gród ten funkcjonował od XI do XIII wieku, a jego wały tworzyły obwód obronny mierzący

800 metrów, co czyni z niego warownię o wymiarach porównywalnych z Wawelem. Do potężnych założeń obronnych należy też grodzisko w Proboszczewicach, na północ od Płocka, oraz Góra Zamkowa w Wiźnie, mazowiecki bastion na północno-wschodniej ścianie dzielnicy.

Piastowie i ich namiestnicy byli strażnikami. Jak się okazuje, ujście wód Bugu i Narwi do Wisły nie zostało ufortyfikowane dopiero przez Szwedów czy Napoleona polecającego budowę twierdzy Modlin. Warowne grody Zakroczymia i Pomiechowa z wysokiej skarpy kontrolowały bowiem ten ważny szlak komunikacyjny już w średniowieczu.

W rejonie ufortyfikowanego, przerażającego się już w miasto, niedalekiego Pułtusa ponieśli w 1337 r. litewscy najeźdźcy spektakularną klęskę zadaną przez szybko zmobilizowane siły Mazowsza.

Do specyficznego dla Masovii rodzaju grodów można zaliczyć warownię w Sochaczewie, Lewiczynie oraz Stare Zamczysko w Puszczy Kampinoskiej, charakteryzujące się formą potężnego stożka o splantowanym szczycie, umocnionego dodatkowo u podstawy liniami wałów i fos. Podobieństwo wzniesionych konstrukcji jest dowodem istnienia pewnej wspólnej koncepcji lub inspiracji.

Nowi obrońcy dawnych grodów

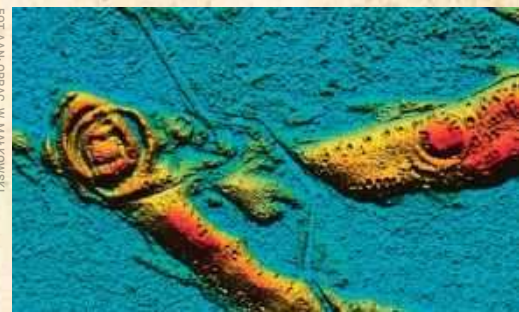
Strategiczne miejsca odgrywały rolę i w kolejnych wiekach. Pogańskich Prusów zastąpili Krzyżacy, przed którymi Mazowsze również musiało zacząć się bronić.

W okresie rycerskiej kolonizacji prowadzonej przez księcia Janusza Starszego na przełomie XIV i XV w. w rejonie dawnych grodów osadzano rycerzy zobowiązanych do obrony księstwa. Dobrym przykładem jest rejon miejscowości Stare Grodzkie, koło Kulesz Kościelnych, gdzie w pobliżu dawniejszego grodziska z XII w., nad rzeką Rokitnicą, osiedli z książęcego nadania rycerze herbu Rola i Ślepowron. Podobnym ufortyfikowanym punktem, gdzie powstała tzw. okolica szlachecka, jest Grudusk z pogranicza ziemi ciechanowskiej i zawkrzeńskiej. Na wschodnim Mazowszu w rejonie Korytnicy, okolice zamieszkiwane do dziś przez Leliwitów Jaczewskich z Jaczewa, Szeliów Górskich z Górek czy Jastrzębców Żelazowskich

z Żelazowa, stanowiły z kolei zaplecze dla ośrodków obronnych nad Liwcem.

Jeden z najstarszych w Polsce rodów rycerskich – Dołęgowie – od czasów protoplasty Hugona Butyra, krewnego wspomnianego wyżej bp. Aleksandra, władali ziemiami w rejonie warowni w Mokrzku (Mokrsku) nieopodal Łęga, szachującej od północy dostęp do Płocka. Z tego gniazda wyszły zapisane na kartach historii wspańnięte mazowieckie rody herbu Dołęga, m.in. Mliccy, Ossowsy i Zakrzewscy.

Ciekawostką jest fakt, że znaczna część umocnień o proveniencji średniowiecznej nosi ślady okopów i ziemianek z okresu wojen światowych – waga strategiczna ich położenia nie straciła na znaczeniu.



Relikty grodowego zespołu warownego w Trzebieniu na nowoczesnych skanach LiDAR, oprac. W. Małkowski

Historia odkryć się nie skończyła. W 2015 r. łomżyński pasjonat archeologii Krzysztof Babiński odkrył nieznane grodzisko na wysokiej skarpie Narwi. W 2017 r. do rejestru zabytków został z kolei wpisany wyjątkowo ciekawy grodowy zespół warowny w Trzebieniu na historycznym Zapilczu, składający się z dwóch obiektów, odkryty wcześniej przez znawcę regionu Stanisława Organiściaka i archeologa Wojciecha Twardowskiego. Obecnie weryfikowane są przez dr. Mirona Bogackiego z UW kolejne obiekty z rejonu Czartorii, Serocka i Pułtusa. Nowe spojrzenie na grodziska Mazowsza i Podlasia niosą badania Wiesława Małkowskiego – specjalisty od badań nieinwazyjnych. Umożliwiła to nowoczesna metodyka – archeologia lotnicza i system skanowania powierzchni gruntu LiDAR.

Wiedza zachowana w archiwaliach ma swoją kontynuację – do kilkudziesięciu znanych grodzisk Mazowsza dołączają kolejne. Ważne, abyśmy byli świadomi rangi tego dziedzictwa.

Zamek w Czersku również jest posadowiony na reliktach dawnego warownego grodu





ABRAHAM BZOWSKI BYŁ
MODERATOREM RELIGIJNOŚCI
POLSKIEJ W XVII w. I HISTORYKIEM
KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO



POD SZTANDARAMI ŚW. JACKA



HENRYK
LITWIN

W 1819 r. Józef Maksymilian Ossoliński, założyciel Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, w swojej pracy o dziejach literatury polskiej wspominał Abrahama Bzowskiego i jego wielkie rozmiarami (siedem tomów) dzieło historyczne „Annales Ecclesiasticorum...”. „Nie śmie się nikt wziąć szczerze do ogromnych tomów; krótsza już to przeciąć

węzeł samowładnym słowem pogardy” – napisał. Nie chcąc się zatem przyłączyć do krytyków, przyjrzyjmy się losom Bzowsiusa i historii powstania jego niezwykle licznych dzieł, nawet jeśli dokładne przedstawienie siedmiu łacińskich tomów „Annales...” rzeczywiście przerasta możliwości dzisiejszego historyka.

Stanisław Bzowski urodził się w 1567 r. w podkrakowskich Proszowicach, mieście znanym jako siedziba sejmików województwa krakowskiego. Wywodził

się z małopolskiej średnioszlacheckiej rodziny. Wcześniej osierocony przez zmarłych na zarazę rodziców trafił pod opiekę wuja Wawrzyńca Wężyka. Krewny w szczególny sposób zadbał o wykształcenie młodego katolickiego szlachcica, posyłając go w latach 70. XVI w. do szkoły w Seceminie, prowadzonej przez kalwinistów. Nie ma wątpliwości co do wysokiego poziomu nauczania w tym secemińskim gimnazjum. Bzowski na pewno wykorzystał ofertę znakomitego zakładu oświato-

wego, ale z późniejszych wzmianek w jego zapiskach wiadomo, że musiał się opierać protestanckiej indoktrynacji, co powodowało liczne spięcia. Wydaje się jednak, że Stanisław ukończył wspomnianą szkołę i już jako jej absolwent zapisał się w 1581 r. na Akademię Krakowską.

Wypełnić śluby

Po kilkuletnich studiach Bzowski ciężko się rozchorował. W trakcie choroby modlił się do św. Jacka Odrowąża i prawdopodobnie ślubował, że w razie wyzdrowienia wstąpi do zakonu dominikanów. W 1589 r. tak właśnie postąpił, składając śluby zakonne pod imieniem Abraham i wstępując do konwentu Świętej Trójcy w Krakowie. W zakonnym habicie kontynuował studia. W latach 1594–1598 zgłębiał teologię w dominikańskich szkołach w Mediolanie i Bolonii, a jednocześnie był wykładowcą tych uczelni. Do kraju wrócił w 1598 r. ze stopniem naukowym lektora teologii. Na krótko zawitał do Poznania, a następnie przeniósł się do Krakowa, gdzie powierzono mu funkcję kaznodziei w dominikańskim kościele Świętej Trójcy.

Z różańcem w dłoni

Ważnym obowiązkiem Bzowskiego w jego krakowskich czasach była opieka nad Bractwem Różańcowym. Dominikanie byli ważnymi promotorami religijności różańcowej już od XV w., kiedy (1475) duchowny z tego zakonu Alan de la Roche nadał modlitwie różańcowej kształt, w którym przetrwała do dzisiaj. W epoce potrydenckiej ta forma podtrzymywania duchowości katolickiej została odnowiona i rozwinęta. W 1568 r. papież Pius V zatwierdził kodyfikację Alana de la Roche, a w 1573 r. Grzegorz XIII ustanowił święto Matki Bożej Różańcowej. W całej Europie zaczęły się aktywizować bractwa różańcowe, których prowadzenie zostało powierzone dominikanom. Abraham Bzowski w szczególny sposób doceniał religijność różańcową. W 1599 r. napisał swoje pierwsze, łacińskojęzyczne dzieło na ten temat, które niestety nie dochoowało się do naszych czasów. Możemy jednak domyślać się jego treści, znając pracę o. Abrahama wydaną w 1600 r. w Krakowie pt. „Różaniec Panny Maryey. Teraz na nowo w Krakowie u S. Troyce reformowany”. Omawiał w nim sposób organizowania bractw oraz korzyści płynące

z ich funkcjonowania dla pobożności katolickiej. Swoje teoretyczne założenia Bzowski wprowadzał w życie jako patron krakowskiego bractwa, a od 1600 r. decyzją Klemensa VIII arcybractwa. Przyczynił się w ten sposób do rozwoju religijności kontemplacyjnej w Krakowie i umocnienia katolicyzmu w mieście pełniącym wciąż jeszcze funkcję stolicy Królestwa Polskiego, choć już nie stałej rezydencji królewskiej. Rozpowszechnił nie tylko praktykę wspólnego odmawiania Różańca, lecz także organizowania procesji maryjnych, które były formą przenoszenia kultu do przestrzeni publicznej. Uczestnicząc w dwóch kolejnych misjach dominikańskich do Rzymu, miał bezpośredni wpływ na decyzje wydane w latach 1606 i 1608 przez Pawła V, w ramach których nadano bractwom różańcowym odpusty dla ich wiernych uczestników. Wtedy też dał się poznać papieżowi jako duchowny niezłomnej wiary i znakomitego wykształcenia, co zaowocowało w późniejszym okresie życia Bzowskiego.

W Warszawie

W 1603 r. Bzowski został przez władze zakonne skierowany na placówkę dominikańską w Warszawie, która stawała się wówczas – jako stała rezydencja królewska i miejsce odprawiania sejmów walnych – politycznym centrum Rzeczypospolitej. Zadaniem o. Abrahama było stworzenie w mazowieckiej stolicy nowej placówki Ordinis Praedicatorum. Bzowski wziął się energicznie do pracy, której owocem było powstanie klasztoru i kościoła św. Jacka położonego na granicy Starego i Nowego Miasta. Stał się on dla Warszawy miejscem niezwykle ważnym i odgrywał potem – szczególnie w XIX i XX w. – istotną rolę jako centrum życia religijnego, kulturalnego, a także patriotycznego. Drewniane zabudowania placówki powstały jeszcze w 1603 r. Dodatkowy historyczny kontekst całej sprawy tworzyło zorganizowane przez Bzowskiego przeniesienie do nowej świątyni części relikwii św. Jacka, co stanowiło symboliczne religijne podbudowanie centralnych funkcji mazowieckiego grodu nad Wisłą. W 1604 r. Bzovius został przeorem nowo utworzonego klasztoru i organizował szybkie prace budowlane przy planowanych budynkach murowanych. Pierwszą mszę w kościele św. Jacka odprawił 22 października 1606 r. Niedługo po tym wydarzeniu odbył wspomnianą

już wyżej podróż do Rzymu, a następnie podjął się nowych wyzwań na Śląsku, o których wspominam niżej. Powrócił jednak do Warszawy i ponownie zarządził dominikańskim klasztorem i budową kościoła w latach 1609–1610. Wszystkie prace budowlane przy kościele i klasztorze zakończyły się wiele lat później (1638), ale to Bzowskiemu należy się splendor twórcy warszawskiego kościoła dominikanów pw. św. Jacka.

Walka o klasztory na Śląsku

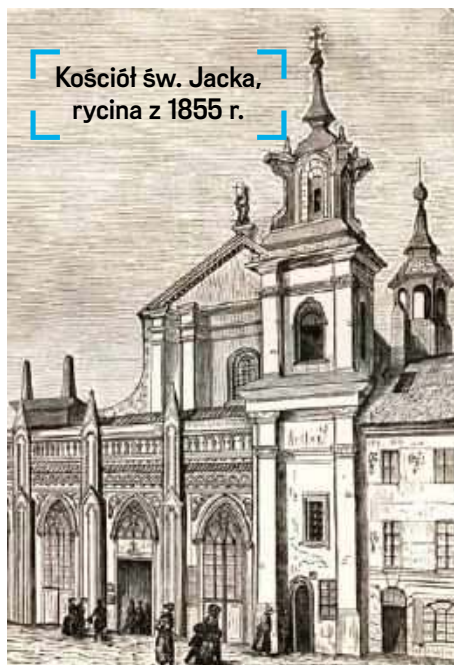
W przerwie między pobytami w Warszawie Bzowski zaangażował się w działania prowadzące do przejścia przez polską prowincję dominikanów klasztorów znajdujących się na Śląsku, będącym wówczas jedną z prowincji należących do domeny Habsburgów austriackich. Polscy zakonnicy Ordinis Praedicatorum zabiegali wówczas o przejęcie kontroli nad konwentami śląskimi, które znajdowały się dotąd pod opieką arcykatolickich cesarzy z domu rakuskiego, ale działając w środowisku zdominowanym przez protestantów, były bliskie całkowitego upadku. Kapituła generalna zakonu obradująca w Valladolid w 1606 r. podjęła decyzję o przywróceniu klasztorów na Śląsku prowincji polskiej. Uległa w tym względzie woli papieża Pawła V, którego o potrzebie ratowania śląskiego katolicyzmu przekonał właśnie Abraham Bzowski w czasie swych odwiedzin w Rzymie w tymże roku. Klasztory we Wrocławiu, w Głogowie i Świdnicy miały w związku z tym przejść w zarząd polskich dominikanów. W najważniejszym z nich, klasztorze i kościele św. Wojciecha we Wrocławiu, przeorem został sam Bzowski, który objął placówkę w listopadzie 1606 r.

O. Abraham energicznie wziął się do pracy i wprowadził do klasztoru licznych zakonników z Polski. Większość niemieckich braci opuściła wówczas Wrocław i przeniosła się do innych konwentów w Rzeszy. Bzowski zastał sprawę zakonną w fatalnym stanie. Działalność duszpasterska była w zaniku. W kościele św. Wojciecha msze odprawiano za zamkniętymi drzwiami, a kaplica Trzech Króli była wydzierżawiona protestantowi przedsiębiorcy, który przekształcił ją w magazyn towarów. Bzowski odzyskał kaplicę, zresakralizował ją i uczynił miejscem działalności duszpasterskiej w języku polskim pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej. W tym samym >>

>> czasie otworzył drzwi świątyni św. Wojciecha, w której zaczęto odprawiać msze z homiliami głoszonymi po niemiecku przez odpowiednio przygotowanych językowo ojców przybyłych z Polski. Duchowni w strojach zakonnych zaczęli krążyć po mieście, co było wcześniej zjawiskiem niespotykanym. Placówki dominikańskie we Wrocławiu zaczęły być widoczne w przestrzeni wyznaniowej miasta, co wzbudziło negatywne reakcje po stronie protestanckiej. Luteranie byli wówczas we Wrocławiu siłą dominującą, a zwierzchnictwo katolickich Habsburgów nad miastem nad Odrą było na początku XVII w. iluzoryczne.

Uwięziony

Działalność polskich dominikanów spotkała się w tej sytuacji z ostrą kontrakcją. Władze miasta przeprowadziły kontrolę działalności remontowej i budowlanej, usiłując poprzez formalistyczne preteksty ograniczyć melioracje przeprowadzane przez Bzowskiego. Rozsiewano plotki o rzekomych przygotowaniach do wysadzenia w powietrze murów miejskich, co miało otworzyć drogę do zajęcia miasta jakimś bliżej niesprecyzowanemu katolickiemu agresorowi. Wreszcie w grudniu 1608 r. doszło do kilku tumultów na tle wyznaniowym, w czasie których tłum protestantów zaatakował świątynię dominikańską przy biernej postawie straży miejskiej, która uchylała się konsekwentnie od interwencji. Pobito wówczas wielu duchownych, zniszczono wyposażenie kościoła św. Wojciecha (ołtarze, obrazy i księgi liturgiczne) oraz ukradziono cenne wota. Cesarz Rudolf II pozorował przeciwdziałanie, powołując komisję, która miała ukarać sprawców tumultu, ale jej działania nie przyniosły żadnych konkretnych efektów. Bzowski nazajutrz po ostatnim, najbrutalniejszym tumulcie zdecydował się opuścić Wrocław i wrócił do Warszawy. Śląskie klasztory dominikanów pozostały w prowincji polskiej, ale ich działalność została ponownie ograniczona do minimum i właściwie znikła z przestrzeni publicznej. Strona protestancka usprawiedliwiała przemoc rzekomym złym prowadzeniem się Bzowskiego, którego oskarżono o „czyny nieprzystojne” obyczajowo i agresywność wynikającą z nieokiełzanego „polskiego charakteru”. Te zarzuty były długo powtarzane nawet przez polskich historyków, choć nie były one podnoszone w czasie



pobytu o. Abrahama we Wrocławiu, a pojawiły się po raz pierwszy dopiero w wydanym w 1614 r. w Lipsku protestanckim druku propagandowym luteranckiego polemisty Daniela Hermanna. Ten przedstawił tumulty wrocławskie 1608 r. jako działania obronne „atakowanych” przez dominikanów protestantów. Wydarzenia wrocławskie stanowią swoisty komentarz do sytuacji wyznaniowej w państwach habsburskich, charakteryzujących się rzekomo konsekwentnie nietolerancyjnym stosunkiem do protestantów. Rzeczywistość była nieco bardziej skomplikowana, a „arcykatolicy” cesarze z domu rakuskiego musieli czasem godzić się z dominacją luteranów w konkretnych lokalnych uwarunkowaniach. Skutkiem tej sytuacji było podtrzymanie zarzutów wobec Bzowskiego przez kapitułę wrocławską, a w rezultacie proces, który został mu wytoczony przez kapitułę prowincjonalną w Lublinie, zakończył się surowym wyrokiem pozbawienia wszystkich funkcji zakonnych i uwięzieniem (1611).

W kurii rzymskiej

W tych trudnych chwilach w sukurs pogrzebionemu dominikaninowi ruszyła kuria rzymska papieża Pawła V. Pod wpływem jej perswazji generał zakonu dominikanów zwolnił go z odbywania dalszej kary i zezwolił na wyjazd do Rzymu pod warunkiem, że nie powróci już do prowincji polskiej. Na Monte Cavallo przygotowano dla Bzowskiego ważne zadanie, doceniając jego dotychczasową twórczość pisarską i zasługi w konfrontacji z protestantyzmem. Paweł V powierzył mu

kontynuację „Roczników kościelnych...”, których 12 tomów wydał w latach 1588–1607 Cezary Baroniusz. Dzieło to stanowiło oficjalny wykład historii Kościoła od narodzenia Chrystusa do 1198 r. i było arcyważnym dla katolicyzmu potrydencyjnego kompendium wiedzy historycznej z formalną legitymizacją papieństwa.

Wyznaczenie Bzowskiego na kontynuatora Baroniusza było nie tylko osobistym sukcesem polskiego dominikanina, lecz także gestem uznania dla wkładu Kościoła polskiego w życie Kościoła powszechnego. Bzowski przygotował i wydał w latach 1616–1630 siedem tomów „Annales ecclesiasticorum...”, które doprowadził do 1534 r. Przedstawił w nich m.in. dzieje sporu katolicko-protestanckiego od wystąpienia Lutra, zajmując oczywiście niezwyczajnie krytyczne stanowisko wobec obozu protestanckiego. Wielkich przywódców reformacji przedstawił jako mąciocieli porządku społecznego miotanych przez osobiste ambicje i wydanych na pastwę różnych przyziemnych pokus.

Trudno jednak nie zauważyć, że ów negatywny stereotyp protestanta obowiązujący w piśmarstwie katolickim XVI i XVII w. prawie idealnie odpowiada negatywnemu stereotypowi „papisty”, funkcjonującemu w piśmiennictwie reformacyjnym tej samej epoki, na co przed laty zwrócił już uwagę znakomity polski historyk i życzliwy znawca dziejów protestantyzmu Lech Szczucki. „Annales...” Bzowskiego nie były wybitnym dziełem historycznym. Pozostały świadectwem epoki konfrontacji katolicko-protestanckiej i dokumentem potwierdzającym, jak ważną rolę w tym wielkim sporze epoki odgrywała Rzeczpospolita i jak istotny był polski wkład w kształtowanie tożsamości katolickiej części Europy w tych czasach. Bzowski pozostał w pamięci intelektualistów europejskich ważnym protagonistą wspomnianego sporu, czego świadectwem jest wymienienie go jako jednego z niewielu Polaków w oświeceniowej „Encyklopedii francuskiej”.

Życiowy dorobek Abrahama Bzowskiego należałoby opisać znacznie szerzej. „Niech sobie [krytycy] mówią co chcą, zazdroszcząc mu jego sławy; nie mogą zaprzeczyć, że miał on w sobie zaród nieśmiertelności, że było w nim coś, co potomni po wielu wiekach musieli podziwiać i uczyć” – napisał o nim Szymon Starowolski, wyrażając podobną opinię, co przywołany na początku Maksymilian Ossoliński.

Ludzie i zwierzęta w średniowieczu



MAREK
BARAŃSKI

Troska o faunę i florę była przejawiana od dawna, już ponad 100 lat temu w prawie harcerskim znalazł się punkt nakazujący, aby harcerz kochał przyrodę.

Uważa się, że dopiero w naszych czasach zaczęto dbać o naturę. Istnieje też przekonanie, że w dawniejszych epokach ludzie bezwzględnie eksploatowali świat zwierząt i roślin. „Eko-lodzy” sądzą, że skoro Biblia mówi, iż Bóg uczynił ziemię ludziom poddaną, to znaczy, że poprzednie pokolenia wykorzystywały ją bez skrępułów. Tymczasem miłość do przyrody była widoczna już w średniowieczu.

Na początku XIII w. żył św. Franciszek. Przepętniony był on miłością nie tylko do ludzi, lecz także do zwierząt, które nazywał braćmi. Wygłaszał kazania do ptaków, troską swą obejmował nawet owady. Według „Złotej legendy” Jakuba de Voragine zauważył on kiedyś siedzącego na drzewie świerszcza i rzekł do niego: „Bracie, mój świerszczu, przyjdź do mnie! – a on natychmiast usłuchał rozkazu i przyszedł do jego ręki. Wtedy święty rzekł: Śpiewaj bracie mój i chwal Pana twego!”. Franciszek „zbierał na drogach robaczki, aby nie zdeptały ich nogi przechodzących, pszczołom zaś kazał w mrozy zimowe dostarczać miodu i najlepszego wina, aby nie zginęły z głodu”.

Nie tylko św. Franciszek kochał ptaki. Również żyjący na przełomie X i XI w. kronikarz Thietmar uważał, że karmienie ich cechuje dobrych ludzi. Na pochwałę według niego zasłużyła wdowa po królu Henryku I, Matylda, która „rozdawała żywność nie tylko biednym, lecz także ptakom”. Thietmar poświęcił też kilka ciepłych słów grafowi Ansfrydowi.



Św. Franciszek przepętniony był miłością nie tylko do ludzi, lecz także do zwierząt, które nazywał braćmi

We wczesnej młodości otrzymał on wszechstronne wykształcenie, po czym został oddany na służbę cesarzowi Ottonowi I. Nosił miecz cesarza, towarzyszył mu na polowaniach. W końcu uzyskał urząd miecznika. Gdy zmarła żona Ansfrйда, Herswinta, cesarz Otto III powołał go na biskupstwo utrechckie. Po cesarskim powołaniu został on zgodnie z cesarskim życzeniem wybrany i wyświęcony na biskupa. Gdy Ansfryd się zestarzał, zrezygnował z urzędu i został mnichem. Jako zakonnik uprawiał działalność charytatywną, codziennie karmił 72 biednych, chorym zapewniał kąpiel i zaopatrywał ich w szaty oraz inne rzeczy niezbędne do życia. Cały majątek rozdał biednym, a sam zamieszkał w klasztorze, będąc posłusznym opatowi. Jak pisze

Thietmar: „W przystępie swego miłosierdzia kazał nawet dla ptaków umieścić na drzewach wiązki kłosów, by miały się czym żywić w zimie”.

Kronikarz lubił nie tylko ptaki, lecz także ceniał wierność psów. Opisał bowiem taką oto historię: w pałacu królewskim, wśród tłumu ludzi, leżał pies. Gdy nagle pojawił się jakiś człowiek, pies zerwał się, podbiegł do niego, jednym kłapięciem zębów rozszarpał mu prawą rękę i uciekł. Gdy przerażeni świadkowie zaczęli się pytać poszkodowanego, dlaczego go pies pogryzł, ten odpowiedział, że spotkała go zasłużona kara. „Spotkałem raz człowieka, który był panem tego psa, jak spał znużony i, na moje nieszczęście, zabiłem go. Ten oto pies [...] prześladował mnie po tym zabójstwie i atakował wielokrotnie. Ledwie przed nim uszedłszy byłem przekonany, że tamto zostało całkowicie zapomniane i oto nawinałem się mu znowu wciąż winą obarczony. Od tej chwili jestem pewien, że żaden przestępca nie ukryje się bezkarnie”. Pies pomścił na zabójcy śmierć swego pana. W ocenie Thietmara dokonał tego, co powinien – zachował się godnie.

Inne psy uszanowały niemoc żony grafa Ansfrйда i aby nie przeszkadzać jej w chorobie, przestały szczeleć. Ponownie odzyskały głos, gdy pani umarła.

Thietmar widział w zwierzętach istoty posiadające dusze. Pisał, że są trzy rodzaje dusz: „Pierwszy rodzaj – dusza bezcielesnych aniołów razem z nimi nie ma początku i końca. Drugi rodzaj – dusza ludzi ma wspólny z ciałem początek, lecz nie koniec, albowiem jest nieśmiertelna i, jak sądzą niektórzy poganie, inne ma zadanie w życiu przyszłym niż w tym doczesnym. Trzeci rodzaj stanowi dusza zwierząt i ptaków, która razem z ciałem ma wspólny początek i koniec”. A więc zwierzęta, choć mają duszę śmiertelną, to jednak nie są stworami bez duszy. ■



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



dr Karol Nawrocki
prezes Instytutu Pamięci Narodowej



Ukarane człowieczeństwo

Te dwie czarno-białe fotografie są z pozoru bardzo podobne. Na pierwszej – państwo Diekenowie z dwiema córeczkami, na drugiej – Ulmowie z gromadką dzieci. Obie rodziny wydają się szczęśliwe

Szczęście Ulmów zostało brutalnie przerwane w piątkowy poranek 24 marca 1944 r. Tego dnia w ich domu w Markowej pojawili się niemieccy żandarmi. Najpierw zabili ośmioro ukrywających się tam Żydów, a później całą polską rodzinę. Akcją dowodził Eilert Dieken. I to on – ten sam, który przyjaźnie uśmiecha się na domowej fotografii – osobiście zdecydował, by nie oszczędzić nawet dzieci.

Ulmowie byli wśród ok. tysiąca Polaków, którzy podczas II wojny światowej zapłacili życiem za ukrywanie Żydów. Niemieckie prawo okupacyjne stawiało na głowie całe chrześcijańskie pojmowanie sprawiedliwości. Za człowieczeństwo okrutnie karało, nagradzało zaś za podłość. Kilka miesięcy po zbrodni w Markowej Dieken otrzymał Krzyż Żelazny. Po wojnie pomyślnie przeszedł denazyfikację, nadal grał sumiennego policjanta i troskliwego ojca. Nigdy nie zasiadł na ławie oskarżonych, a jego córka jeszcze nie tak dawno żyła w przekonaniu, że „wyświadczył ludziom wiele dobra”.



Wiktoria i Józef Ulmowie z dziećmi:
Stanisław, Barbarą, Władysławem,
Franciszkiem, Antonim i Marią

FOT. ZE ZBIORÓW RODZINNYCH MATEUSZA SZPYTMA



Por. Eilert Dieken z żoną Elisą
oraz córkami Gretą i Hannelore

Dziś prawda o tym, co wydarzyło się w Markowej, jest dobrze znana w Polsce – i wciąż zbyt słabo rozpowszechniona za granicą. Zbliżająca się beatyfikacja Ulmów to czas, by skuteczniej opowiedzieć światu o tej niezwykłej rodzinie, ale też szerzej – o Polakach ratujących Żydów i o zbrodniczej niemieckiej okupacji. ■



Przed domem Ulmów po chrzcinach Antosia (lato 1941). Od lewej: Władysław Ulma z Władziem, akuszerka o nazwisku Szpytma, rodzice chrzestni – Maria Niemczak i Antoni Ulma, w beciku ochrzczony Antos, Katarzyna Ulma, Wiktoria Ulma z synem Frankiem, przed nią córka Basia, Marcin Ulma (ojciec Józefa) z najstarszą wnuczką Stasią

FOT. ZE ZBIORÓW RODZINNYCH MATEUSZA SZPYTMY

„Ratując życie innych, złożyli w ofierze własne...”

Rodzina Ulmów z Markowej

Rankiem 24 marca 1944 r. niemiecka żandarmeria zamordowała w Markowej, nieopodal Łańcuta, polską rodzinę Ulmów oraz ukrywanych przez nią Żydów. Jedyнным „przewinieniem” Ulmów była pomoc bliźniemu w potrzebie – chrześcijańska, samarytańska postawa miłości, zaś ukrywanych Żydów chęć przeżycia w bestialskich warunkach okupacji niemieckiej



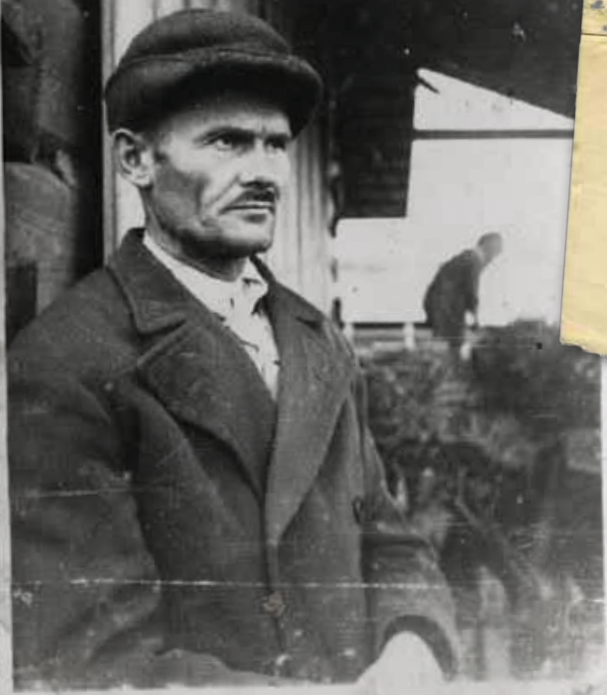
Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką ustanowiono z inicjatywy prezydenta RP Andrzeja Dudy przez polski parlament, w marcu 2018 r. W tym dniu oddajemy hołd „Obywatelom Polskim – bohaterom, którzy w akcie heroicznej odwagi, niebywa-

— **dr Wojciech Hanus** —
OBBH IPN w Rzeszowie

łego męstwa, współczucia i solidarności międzyludzkiej, wierni najwyższym wartościom etycznym, nakazom chrześcijańskiego miłosierdzia oraz etosowi

suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej, ratowali swoich żydowskich bliźnich od Zagłady zaplanowanej i realizowanej przez niemieckich okupantów”.

Wybrana na dzień obchodów data, 24 marca, jest symboliczna i nieprzypadkowa. Rankiem tego dnia 1944 r. niemiecka żandarmeria zamordowała >>



Józef Ulma oraz jego świadectwo ukończenia kursu w Krajowej Szkole Rolniczej w Pilźnie w 1930 r.



i warunkujących ją ewangelicznych przykazań” – czytamy na planszy tytułowej wystawy „Samarytanie z Markowej. Ulmowie – Polacy zamordowani przez Niemców za

pomoc Żydom”. W 1933 r. mieszkańcy Markowej mieli także swój wkład w powołanie Uniwersytetu Ludowego w sąsiedniej wsi Gać. Jego utworzenie przyczyniło się do osiedlenia w Markowej inteligencji pochodzenia chłopskiego, która w dużym stopniu miała udział w założeniu w 1935 r. w tej wsi pierwszej w Polsce spółdzielni zdrowia.

W okresie okupacji niemieckiej wieś stanowiła integralną część rozległego starostwa powiatowego (Kreis) w Jarosławiu. Podobnie jak w wielu innych miejscowościach, w Markowej w okresie okupacji niemieckiej prowadziły działalność struktury Związku Walki Zbrojnej

– Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Miejscowej placówce AK nadano kryptonim „Marian” i podporządkowano strukturom Obwodu AK Przeworsk. Obok AK w 1942 r. w gminie funkcjonowały struktury BCh, a z czasem także Ludowej Straży Bezpieczeństwa.

Na terenach wiejskich okupant niemiecki dla zapewnienia należytego „porządku” powołał żandarmerię podporządkowaną policji porządkowej (Ordnungspolizei). W Markowej działał posterunek policji granatowej nadzorowany do 1941 r. przez posterunki żandarmerii w Jarosławiu i Przeworsku. 1 stycznia 1941 r. nowy posterunek żandarmerii utworzono w pobliskim Łańcutcie, który swoją jurysdykcją objął m.in. teren gminy Markowa. Komendantem tego posterunku, pełniącym to stanowisko do końca okupacji niemieckiej, był porucznik (Leutnant) Eilert Dieken, który 24 marca 1944 r. dowodził akcją w Markowej i osobiście wydał rozkaz zamordowania Józefa i Wiktorii Ulmów, ich dzieci i ośmiorga ukrywanych Żydów.

Pełni pasji i zainteresowań

Józef (ur. 2 marca 1900 r.) i Wiktoria (ur. 12 grudnia 1912 r.) z Markową (przedwojenne województwo lwowskie) zwią-

» w Markowej, nieopodal Łańcuta, polską rodzinę Ulmów oraz ukrywanych przez nią Żydów. Jedynym „przewinieniem” Ulmów była pomoc bliźniemu w potrzebie – chrześcijańska, samarytańska postawa miłości, zaś ukrywanych Żydów chęć przeżycia w bestialskich warunkach okupacji niemieckiej.

Markowa

Wieś, gdzie rozegrał się marcowy dramat, który zapisał się na kartach historii, położona jest w południowo-wschodniej Polsce, w województwie podkarpackim, w powiecie łańcuckim, ok. 25 km na wschód od Rzeszowa. W dwudziestolecie międzywojennym wieś liczyła ok. 4,5 tys. mieszkańców. Z liczby tej ok. 120 osób stanowiła społeczność żydowska. Na tym obszarze dość prężnie prowadził działalność „ruch ludowy, dzięki któremu wykształciła się lokalna elita – rolnicy otwarci na świat i nowoczesnie gospodarujący, a jednocześnie przywiązani do swojej wiary katolickiej

Wiktoria Ulma i jej kenkarta z 1943 r.





Przed budynkiem Domu Ludowego, gdzie mieściła się mleczarnia. Kierownik placówki Józef Ulma (pośrodku) wraz ze współpracownikami

zani byli od pokoleń. Tam się urodzili i pobrali w 1935 r. Owocem tej miłości były narodziny ich sześciorga dzieci: Stasi, Basi, Władzia, Frania, Antosia i Marysi. Ulmowie byli zwyczajną, niezamożną rodziną chłopską, trudniącą się ogrodnictwem, otwartą na innych ludzi. Utrzymywali kontakty z miejscowymi Żydami, handlując z nimi warzywami i owocami. „Ludzie z jednej strony zwykli i prości, a z drugiej zaangażowani społecznie, pełni pasji i zainteresowań. Józef, poza tym, że trudnił się ogrodnictwem, działał w amatorskim teatrze i spółdzielni mleczarskiej, której był kierownikiem, należał także do organizacji katolickiej w diecezji przemyskiej, a później do Związku Młodzieży Wiejskiej RP »Wici«. Był też wiejskim fotografem dokumentującym życie całej społeczności, ale i swojej rodziny. Pełną pasji i zainteresowań była także Wiktorja, która, podobnie jak jej mąż, należała do teatru amatorskiego, zaś w sąsiedniej miejscowości uczęszczała również na kurs na Uniwersytecie Ludowym” – mówił dr Mateusz Szpytma, zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, pomysłodawca i twórca Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej, badacz i popularyzator historii tej rodziny.

Największą pasją Józefa była fotografia. Wykonał wiele zdjęć, które zachowały się m.in. w prywatnych zbiorach mieszkańców Markowej. Utrwalił na nich czyn-


*Ulmowie byli
zwyczajną, niezamożną
rodziną chłopską,
trudniącą się
ogrodnictwem, otwartą
na innych ludzi.
Utrzymywali także
kontakty z miejscowymi
Żydami, handlując
z nimi warzywami
i owocami*


ności dnia powszedniego miejscowej ludności, a więc prace polowe, wesela, chrzciny, śluby czy pierwszą komunię św., a także szereg wydarzeń społecznych, m.in. przedstawienia teatralne i występy chóru. Wśród wielu zachowanych zdjęć na szczególną uwagę zasługują te, na których Józef uwiecznił swoją najbliższą rodzinę. Zachowały się wzru-

szające fotografie żony, ich pociech i innych członków rodziny, które wykonane zostały w różnych ujęciach, często przy pracy. Dzięki zdjęciom mamy możliwość poznać życie codzienne rodziny Ulmów i innych mieszkańców Markowej.

Miłosierni Samarytanie

Na początku sierpnia 1942 r. Niemcy przystąpili w Łańcucie i jego okolicach do realizacji akcji „Reinhardt”. Jej głównym wykonawcą była niemiecka żandarmeria. Wszystkich okolicznych Żydów, w tym tych z Markowej, zamierzano zgromadzić najpierw w obozie pracy w Pełkiniach, a następnie część z nich, po pewnym czasie, wywieźć do niemieckiego obozu zagłady w Bełżcu, zaś pozostałych wymordować na miejscu. Tego samego miesiąca okupant niemiecki wprowadził zakaz przebywania Żydów w wioskach, również w Markowej. Co pewien czas kontrolowano działalność policji granatowej, a także sołtysów, czy aby na pewno wykonywali niemieckie zarządzenia w tym zakresie. Część Żydów podjęła decyzję o ukrywaniu się, będąc świadoma prawdziwych intencji okupanta i losu, jaki może ich spotkać.

Małżeństwo Ulmów, widząc krzywdę i bestialstwo okupanta niemieckiego względem Żydów, pomimo powszechnego terroru i strachu, podjęło decyzję o ich ukrywaniu. W znalezionym >>

>> w ich domu Piśmie Świętym podkreślony był fragment odnoszący się do przypowieści: „Przykazanie miłości – miłosierny Samarytanin”, określający motyw, którym się kierowali, decydując się na ukrywanie Żydów w swoim niewielkim domu. Przed podjęciem tej decyzji Józef Ulma był już zaangażowany w pomoc czteroosobowej rodzinie żydowskiej, nazywanej Ryfkami, której pomógł wybudować schron w jarach nieopodal potoku.

Dom Ulmów znajdował się na uboczu, z dala od innych zabudowań wsi, na wzniesieniu, skąd można było obserwować okolicę i ewentualnie reagować na grożące niebezpieczeństwo, np. ucieczką. Najprawdopodobniej Żydzi przybyli do domu Ulmów w grudniu 1942 r. Małżeństwo, przyjmując ich pod swój dach, miało świadomość grożącego niebezpieczeństwa i konsekwencji. Wśród ukrywanych byli Żydzi, z którymi Ulma wcześniej handlował: Saul Goldman z Łańcuta i czterech jego synów: Baruch, Mechel, Joachim i Mojżesz, a także Lea Didner z córeczką Reszlą i Gołda Grünfeld. W niewielkim domu Ulmów znalazło schronienie łącznie ośmioro Żydów.

Przebywający u Ulmów Saul Goldman i jego synowie, decydując się na ukrywanie, część swojego majątku pozostawili na przechowanie mieszkańcom Łańcuta. Jednym z beneficjentów był najprawdopodobniej Włodzimierz Leś, posterunkowy policji granatowej, który miał im wcześniej pomagać. Żydzi po pewnym czasie próbowali odzyskać pozostawione



Prawdopodobnie Marysia
– najmłodsze dziecko Ulmów

mienie. Z prośbą zwrócili się także do Włodzimierza Lesia, który jednak nie chciał im oddać pozostawionego majątku. Zachowane dokumenty konspiracyjne Ludowej Straży Bezpieczeństwa sugerują, że to on stał za poinformowaniem swoich kolegów, a zarazem przełożonych z niemieckiej żandarmerii, o miejscu ukrywania Goldmanów, skazując ich samych, jak i rodzinę Ulmów, u której się ukrywali, na pewną śmierć.

Tragizm 24 marca 1944 r.

Tego dnia, tuż przed świtem, do miejsca zamieszkania Ulmów przybyło na furmankach z Łańcuta co najmniej dziewięć-

ciu funkcjonariuszy, w tym pięciu z niemieckiej żandarmerii oraz od czterech do sześciu policjantów granatowych. Grupa dowodzona była przez Eilerta Diekena, komendanta posterunku żandarmerii w Łańcutie. W gronie przybyłych żandarmów znajdowali się także Joseph Kokott, Gustav Unbehend, Erich Wilde i Michael Dziewulski, zaś wśród policjantów granatowych ustalono nazwiska dwóch z nich, wspomnianego Włodzimierza Lesia i Eustachego Kolmana.

Zaraz po przyjeździe policjanci granatowi otoczyli dom, zaś niemieccy żandarmi weszli do środka, mordując podczas snu troje Żydów: dwóch braci Goldmanów i Gołdę Grünfeld, pozostałych wyprowadzono na zewnątrz i tam rozstrzelano. Naoczni świadkami tych tragicznych chwil byli furmani, których Niemcy pozostawili nieco w oddali, a następnie przywołali, aby na własne oczy zobaczyli ku przestrodze, co spotyka Polaków za pomoc Żydom. Po egzekucji ukrywanych Żydów przed dom wyprowadzono gospodarzy, Józefa i będącą w zaawansowanej ciąży Wiktoria, których także rozstrzelano. Najprawdopodobniej w trakcie zbrodni Wiktoria zaczęła poród. Jeden z naocznych świadków, furman Edward Nawojski z sąsiedniej wsi Kraczkowa, rozgrywające się w zabudowaniach rodziny Ulmów bestialstwo opisał tak: „W czasie rozstrzeliwania na miejscu egzekucji słychać było straszne krzyki, lament ludzi, dzieci wołały rodziców, a rodzice już byli rozstrzelani”.

Nastąpiła przerwa w mordzie, gdyż Niemcy naradzali się co począć z dziećmi. Po wymianie zdań dowódca grupy, a zarazem komendant posterunku niemieckiej żandarmerii Eilert Dieken podjął decyzję o ich rozstrzelaniu. W chwili śmierci najstarsza z sześciorga dzieci Stasia miała 8 lat, zaś najmłodsza Marysia zaledwie 1,5 roku. Nawojski osobiście widział, jak troje lub czworo dzieci Ulmów zabił Joseph Kokott, najmłodszy z żandarmów, a jednocześnie najbardziej bezwzględny i okrutny. Słowa, które w języku polskim wypowiedział w trakcie egzekucji do stojących obok furmanów – „Patrzcie, jak giną polskie świni, które ukrywają Żydów” – wryły im się głęboko w pamięć.

W trakcie mordowania ostatnich dzieci na miejsce wezwany został sołtys wsi Teofil Kielar wraz z innymi mieszkańcami w celu grzebania ciał. Był człowie-



Wiktoria Ulma z córką Stasią

kiem odważnym – zapytał dowódcę żandarmów Diekena, dlaczego zamordowali dzieci, które ze względu na wiek nie ponosiły odpowiedzialności za ratowanie Żydów. Ten ironicznie odpowiedział: „Aby gromada nie miała z nimi problemu”.

Po zbrodni Niemcy przystąpili do rabunku mienia należącego do Ulmów. Przy zwłokach Gołdy Grünfeld Joseph Kokott odkrył małe pudełko z kosztownościami i schował je do kieszeni. Z domu Ulmów wyniesiono i zabrano łóżka, materace, skrzynie, naczynia, a także wyprawione skóry. Obecni pod przymusem mieszkańcy wsi otrzymali rozkaz wykopania dwóch dołów i pogrzebania w nich pomordowanych. W jednym dole spoczęły ciała rodziny Ulmów, zaś w drugim Żydów.

Po zakończonej akcji na miejscu tragedii urządzono zakrapianą suto alkoholem libację. Obecni żandarmi i policjanci wypili trzy litry wódki, a następnie wszyscy wraz z załadowanym na furmankach dobytkiem odjechali. W przeciągu tygodnia, nocą, pięciu mieszkańców wsi odkopało pogrzebane w dole ciała rodziny Ulmów. Włożyli je do trumien, a następnie z powrotem zakopali w tym samym miejscu. W styczniu 1945 r. ciała Ulmów ekshumowano i przeniesiono na miejscowy cmentarz, dwa lata później odkopano ciała pomordowanych z nimi Żydów, których pochowano na cmentarzu w Jagielle-Niechciałkach.

Błogosławieni sprawiedliwi

W 1995 r. Józef i Wiktoria Ulmowie za swój akt heroizmu i poświęcenia bliźniemu zostali pośmiertnie uhonorowani przez Instytut Yad Vashem medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. 17 września 2003 r. wszczęto proces beatyfikacyjny rodziny Ulmów poprzedzony kilkuletnimi przygotowaniami. Kilka miesięcy później, 24 marca 2004 r., w 60. rocznicę tragicznych wydarzeń uroczyste odstonięto w Markowej pomnik upamiętniający bohaterstwo rodziny. Dwa lata później, 23 marca 2006 r., Szkoła Podstawowa i Gimnazjum w Markowej otrzymały imię Sług Bożych Rodziny Ulmów. W 2010 r. prezydent Rzeczypospolitej Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie Józefa i Wiktorię Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.



*19 lat od wszczęcia
procesu beatyfikacyjnego,
17 grudnia 2022 r., papież
Franciszek zatwierdził
dekret o męczeństwie
Józefa i Wiktorii Ulmów
wraz z siedmiorgiem
dzieci*

Wiktoria Ulma z dziećmi



19 lat od wszczęcia procesu beatyfikacyjnego papież Franciszek 17 grudnia 2022 r. zatwierdził dekret o męczeństwie Józefa i Wiktorii Ulmów wraz z siedmiorgiem dzieci i upoważnił Dykasterię Spraw Kanonizacyjnych do jego opublikowania, co oznacza, że cała rodzina zostanie wkrótce beatyfikowana. Dzięki tej decyzji mającej szeroki wydźwięk jest szansa ukazania opinii międzynarodowej, jak okrutna była okupacja niemiecka ziem polskich, która pochłonęła miliony istnień ludzkich, jak bestialskie konsekwencje, zupełnie inne niż w krajach okupowanego Zachodu, groziły Polakom, którzy decydowali się pomagać Żydom, choćby w najmniejszej formie.

To na okupowanych ziemiach polskich 15 października 1941 r. Hans Frank, gubernator Generalnego Gubernatorstwa, wydał rozporządzenie wprowadzające karę śmierci dla Żydów opuszczających getta oraz dla Polaków pomagających Żydom. Należy zaznaczyć, że takowego dokumentu nie wprowadzono w okupowanej Europie Zachodniej. Szacuje się, że ok. 1 tys. Polaków poniosło śmierć za pomoc Żydom, wśród nich Józef i Wiktoria oraz ich siedmioro dzieci. Przez pryzmat ich dramatycznej historii możemy poznać, a jednocześnie ukazać kilka aspektów będących częścią szerszego zjawiska II wojny światowej. Mowa tutaj o okrucieństwie niemieckiej okupacji na ziemiach Polski, bohaterstwie tych wszystkich, którzy udzielali pomocy Żydom i działalności Polskiego Państwa Podziemnego, które wykonało wyrok śmierci na donosicielu.



Samarytanie z Markowej

— droga do chwały ołtarzy

ks. Witold Burda

*postulator procesu beatyfikacyjnego rodziny Ulmów,
Kuria Przemyska*

W czasie audiencji u Ojca Świętego w dniu 17 grudnia 2022 r. decyzją papieża, który autoryzował Dykasterię do opublikowania odnośnego dekretu o męczeństwie, zakończyła się droga do chwały ołtarzy rodziny Ulmów, rozpoczęta 24 marca 1944 r. w Markowej



Czym są procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne?

Pod pojęciem „proces beatyfikacyjny i kanonizacyjny” rozumiemy formalności, jakie są niezbędne do orzeczenia przez papieża, że konkretna osoba może być uznana za „błogosławioną” i „świętą”, co w języku Kościoła oznacza najpierw to, że jej życie było zgodne z Ewangelią i odeszła z tego świata w jedności z Bogiem. Taka osoba jest dla nas, żyjących, wzorem godnym naśladowania. Drugi natomiast wymiar, jaki kryje w sobie tytuł „błogosławiony” lub „święty”, to fakt, że osoba określana w ten sposób jest skutecznym orędownikiem naszych modlitw u Boga. Choć w dzisiejszym świecie świętość jest złym towarem, zaprzeczeniem nowoczesności, to Kościół nieprzerwanie stoi na stanowisku, że takie wartości jak wiara, prawda, odpowiedzialność oraz pokora stanowią najlepszy i najbardziej solidny fundament dobrego i szczęśliwego życia tu, na ziemi. Ponadto Kościół stale przypomina, że wierność zasadom moralnym pozwala człowiekowi dokonywać trudnych i trwałych wyborów, potwierdzających jego godność i prowa-

dzających go do osiągnięcia ostatecznego celu, którym jest wieczne zjednoczenie z Bogiem.

Historia procesu – druga grupa męczenników II wojny światowej

Papież Jan Paweł II 13 czerwca 1999 r. w Warszawie beatyfikował 108 polskich męczenników II wojny światowej. Niedługo potem polscy biskupi oraz przełożeni zakonni stwierdzili, że jest jeszcze wiele innych osób, których życie było piękne i szlachetne, a ich śmierć nosi znamiona męczeństwa. Trzecim ważnym elementem był fakt istnienia świadectw, które potwierdzały, że osoby te są podmiotem kultu prywatnego ze strony wiernych. Po wstępnej analizie została podjęta decyzja o włączeniu tych domniemanych męczenników pochodzących z diecezji pelplińskiej do procesu 17 ofiar niemieckiego terroru, który od 1994 r. prowadziła ta diecezja. W ten oto sposób proces beatyfikacyjny objął drugą grupę męczenników II wojny światowej. Łącznie 122 osoby. Do tej licznej grupy należeli kapłani diecezjalni, zakonni, siostry zakonne oraz

Józef i Wiktoria Ulmowie

osoby świeckie, pochodzący z siedmiu diecezji i dwunastu zgromadzeń zakonnych w Polsce. Wszyscy oni zginęli z rąk niemieckich okupantów. Oddali swoje życie za wiarę w różnych miejscach na terenie kraju, a także poza granicami Polski w obozach koncentracyjnych w Dachau, Sachsenhausen, Mittelbau, Buchenwald. Proces beatyfikacyjny tej grupy rozpoczął się 17 września 2003 r. To właśnie od tego grona została włączona rodzina Ulmów, zamordowana z rąk żandarmów niemieckich 24 marca 1944 r. w Markowej. Warto jeszcze dodać, że w trakcie prowadzonego dochodzenia – z racji braku potrzebnego materiału dowodowego – zmniejszyła się liczba tej dużej grupy domniemanych męczenników II wojny światowej ze 122 do 89 osób.

W celu zebrania zeznań świadków oraz dokumentacji dotyczącej domniemanego męczeństwa rodziny Ulmów w Archidiecezji Przemyskiej obrządku łacińskiego od 17 września 2003 r. do 25 kwietnia 2008 r. odbył się proces rogatoryjny. Proces dotyczący grupy 89 do-



mniemanych męczenników II wojny światowej zakończył się natomiast celebracją ostatniej sesji, która miała miejsce w Pelplinie 24 maja 2011 r.

Następnie zebrane na tym etapie procesu beatyfikacyjnego dokumenty zostały przekazane do watykańskiej Kongregacji (aktualnie Dykasterii) Spraw Kanonizacyjnych. Liczyły one 115 tomów. W ten sposób rozpoczął się drugi etap tego procesu, tzw. faza rzymska. Po formalnym otwarciu przesłanych do Kongregacji dokumentów i sprawdzeniu, czy zostały zachowane przepisy na szczeblu diecezjalnym, 10 maja 2013 r. Dykasterium watykańskie wydało dekret o ważności prawnej, poprzez który została uznana wartość dowodowa materiału zebranego podczas etapu diecezjalnego. Od tego momentu rozpoczęły się prace nad tzw. *Positio* na temat męczeństwa ks. Henryka Szumana oraz 88 towarzyszy.

Osobny proces

Biorąc pod uwagę stale wzrastającą opinię męczeństwa, którą cieszy się

jest od tamtego momentu przez Archidiecezję Przemyską obrządku łacińskiego. Dokument oznaczono nazwą „Proces beatyfikacyjny lub deklaracja o męczeństwie Sług Bożych Józefa Ulmy i Wiktorii Ulmy, Małżonków, i 7 Towarzyszy, ich Dzieci, zabitych, jak się utrzymuje, z powodu nienawiści do Wiary (+1944)”.

W lipcu 2020 r. zostały ukończone prace nad *positio*, których celem było wykazanie obecności wszystkich elementów konstytutywnych męczeństwa tak, jak rozumie je Kościół katolicki. Warto tu dodać, że męczeństwo to „dobrowolnie przyjęta śmierć, poniesiona za wiarę w Chrystusa lub za praktykowanie jakiejś innej cnoty w relacji do Boga” (Benedykt XIV).

Po zakończeniu prac nad *positio* o męczeństwie Rodziny Ulmów 16 lutego 2021 r. była ona przedmiotem oceny od strony historycznej (przez siedmiu konsultorów historyków). Następnie *positio* była przedmiotem dyskusji teologicznej przez dziewięciu konsultorów teologów (22 lutego 2022 r.). Wnioski i ocena członków obydwu komisji były pozytywne. Całościowej – również pozytywnej – oceny sprawy dokonali kardynałowie i biskupi – członkowie Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych 6 grudnia 2022 r.

Wnioski kardynałów i biskupów – równoznaczne z orzeczeniem – zostały przedłożone przez prefekta Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych, kard. Marcello Semeraro, papieżowi Franciszkowi do ostatecznej aprobaacji. Miało to miejsce w czasie audiencji u Ojca Świętego 17 grudnia 2022 r.

Decyzją papieża, który autoryzował Dykasterię do opublikowania dekretu o męczeństwie, zakończyła się droga do chwały ołtarzy rodziny Ulmów, rozpoczęta 24 marca 1944 r. w Markowej. Aktualnie oczekujemy na zatwierdzenie przez Ojca Świętego zaproponowanej przez księdza arcybiskupa Adama Szala daty i miejsca uroczystości beatyfikacyjnych rodziny Ulmów.

Wyjątkowość procesu beatyfikacyjnego Samarytan z Markowej

Znaczenie i nowość tej beatyfikacji wyraża się najpierw w tym, że cała rodzina – rodzice oraz ich wszystkie dzieci (w tym jedno jeszcze w łonie matki) – poniosła śmierć męczeńską. Dzieci Józefa i Wikto-

rii Ulmów podobni są do Świętych Młodzianków, których tragiczny los opisuje Ewangelia Mateusza (por. Mt 2, 16–18). Dzieci te zostały zamordowane z rozkazu króla Heroda, który chciał zabić Dziecię Jezus. I choć nie były świadome i to nie one zdecydowały, by oddać życie dla Chrystusa, to jednak Kościół oddaje im cześć jako prawdziwym męczennikom.

Najważniejszym jednak i najbardziej oryginalnym elementem jest beatyfikacja siódmego dziecka, które Wiktorii nosiła pod swoim sercem w momencie brutalnej egzekucji z rąk żandarmów niemieckich. Dziecko to nie ma imienia, nie znamy jego płci, nie przyszło na świat w sposób naturalny ani też nie narodziło się w sposób nadprzyrodzony w momencie chrztu św. Dla Kościoła jest to jednak osoba ludzka, osoba święta, która wpatruje się w Boże oblicze i reprezentuje w Kościele chwalebnych – zbawionych – nieprzeliczoną rzeszę dzieci, które zmarły przed urodzeniem, czy to z powodu śmierci naturalnej czy też śmierci spowodowanej przez aborcję. Warto również zauważyć, że zarówno dziecko już urodzone we wczesnym stadium rozwoju (jak Święci Młodziankowie), jak i dziecko w prenatalnym wieku rozwojowym (nienarodzone dziecko Józefa i Wiktorii Ulmów) nie jest jeszcze podmiotem własnych aktów moralnych, ale to nie odbiera mu godności osoby wynikającej z posiadanego człowieczeństwa i wewnętrznego statusu moralnego. W jednym i drugim przypadku można dostrzec z całą przejrzystością prawdę, że zarówno krótki okres życia prenatalnego dziecka, jak i okres krótkiego życia po urodzeniu z jeszcze większą intensywnością ukazują prawdę, iż człowiek „jest jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego” („Gaudium et spes”, nr 23). I skoro żadne okoliczności zewnętrzne nie uzasadniają niepodważalnej wartości prenatalnego życia człowieka, akt jego zabójstwa pozostaje zawsze aktem śmierci domagającym się poszukiwania i znalezienia sensu. Wrazem takiego poszukiwania zdają się być słowa św. Augustyna przywołane przez św. Tomasza: „Ten tylko będzie powątpiewał o waszej chwale cierpienia za Chrystusa, kto uważa, iż dzieciom nie pomaga również chrzest Chrystusowy. Nie miałyście wystarczającego wieku, by wierzyć w cierpiącego Chrystusa; wszakże miałyście ciało, na którym wytrzymałyście mękę, jaką Chrystus miał odcierpieć” (Suma teologiczna, II-II, q. 124 a. 1).



rodzina Ulmów, a także dla większego podkreślenia przykładu ich życia i tragicznej śmierci, ksiądz arcybiskup Adam Szal, metropolita przemyski obrządku łacińskiego, 31 stycznia 2017 r. zwrócił się do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych z prośbą o wyłączenie z procesu sługi Bożego Henryka Szumana i 88 towarzyszy, sprawy sług Bożych Józefa i Wiktorii Ulmów i ich siedmiorga dzieci. Dykasterium Stolicy Apostolskiej reskryptem z 20 lutego 2017 r. przychyliło się do tej prośby. W ten sposób został otwarty nowy i niezależny proces, który prowadzony

OLIZAROWIE Z KOROSTESZOWA POD ŻYTOMIERZEM

RODZINA OLIZARÓW NAZWISKO SVOJE WZIĘŁA OD ELEAZARA,
SYNA ALEKSANDRA WORONOWICZA – CZYTAMY
W „HERBARZU” KASPRA NIESIECKIEGO



JAROSŁAW
KOSSAKOWSKI

Hrabia Narcyz Olizar, pomimo iż stanowiskiem i majątkiem liczył się na Wołyniu do klasy magnatów, klasy przez niego samego ironicznie oznaczonej, był on przecież Polakiem starej daty co do obchodzenia się z wyższymi i równymi ludźmi, a nowatorem przez wysokie wykształcenie i ogładę z niższymi. Nie znaleziono w całej okolicy właściciela, któremu by włościanie więcej byli oddani, jak w dobrach jego, i którzy tyle dowodów przywiązania oddali jemu i familji jego w chwilach prześladowania, wyszukując ukrywające się kobiety i dzieci, aby je wspomagać, strzec od napadu nieprzyjaciela, gdy powątpiewano o ich uczuciach” – te słowa można przeczytać we wstępie napisanym przez wydawcę „Pamiętnika kasztelana Narcyza Olizara” w 1871 r.

Narcyz Olizar (1794–1862) senator-kasztelan Królestwa Polskiego, powstaniec listopadowy z 1830 r., w swoim „Pamiętniku” barwnie i skrupulatnie wspomina bolesny czas carskich represji. Zatwierdzone zgodnie z pierwszą amnestią uniewinnienie Narcyza Olizara na skutek carskiej interwencji cofnięto i był powstaniec ponownie został aresztowany. Siedząc w więzieniu, urządzonym w starych murach klasztoru bernardynów w Żytomierzu, obawiając się wywózki na Sybir, a nawet kary śmierci, postanowił zorgani-



Hr. Narcyz Olizar

zować ucieczkę. W „Pamiętniku” napisał: „Pomijam tu wszystkie szczegóły mojej ucieczki, ponieważ car jeszcze żyje, ponieważ żytomierski klasztor Bernardynów jest jeszcze jednym z jego więzień stanu i ponieważ nie chcę innym ofiarom jego tyranii zamykać drogi, którą dostałem się na wolność. Ale nie mam żadnego powodu do tajenia opowiadań, jakim sposobem dostałem się z Żytomierza do Francji... Już był najwyższy czas uciekać, bo sąd wojenny otrzymał formalny rozkaz sądenia mnie natychmiast i skazania mnie na szubienicę... Po wydostaniu się z więziennych zabudowań w umówionym miejscu czekał na mnie poczciwy Boczkowski z fałszywymi paszportami. Zarzucił mi na ramiona płaszcz gruby, włożył na głowę czapkę chłopską, ścisnął mnie pasem skórzanym i podał nabity pistolet. Wskoczyliśmy na wóz pocztowy, który już na nas czekał, oddalaliśmy się od Żytomierza, jak tylko konie wyskoczyć mogły”.

Wcześniej, po ostatniej sesji sejmku powstańczego (23 września 1831 r.) w Płocku, Narcyz Olizar wraz z Wincentym Niemojewskim zostali wzięci do niewoli przez oddział kozaków i trafili do słynnych więziennych cel w klasztorze karmelitów w Warszawie. Dalsze losy prowadziły Olizara przez więzienie w Żytomierzu i wspomnianą ucieczkę do wyjazdu do Paryża i działalności na emigracji.

Pieczętowali się herbem Chorągwie Kmitów

Notowanym w kronikach Rusi protoplastą rodu Olizarów był Roman Olizar, hospodar Kijowa. W archiwach zachował się jego testament. Olizarowie już w XIV w. należeli do ważniejszych ruskich rodów zamieszkujących województwo kijowskie. Iwan Olizar Wołczkiewicz h. Chorągwie Kmitów (1520–1577), będąc posłem na sejm lubelski w 1569 r., podpisał akt unii lubelskiej, wcześniej odznaczył się w walkach z Moskwą i Tatarami. Za żonę wziął Ewę, córkę Wasyla Raja z Biłhorodki, i dzięki waleczności na bitewnych polach oraz gospodarności w życiu codziennym stworzył podwaliny przyszłej zamożności i prestiżu rodziny. Nabył on od swojego krewnego Filona Kmita dobra ziemskie w Korosteszowie, które w niedługim czasie stały się najważniejszą rodzinną posiadłością Olizarów-Wołczkiewiczów, a także odziedziczył po matce



Pomnik Narcyza Olizara przed kościołem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, Korosteszów

Bohdanie z Niemirów inne znaczne majątki w ziemi kijowskiej.

Fortunę rodu znacznie powiększył jego syn Adam Olizar (1572–1624), rotmistrz i poseł, do którego u schyłku życia należało 7 miasteczek oraz 33 wsie. Jego pierwszą małżonką została katoliczka Anna z Tchorzewa Tchorzewska h. Rogala, pod wpływem której Adam Olizar nawrócił się z prawosławia na katolicyzm i ufundował w Korosteszowie pierwszy, drewniany, jeszcze katolicki kościół pw. Narodzin NMP. Syn jego Ludwik, rotmistrz J.K.M. i poseł na sejmy, był znany wojownikiem, ale dość pobłażliwym dla swoich żołnierzy, a ci, jak notowały sądowe protokoły, „zuchwali, niesforni, wyuzdani, szukali zaczepki, wyglądali na opryszków. Chętnie też sami się przezywali »Olizarczukami«. W roku 1640 napadli na jadącego z czeladzią Cypriana Kałuskiego. Kiedy ten uciekł, rozszłoszczeni wołali: szczęście to, że uciekł, bo byśmy go zabili. Sami zaś nie boimy się odpowiedzialności, bo nasz pan Olizar nas neodstupyt, a my zapłatym, bo jest czym, a żadnemu Olizarczukowi, który jest Jeho Miłosti poddany, szyju ne utnut; a pan Olizar onych ne wydadst”. Wnuk

Adama, Jan Aleksander Olizar (zm. ok. 1700 r.), wziął udział w odsieczy wiedeńskiej i był dobrym zarządcą swoich majątków. Z kolei wnuk Jana Aleksandra, Józef Olizar Wołczkiewicz (zm. w 1743 r.), żonaty z księżniczką Domicellą Światopełk-Czetwertyńską, miał czterech synów i cztery córki, co z czasem bardzo poszerzyło koneksje rodzinne Olizarów. Dobra korosteszowskie odziedziczył jego najmłodszy syn Onufry, pozostali synowie otrzymali inne majątki. Warto tu wspomnieć o Konstantym Olizarze, marszałku wołyńskiej konfederacji barskiej, oraz jego wnukach, którzy za udział w spisku Szymona Konarskiego zostali na sybirską katorgę. Onufry Olizar (zm. 1753 r.) swoją część majątków podzielił między dwóch synów: Józefa Kalasantego (1748–1814), posła na Sejm Wielki, bezdzietnego, który drewniany kościół w Korosteszowie kazał rozebrać i wznosił świątynię murowaną pod tym samym wezwaniem Narodzenia NMP, i Filipa Nereusza (1750–1816), szambelana królewskiego, marszałka trybunału koronnego (1791), członka akademii nauk i Towarzystwa Naukowego Ekonomicznego we Florencji, który wraz z żoną >>

» Ludwik z Niemirowiczów-Szczytów miał dwóch synów: Narcyza i Gustawa.

Dwa pałace w Korosteszowie

Majątek Korosteszów położony był jakieś 30 km na północny wschód od Żytomierza, zaś same pałacowe zabudowania usytuowane były na lewym, skalistym brzegu malowniczej rzeki Teterew (Cietrzew). Korosteszów, główna siedziba Olizarów, jak wspominałem wcześniej, kupiony został przez Iwana Olizara od rodu Kmitów. Z racji tatarskich najazdów miejscowość, w której stały mury niewielkiego obronnego zameczku, przez lata była niezamieszkała. Dopiero wymieniony Filip Nereusz Olizar wybudował w Korosteszowie nowy dwór i właściwie zagospodarował otrzymane ziemie. Jednak za udział właściciela w działalności niepodległościowej zostały one przez carycę Katarzynę II wzięte pod sekwestr; zwrócił je dopiero car Paweł I. Ale i ta budowla okazała się dla jego syna Gustawa Olizara (1798–1865) zbyt starożytna – jak odnotował Rulikowski w „Słowniku geograficznym” z 1883 r.: „Zarzucał stary dwór ojcowski i urządził sobie mieszkanie w skromnym wiejskim domku z ogrodem ozdobnym, z wielkim znawstwem prowadzonym i malowniczo nad rzeką rozłożonym”. Ten według kronikarza „skromny wiejski domek” był jednak budowlą dwukondygnacyjną, siedmioosiową z bocznymi przybudówkami i dwukolumnowym gankiem wysuniętym przed podjazdową elewację. Nad prawym skrzydłem „nowego” pałacu górowała też dwukondygnacyjna wieża, w części dolnej kwadratowa, w górnej ośmioboczna. Mocno zdewastowany pałac „nowy” w przećwieństwie do „starego”, całkowicie zniszczonego w czasie I wojny światowej i rewolucji rosyjskiej, w ruinie, ale dotrwał do naszych czasów.

O niezachowanych wnętrzach i dziełach sztuki zdobiących salony pałacu w Korosteszowie dowiadujemy się głównie z książki Aleksandra Przeździeckiego „Podole, Wołyń, Ukraina – obraz miejsc i czasów” (Warszawa, 1841). Bogate zbiory dzieł sztuki gromadzone przez przodków uporządkował dopiero młodszy z dwóch potomków Filipa Nereusza, wspomniany już Gustaw Olizar, marszałek szlachty guberni kijowskiej, poeta, publicysta i autor wspomnień. W jego burzliwym życiu odnotowana była niecodzienna przyjaźń z poznaną

we Włoszech siostrą Napoleona Pauliną Borghese, z której damą dworu hrabiną Karoliną de Molot (de Mello) wziął później ślub i miał z nią syna Karola oraz córkę Ludwikę za Mieczysławem Chodkiewiczem z Młynowa. Gustaw Olizar za współpracę z dekabrystami i udział w powstaniu listopadowym był przez władze carskie dwukrotnie więziony i skazywany na zesłanie.

DOPIERO FILIP NEREUSZ OLIZAR WYBUDOWAŁ W KOROSTESZOWIE NOWY DWÓR I WŁAŚCIWIE ZAGOSPODAROWAŁ OTRZYMANE ZIEMIE

Po zwolnieniu z więzienia zamieszkał w Korosteszowie, gdzie w gospodarce rolnej zastosował nowoczesny płodozmian, planowane sadzenie lasów, zbudował zakład kąpielowy i wodolecznicy. Zmarł w Dreźnie i tam został pochowany. Z malarstwa polskiego, które Gustaw Olizar zebrał i uporządkował w pałacu w Korosteszowie, A. Przeździecki wymieniał dwie ogromne kompozycje historyczne Franciszka Smuglewicza oraz kilka obrazów renesansowych mistrzów włoskich. W pałacu była też galeria wizerunków królów polskich, hetmanów i kardynałów.

Dalsze losy Olizarów

Po śmierci Karola Olizara (1820–1877), syna Gustawa, który zmarł bezpotomnie, jego małżonka Jadwiga z Dziekońskich wystawiła posiadłość na sprzedaż. Carski zakaz uniemożliwiający Polakom nabywanie ziemi nie pozwolił Konstantemu

Olizarowi (wnuk marszałka konfederacji barskiej) na kupno korosteszowskich majątków. Pałac i ziemie dostały się w ręce rosyjskich generałów, w ostateczności aż do rewolucji 1918 r. były własnością księcia M.K. Gorczakowa. Przed I wojną światową w Korosteszowie było sześć synagog, dwie cerkwie prawosławne, kościół i kircha prawosławna wzniesiona przez sprowadzonych jeszcze przez Gustawa Olizara niemieckich sukienników. Do czasów współczesnych przetrwał kościół katolicki z tego tylko powodu, iż w czasach bolszewickich działała tam sala kinowa. Na początku lat 90. XX w. w wyniku starań miejscowych katolików zdewastowaną i zbezczeszczoną świątynię zwrócono wiernym, którzy z trudem ją wyremontowali i powoli doprowadzają do dawnej świetności. Odbudowę kościoła w istotny sposób wspierał także Jan Olizar (ur. 1940 r.), potomek Konstantego Olizara, który od 30 lat jest częstym gościem Korosteszowa, w którym już w XXI w. miasto wzniosło posąg Gustawa Olizara. Po obecnym najeździe Rosji na Ukrainę Olizarowie natychmiast stanęli do pomocy Ukrainie i udzielili gościny wielu osobom z Korosteszowa.

Po traktacie ryskim i po stracie ziemskich majątków Olizarowie mieszkali w Warszawie, zaś lata II wojny światowej spędzili w wiejskich dworach krewnych i przyjaciół. Wnuk Karola Olizara Władysław (1908–1982) wspólnie ze Stanisławem Żarynem h. Jastrzębiec (1913–1964) – oficerem I Dywizjonu Artylerii Konnej, jesienią 1939 r. aresztowanym przez NKWD i dzięki brawurowej ucieczce uratowanym przed Katyniem – administrowali ziemskim majątkiem państwa Jawornickich w Szeligach pod Warszawą. Działając w konspiracji, Władysław Olizar i Stanisław Żaryn, który w Szeligach poślubił

Aleksandrę, siostrę żony Władysława, narażali również życie całej rodziny, ukrywając dwójkę młodych Żydów. W latach 90. Jadwiga i Władysław Olizarowie oraz Aleksandra i Stanisław Żarynowie za uratowanie żydowskiej rodziny odznaczeni zostali medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.



Władysław Olizar
(1908–1982)

Z UKRAINY NA KAUKAZ

CARSKIE PLANY WYWOZU POLSKIEJ SZLACHTY ZAGRODOWEJ PO POWSTANIU LISTOPADOWYM

Jaryszów (na Podolu).
Widok ogólny miejscowości



POD ZABOREM ROSYJSKIM NA UKRAINIE ŻYLI I CIESZYLI SIĘ PEWNYMI PRZYWILEJAMI LICZNI PRZEDSTAWICIELE POLSKIEJ DROBNEJ SZLACHTY, ZWANEJ TEŻ SZARACZKOWĄ. W WIĘKSZOŚCI TA BIEDOTA SZLACHECKA NIE POSIADAŁA MAJĄTKU. BYLI JEDNAK LUDŹMI WOLNYMI, O CZYM ŚWIADECYŁY HERB NA PIERŚCIENIU I SZABLA WISZĄCA NA ŚCIANIE NIEZBYT BOGATEJ CHATY



**KS. JÓZEF
MANDZIUK**

Powstanie rozpoczęte 29 listopada 1830 r. w Warszawie znalazło oddźwięk i poparcie przedstawicieli szlachty na Ukrainie, którzy – zdaniem Rosjan – byli najzacieklejszymi bojownikami o odzyskanie

przez Polskę niepodległości. Z pewnością powstanie na Ukrainie nie mogło mieć tak masowego zasięgu, jak w jednorodnym etnicznie Królestwie Polskim. Stąd armia rosyjska ten skromny patriotyczny zryw zdławiła w ciągu dwóch miesięcy. Stoczone walki posłużyły Juliuszowi Słowackiemu za temat w jego poemacie „Duma o Waławie Rzewuskim”.

Rosja carska nie wybaczyła biedocie szlacheckiej jej skromnego udziału w zrywie powstańczym. Już 10 lipca 1831 r. został wydany carski ukaz nakazujący powoływanie komisji do badania

rebeliantów. Na szczęblu guberni komisji przewodniczył generał – gubernator lub wyższy stopniem wojskowy, a jedynymi Polakami wchodzącymi w skład komisji byli marszałkowie szlachty. W protokołach zeznań z terenów trzech zachodnich guberni ukraińskich liczba powstańców nie przekraczała 200 w powiecie, a w całej guberni kijowskiej nie przekraczała 1,8 tys. osób. Bez wątpienia „buntownicy” byli liczniejsi, ale ogólna suma 10 tys. uczestników w trzech guberniach wydaje się najwyższą możliwą liczbą do przyjęcia. Wyraźnie przeważała >>

» szlachta zagrodowa: 104 osoby spośród niej w powiecie kijowskim wobec 19 ziemian oraz 55 „chłopów i włóczęgów”, przy czym ci ostatni, jak stwierdzają protokoły, do udziału w powstaniu byli zmuszani siłą.

Plany represji

Po upadku powstania listopadowego oburzenie i nienawiść do Polaków osiągnęły w Petersburgu szczyty i to zarówno w opinii publicznej, jak i w prasie oraz sferach rządowych. Obok konfiskaty dóbr, zamykania polskich szkół, prześladowań religijnych wyobrażenia o wściekłości rządu carskiego dają dwa wielkie plany: zamiar deportowania 5 tys. rodzin szlacheckich z Podola na Kaukaz oraz zamiar zdeklasowania całej biedoty szlacheckiej i zrównania jej ze specjalną kategorią chłopstwa tzw. jednodworcami. Wprawdzie pierwszy plan upadł, ale warto mu się przyjrzeć uważnie, bowiem pokazuje on stopień antypolskiego obłędu, który ogarnął rosyjską administrację. Drugi – prowadzony z rzadko spotykanym uporem przez 20 lat – został uwieńczony sukcesem i miał poważne konsekwencje dla struktury społecznej tamtych ziem.

Zamiar masowej deportacji drobnej szlachty, której wolność osobista i poczucie niezależności powodowały, że była ona w oczach Rosjan szczególnie niebezpieczna, nie był czymś zupełnie nowym. Płaton Aleksandrowicz Zubow bowiem jeszcze w czasach panowania Katarzyny II, której był kochankiem i faworytem, zastanawiał się, w jaki sposób owo poczucie niezależności wyzyskać dla celów wojskowych, i zaproponował, by zrównać tę kategorię ludności z Kozakami małoruskimi.

Carskie rozporządzenia

Car Mikołaj I wydał 21 listopada 1831 r. ukaz nakazujący wywóz 5 tys. rodzin szlacheckich na Kaukaz. Baron Korff w liście do Lubianowskiego, gubernatora podolskiego, napisał, że jego gubernia została wybrana w celach eksperymentalnych, a liczbę 5 tys. rodzin ustalił Komitet Guberni Zachodnich jako pierwszy kontyngent. W odpowiedzi gubernator zaproponował, aby osadnikami na Kaukazie byli ci, którzy znają się na uprawie roli. Tymczasem – pisał – większość uczestników powstania to wyrostki i „darmozjady”. Stąd dobrze byłoby pozbyć się

ich z Podola, ale chyba niebezpiecznie będzie nimi zaludniać Kaukaz, bowiem „umieszczenie ich tam w większej liczbie wyrządzi szkodę nie tyle im samym, ile – z powodu sąsiedztwa wrogich nam plemion górskich – będzie prawdziwą szkodą dla społeczeństwa”.

Rada Ministrów zatwierdziła 25 marca 1832 r. założenia deportacji, a car na dokumencie własnoręcznie dopisał: „Pamiętać, że założenia te dotyczą nie tylko Podola, ale i pozostałych guberni zachodnich”. Opracowane przez Komitet Guberni Zachodnich w kwietniu 1832 r. przepisy wykonawcze zawierały wiele sprzeczności. Postanowiono najpierw wysłać ochotników i przydzielić im więcej ziemi, a dopiero potem uznanych przez władzę „za podejrzanych bądź niepewnych z jakiegokolwiek powodu”.



Car Mikołaj I

Na gubernatorze podolskim, rezydującym w Kamieńcu, spoczywał obowiązek wyznaczania deportowanych, zorganizowania konwoju i kontaktowania się z gen. Timofiejem Wasiljewiczem Wieliminowem, gubernatorem obszaru kaukaskiego. Gubernator Lubianowski miał też czuwać, aby całe przedsięwzięcie nie nabrało rozgłosu „w gazetach, ani w żaden inny sposób”. Tymczasem gubernator przekazał już marszałkom szlachty wielki drukowany prospekt, zachęcający do wyjazdu na Kaukaz i tłumaczący to wygnanie jako „akt łaski”. Jakże naiwnym był ów rosyjski urzędnik, który sądził, że owe „przywileje” skłonią Polaków do

opuszczenia regionu, który uznawali za swój kraj.

Marchewka czy kij?

„Ulgi i przywileje” oferowane szlachcie, decydującej się na dobrowolną deportację, podzielono na trzy części:

1. Na miejscu dotychczasowego pobytu przyszli przesiedleńcy mieli prawo „sprzedać dom i dobytek oraz zachować to, co uzyskają ze sprzedaży, przy czym komisja sprawdzi, czy należności zostały wpłacone. Nie będzie można sprzedać koni i niezbędnego na Kaukazie bydła rogatego oraz sprzętów domowych i narzędzi, które dadzą się załadować na wóz. O ile ziemia, którą dotychczas przesiedleńcy uprawiali, należy do wspólnoty, wspólnota ją przejmie, ale może wypłacić odszkodowanie. Ewentualne długi powinny być spłacone przed wyjazdem, państwo nie przejmuje za nie odpowiedzialności, a wierzyciele nie mają prawa utrudniać wyjazdów”.

2. Każda przesiedlana rodzina otrzyma przy wyjeździe 50 papierowych rubli ze skarbu państwa na wydatki podróżne. Rodziny będą połączone w grupy, którym zapewni się opiekę urzędnika, wspomagającego i chroniącego „przed wszelkimi nieprzyjemnościami”. Na każdym etapie nieodpłatnie zapewni się podróżującym nocleg i wyżywienie w dobrach ziemiańskich. Bydło również będzie karmione za darmo na mijanych po drodze wspólnotowych pastwiskach. Chorym zapewnia się opiekę w szpitalach w miejscach przesiedlenia. Ubogim rodzinom zapewni się przewóz z etapu na etap.

3. Po przybyciu na Kaukaz każda rodzina otrzyma odpowiedni obszar żyznej ziemi do uprawy i hodowli. Na terenach zalesionych każda rodzina dostanie drewno na budowę domu i kolejne 50 rubli papierowych. Przesiedleńcy zostaną zwolnieni na pięć lat od podymnego, przez osiem lat nie będą podlegać poborowi rekruta i przez sześć lat będą zwolnieni od obowiązku kwaterowania wojska. W zależności od miejscowych warunków będą zakładane większe lub mniejsze osiedla.

Gubernator podolski, znając przywiązanie polskiej szlachty zagrodowej do własnej ziemi, po kryjomu przygotowywał akcję wysiedlania opartą na przymusie. Sprawnikom polecił przygotowanie listy według załączonego wzoru „kategorii osób, nie posiadających ani stałego



Aleksander Sochaczewski, „Pożegnanie Europy” (1890–1894)

zajęcia, które przenoszą się z miejsca na miejsce, od jednego do drugiego właściciela lub gospodarza, wiodąc żywot próżniaczy, bądź – co wychodzi na jedno – żywot włóczęgi”. Rzuca się w oczy charakterystyczne uogólnienie, pozwalające utożsamić zdeklasowaną szlachtę z całą zbieraniną pijaków, złodziei i rozrabiaczy, których należy wychwycić zgodnie z rozdzielnikiem.

Po dwóch miesiącach powiatowe komisje, mające wyszukiwać zdeklasowaną szlachtę, obwinianą o wszystko co najgorsze, nie znalazły żadnego chętnego do wyjazdu. 9 lipca 1832 r. minister spraw wewnętrznych Dmitrij Błudow, po otrzymaniu zapewnienia o pełnej gotowości przyjęcia przesiedleńców od gubernatora kaukaskiego, zapytał gubernatora podolskiego o liczbę wyjeżdżających. Lubianowski, zdradzając coraz większą bezzadność, zadał ministrowi trzy pytania: 1. Czy należy przewidywać deportacje przymusowe szlachty „mimo jej niezgody”?; 2. Czy łączyć bezzennych i tych, którzy nie brali żadnego udziału w powstaniu listopadowym?; 3. Czy należy brać pod uwagę zapisy w księgach genealogicznych?

Odpowiedź ministra z 14 sierpnia 1832 r. świadczyła o coraz większych wątpliwościach co do konieczności stosowania przymusu. W istocie projekt deportacji przeczył ustawie o wydanej amnestii i już nie bardzo było wiadomo, pod jakim pozorem pozbyć się 5 tys. przypadkowo wybranych rodzin. Minister wyraził życzenie, aby brać pod uwagę tylko ochotników, którzy chcieliby wyjechać wraz z rodzinami i których osiedli tryb życia zabezpieczyłby przed ucieczkami z Kaukazu. Całą sprawę skomplikował Wieliaminow, donosząc, że z radością ujrzy przyjeżdżających kawalerów, bo ich osiedlenie kosztuje mniej, a poza tym na Kaukazie jest nadmiar kobiet.

Obstrukcje urzędnicze

Widoczna była gra na zwłokę, która irytowała cara Mikołaja I. Władca całą sprawę polskich przesiedleńców z Ukrainy na Kaukaz przekazał Czerniszewowi, ministrowi spraw wojskowych. W ten sposób dokumentacja dotycząca przesiedlenia na Kaukaz znalazła się w rękach hrabiego Lewaszowa, od lutego 1832 r. generała-gubernatora kijowskiego. Odnalazł on w dostarczonej mu korespondencji, że Lubianowski rozważał deportację 264 osób w sierpniu i 1,2 tys. w grudniu 1832 r. Zastanawiał się, skąd wzięły się te liczby. Wówczas gubernator cywilny wyjaśniał, że grupę 264 osób tworzyli ci spośród pijaków, złodziei i włóczęgów, których udało mu się odszukać i których zgromadzenia szlacheckie zgodziły się wydalic ze swoich kręgów. Przy tej okazji zdał sobie również sprawę z atmosfery towarzyszącej realizacji podjętej akcji. „Szlachta – pisał – tłumnie przybywała ze wszystkich powiatów do Kamieńca, aby odszukiwać swoje dowody szlachectwa; natrafiając na te zbiegowiska i wysłuchując zapytań dotyczących ich sytuacji, starałem się na wszelkie sposoby rozbudzić w nich chęć do przesiedlenia. Ale głośno i zgodnie mówili mi tylko o korzyściach wynikających dla nich samych i regionu z oddalenia tych osobników spośród ich grona, którzy źle się prowadzą”. Natomiast odnośnie do liczby 1,2 tys. osób, to pojawiła się ona – wyjaśniał Lubianowski – w związku z projektowanym przymusowym wyjazdem 100 szlachciców z 12 należących do guberni powiatów. Jednak to przedsięwzięcie – dodawał gubernator – pozostało w sferze planów i nie zostało zrealizowane.

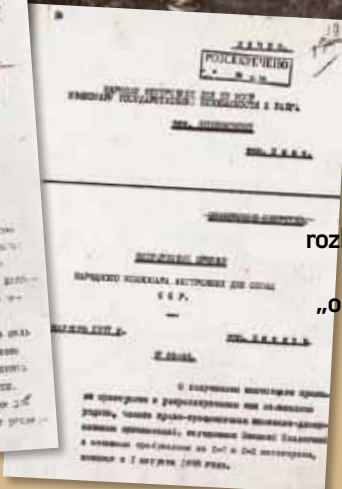
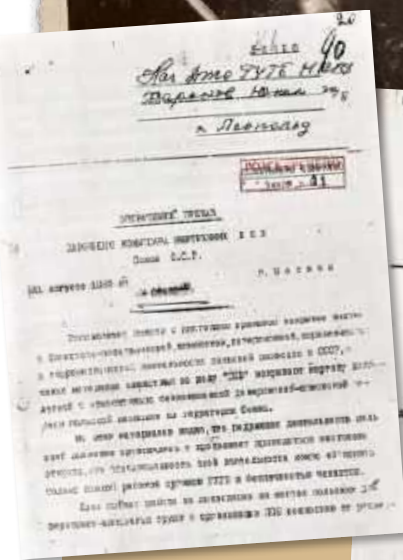
Nadal trwała korespondencja między gubernatorem cywilnym i wojskowym. 23 marca 1833 r. Lubianowski poinformował Lewaszowa, że komisje przedstawiły mu listy ewentualnych deportowanych, ale nie wyszczególniły powodów deportacji i w tej sytuacji odesłał je w celu

uzupełnienia. 3 lipca gubernator podolski z pewną dozą naiwności informował, iż podczas objazdu guberni podolskiej pod koniec 1832 r. napotkał opór ze strony polskiej szlachty. Ten opór wynikał z niezachwianej pewności uzyskania „dowodów szlachectwa”, którą żywiły się tłumy szaraczków. Ponadto zauważył, że rodziny, a zwłaszcza żony, z całych sił zniechęcały ewentualnych kandydatów do wyjazdu. W rezultacie przyznał, że z powodu związków rodzinnych, przywiązania do rzeczy skądinąd pozbawionych znaczenia, a także lęku przed długą podróżą mógł przedstawić tylko następujące dane: na wyjazd znalazł 23 rodziny ochotników, w tym 49 mężczyzn i 46 kobiet. Ponadto w tym gronie znalazło się 12 rodzin uczestników powstania, którzy nie zostali ułaskawieni. Do przesiedlenia proponował przede wszystkim 312 rodzin rozmaitych „przestępców” – w tym 875 mężczyzn i 742 kobiet, wskazanych przez lokalną policję i ekonomów-szlachciców.

Idea nie upadła

Powyższy wykaz został przedstawiony carowi przez Komitet Guberni Zachodnich. Władca ku zdziwieniu wielu zdecydował, aby wysłać tylko kilku ochotników i roztoczyć nad nimi nieco większą opiekę, niż było przewidziane. Wydaje się, że ta nagła zmiana miała dwie przyczyny. Pierwsza wiązała się z bardzo poważnymi trudnościami aprowizacyjnymi i ciągłymi niepokojami na Kaukazie, które spowodowały, że 7 sierpnia 1833 r. decyzja o przesiedleniu została wstrzymana. Druga przyczyna wiązała się z uświadomieniem, że niebezpieczne jest wysłanie na Kaukaz osadników, którzy sami byli podejrzani pod względem politycznym i społecznym. Ostatecznie 12 sierpnia 1834 r. wyruszył na południe konwój składający się tylko z 76 osób. Tak więc za panowania cara Mikołaja I nie doszło do deportacji polskiej szlachty na Kaukaz.

Dopiero w 1936 r. Biuro Polityczne w Moskwie pod przewodnictwem Stalina podjęło uchwałę o przesiedleniu ok. 15 tys. rodzin polskich z Zachodniej Ukrainy do Kazachstanu. Były to deportacje wyjątkowo „łagodne” w porównaniu z tym, co czekało Polaków w wojennych latach tzw. wielkiego terroru. W przeciągu półtora roku władze sowieckie przeprowadziły aż cztery wielkie deportacje, z których trzy dotyczyły wywiezienia ludności polskiej do Kazachstanu.



Powyżej: oddział egzekucyjny NKWD, okolice Dołbysza. Obok: pierwsze strony rozkazów Nikolaja Jeżowa: rozpoczynającego „operację polską” NKWD oraz określającego represje wobec rodzin osób aresztowanych, sierpień 1937 r.

ROZSTRZELAĆ POLSKOŚĆ

„OPERACJA POLSKA” NKWD Z LAT 1937–1938

W MYŚL LOGIKI SYSTEMU NIGDY NIE POWINNA SIĘ ZDARZYĆ. PROBLEMY Z POLAKAMI DAŁO SIĘ ROZWIĄZAĆ DOSTĘPNYMI NARZĘDZIAMI. JEDNAK NA POTRZEBY LINII PROKURATURY W WIELKICH PROCESACH POKAZOWYCH DLA WYWOŁANIA CZYTELNEGO OBRAZU WROGA ORAZ W OBLICZU EKSPANSJI NIEMIEC DOSZŁO DO UKIERUNKOWANEJ MASAKRY I ROZPĘDZENIA ŚRODOWISKA POLSKIEGO W ZSRS. ABERRACJĘ SYSTEMU KONTYNUOWANO WZGLĘDEM KRNĄBRNYCH NACJI

Operacja polska weszła w życie rozkazem 00485 Nikolaja Iwanowicza Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. i trwała do 17 listopada 1938 r., tuż po konferencji monachijskiej. Represje spadły na co siódmego Polaka, podczas gdy w rozpętanej równolegle wielkiej czystce dotknęły ledwo 1 proc. populacji kraju. Spośród 1 mln 200 tys. Polaków aż 149 tys. aresztowano, a rozstrzelano 111 tys. – to 80 proc. zatrzymanych. Antonina Mariecka zapamiętała zagładę swojej wsi Kowalcy (dzierżynski rajon mińskiej obłasti): „Byliśmy mali, wypasiliśmy gęsi, świnię. I oto przyjechał czornyj woron i zabierał ludzi, też naszego tatę. W naszej wsi 29 mężczyzn zabrali [...]. Została wioska małych dzieci. Tylko dwaj mężczyźni przeżyli. Chociaż nie byli winni, ale się przyznali. I dano im dziesięć lat. A tamtych rozstrzelali”. Nie tylko krwawy kurs, lecz także jego etniczne ostrze szokowały współczesnych. Oficerów bezpieczeństwa zwoływano na specjalne zebrania naświetlające cel operacji, bo w pierwszym odruchu uważali, że otrzymali omyłkowe rozkazy. Wyznaczano aprioryczne kontyngenty „winnych” – Witebsk do zatrzymania 300, Mohylew 200–250, a także osobliwą normę „demaskować dziennie po 1–1,5 osobie aresztowanej na jednego śledczego”. W budowanym internacjonalistycznym aparacie władzy odsetek autochtonów nie miał dotychczas żadnego znaczenia. Raporty polskich dyplomatów z połowy lat 20. XX w. z przekąsem odnotowują, że Krymską ASRR kierują sami izraelici z jednym Tatarzyńem trzymanym w ich odczuciu jako listek figowy. Skład władz wynikał z zasług dla rewolucji. Dopiero doktryna budowy socjalizmu w jednym kraju narzucona przez Stalina w 1929 r. wywołała pojęcie nadreprezentacji.

FOT. DOMENIA PUBLICZNA: IPN/ ZBIORY STEFANA KURIAŁY



MANUEL FERRERAS-TASCÓN

Nadreprezentacje etniczne

Dopatrzone są jej w szeregach RKP(b). Na 1 tys. mieszkańców Polacy trzykrotnie częściej niż Rosjanie dzierżyli legitymację partyjną. W KP(b)B byli proporcjonalnie siedmiokrotnie liczniejsi niż Białorusini, zaś w KP(b)U dziesięciokrotnie przewyższali upartyjnienie Ukraińców. W bezpieczeństwie i armii działało się podobnie. Za caratu szeregi rewolucjonistów licznie zasilali Żydzi, Polacy i studenci. I to weterani tamtych konspiracji składali się na sprawdzoną kadrę. Policją polityczną nieomal 20 lat kierowali Polacy: Feliks Dzierżyński, syn polskiego profesora z Petersburga Władysław Mienżyński, po nim łódzki izraelita Gienrich Jagoda. Każdy dobierał osoby zaufane, te, z którymi dzielił heroiczne lata zmagania z samodzielnymi. Ipso facto wśród szarż bezpieczeństwa było zatręśnięcie Polaków. Autor wiekopomnej monografii czystki w szeregach Armii Czerwonej, prof. Paweł Wieczorkiewicz, wskazywał na zagęszczenie Żydów. Choć w populacji kraju stanowili jedynie 1,5 proc., pośród oficerów powyżej stopnia pułkownika już 6 proc. Do tego w korpusie medycznym i weterynaryjnym co piąty oficer miał moźeszowe pochodzenie, w sądownictwie wojskowym nawet co trzeci. Nadreprezentację szybko zniwelowały mechanizmy wielkiej czystki. Udział oficerów z żydowskich rodzin spadł o połowę, a wśród wyższych szarż NKWD nie znalazł się żaden Polak ani Łotysz.



Józef Stalin

Zaściankowa, pograniczna kruchta

Uparte trwanie w wierze ojców społeczności polskiej było solą w oku władz. Jednak kurs antyreligijny, stopniowany od wyśmiewania religijności, wytykania odwiecznych przywar duchowieństwa, poprzez oświeceniowe przeciwstawianie nauki i modernizacji potrzebom duchowym, po domiary podatkowe, zakazy administracyjne, konfiskaty majątku i świątyń, wreszcie aresztowania kleru, zaorały potężną niegdyś Cerkiew prawosławną. Od pierwszego aresztowania patriarchy Moskwy i Wszechrusi Tichona do jego (naturalnej) śmierci zajęło to niespełna trzy lata. Proces pokazowy katolickiego abp. Jana Cieplaka toczył się równolegle. Opór przed konfiskatą sreber kościelnych wy-

starczył do zamknięcia świątyń katolickich i – jak relacjonował „Goniec Śląski” – wydania przez Sownarkom „zasłużonej kary śmierci [wobec] wyzyskiwania zabobonów religijnych przez skazanych”. W Wielkanoc obchodzoną 100 lat temu wyrok śmierci zamieniono na banicję. Po 1924 r. scentralizowane struktury Cerkwi i Kościoła zostały rozbite. Związek Bezbożników, administracja i policja uderzyły w inne wyznania. Dziennik „Bolszawickij Szlach” przestrzegał: „Księża i rabini, popi i pastory, mułhowie i lamowie są zainteresowani osłabieniem potęgi ZSRR. Werbowani są przez faszystów jako szpiegów i sabotażystów. Nikczemną, podłą rolę w tym względzie odegrali księża katolicki”. Zatem i tu operacja polska nie była potrzebna.

Obsesja obłożonej twierdzą targającą władcami Kremla spowodowała, że ludność pogranicza, posiadająca ziemie po drugiej stronie kordonu, postrzegano jako potencjalnych zdrajców. Całe powiaty zamieszkałe przez Finów, Koreańczyków, Persów, a także Polaków wysiedlono w 1936 r., głównie do Kazachstanu. Czyszczenie coraz szerzej postrzeganego pasa granicznego nie wiązało się z żadną szczególną operacją narodową.

Polacy wyróżniali się w przywiązaniu do rodzinnych gospodarstw rolnych. W 1931 r. w regionie Marchlewszczyzny kolektywizowanych było ledwie 7,2 proc. gospodarstw. Na domiar należały do prawosławnego włościanstwa. W tym czasie w Ukraińskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republice (USSR) kołchozy objęły już 62 proc. zagród. Rok później agitacja i zastraszanie spędziły w szeregi kolektywu 15 proc. polskich gospodarstw (postęp dwukrotny). Wypadał jednak „żałośnie” na tle otoczenia: 72 proc. w skali USRR, 62 proc. w całym ZSRR. Na krnąbrnych polskich gospodarzy wystarczyły jednak standardowe represje zwane rozkułaczaniem. Stosowane do wszystkich chłopów, skuteczne względem tych, którym udało się przeżyć fale wywołanego administracyjnie głodu.

Remember Zion

Wielkim rozczarowaniem zakończył się eksperyment Polskiego Rejonu Narodo-

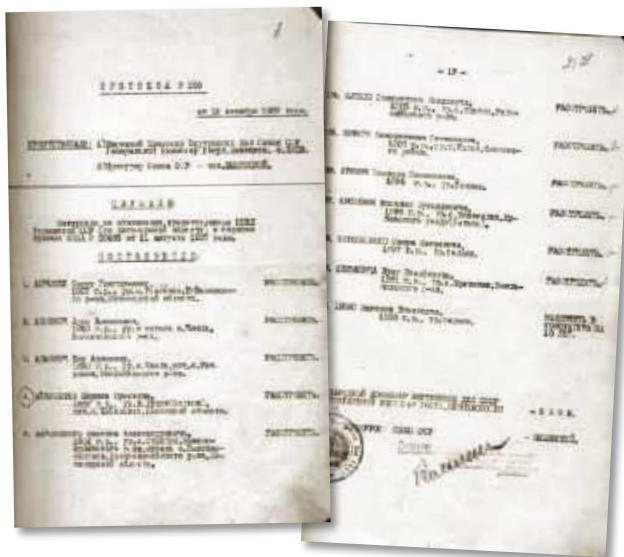
wego im. Juliana Marchlewskiego (USRR) i krótko działającej tzw. Dzierżyńszczyzny (Białoruska SRR). Mimo 10 lat, podczas których zrobiono z niego coś na kształt okna wystawowego realnego socjalizmu, z ogromnymi dotacjami centralnymi, wyzniki oceniano jako niezadawalające. Nigdzie w świecie Polonia, mimo wsparcia Warszawy, nie była w stanie wydać aż tylu tytułów książkowych w języku ojczystym ani rozbudować tak powszechnej sieci szkół. Zapadłe wsie skomunikowano stałym połączeniem autobusowym z Żytomierzem. Celem wykreowania nowoczesnego społeczeństwa, z nieodzowną klasą robotniczą, na głuchej wsi wybudowano dwie huty szkła. Ruszyła elektryfikacja, do urzędów podciągnięto telefony, zawitało kino. Stopa życiowa okolicy znacznie się podniosła. Od początku to laboratorium społeczne podkopywali ukraińscy komuniści, twierdząc, że lud prawosławny jest dyskryminowany wobec podmiotowego traktowania polskich sąsiadów. Natomiast obdarowani licznymi wyróżnieniami nie poczuli się do wdzięczności. W rok po założeniu Polrejonu na 52 tys. mieszkańców przypadało 34 partyjnych i 150 członków Komsomołu. Połowę stanowili prawosławni włościanie, jedną czwartą izraelici, jako Polak określał się tylko co czwarty – do tego nie- rzadko agitator przyjezdny z Leningradu. Na białoruskiej Dzierżyńszczyźnie pośród 80 tys. mieszkańców do partii zapisało się jedynie dwóch miejscowych Polaków. Ci w swej masie mówili po prostu, jednak kultywowali pamięć



Nikołaj Jezow

o Rzeczypospolitej jako wyidealizowanej krainie, niczym Zion z rastafarianiskich kawałków Boba Marleya. Podobnie na ziemię utracone w II rozbiore Polski ta szczęśliwa kraina miała powrócić, a wraz z nią powszechna szczęśliwość i życie bez trosk. Pielęgnowano zaściankową tradycję okolicy, religijność była masowa i ostantacyjna, ośmielały realia wiejskiej głuszy i leśnych ostępów. Naczelnik Słuckiego Wydziału Rejonowego NKWD raportował o proroczym włościance Marii Wołwanowicz: „Wam te kołchozy wyjdą bokiem. W Biblii jest napisane, że wkrótce przyjdą Polacy i będą z was, kołchozników, pasami zdzierać skórę, piętnować żelazem i rozstrzeliwać, szczęśliwy będzie ten, kto nie jest w kołchozie”. Katastrofa pedagogiczna na tyle rozsiewała budowniczych socjalizmu, że oba polskie rejony >>

» autonomiczne rozpedzono. Dokonało się to przed rozkręceniem operacji polskiej. Przez całe 20-lecie granicę Kraju Rad przekroczyło 100 tys. biedaków z polskim paszportem, chętnych zamieszkać w ojczyźnie proletariatu. Jeżow na zebraniu naczelników regionalnych zarządów NKWD w styczniu 1938 r. grzmiał: „Osądzono już 80 tys. ludzi. Widać więc, że co najmniej 20–30 tys. uciekinierów jest jeszcze gdzieś na wolności”.



Dialektyka procesów

Wszystkie problemy z Polakami zostały rozwiązane lub dogorywały bez potrzeby polityki otwarcie i kompromitująco ukierunkowanej przeciwnie do ideologii internacjonalizmu. Pierwszą, jak chce Tomasz Sommer, a drugą (po niemieckiej), zdaniem Nikity Wasiljewicza Pietrowa i Arsenija Borysowicza Roginskigo, operację narodową rozpętano z racji procesów oraz dynamiki Niemiec.

W sierpniu 1936 r. ruszył proces Lwa Kamieniewa i Grigorija Zinowiewa. Winnym był przebywający za granicą Lew Trockim. W drugim wielkim procesie pokazowym Centrum Równoległego ze stycznia 1937 r. Jurij Piatakow został ponownie oskarżony o knucie z Trockim, ale doszedł element chęci sprowokowania napaści Rzeszy i Japonii. W marcu na plenum KC Stalin zarzucił konkurentom powiązania z imperializmem oraz agenturalność. Wywleczeni z sali Nikołaj Bucharin, Aleksiej Rykow i Jagoda wystąpią w trzecim procesie jako agenci Rzeszy, Japonii, Polski, Wielkiej Brytanii i Francji. Skoro Rzeczpospolita została wymieniona w gronie państw definiowanych jako mocarstwa imperialistyczne i faszystowskie, powinna rozbudowywać swoją sieć agenturalną i wywrotową. Jak to bywa w dziejach, zażył też przypadek. W lipcu 1937 r. Nikołaj Jeżow, po raz pierwszy wymieniając potencjalnych wrogów, jął rzucać etniami: harbińcy (społeczność budowniczych linii kolejowej do Harbinu w północnych Chinach), Polacy, Niemcy. Stalin cnił fajeczkę, nie korygował, inni uczestnicy narady zapamiętają to przyzwalające milczenie. Jeżow, czyszcząc kierownictwo NKWD z ludzi Mienżyńskiego i Jagody, siłą rzeczy degradował Polaków. Pośród nich trafił się Ignacy Sosnowski. Na przesłuchaniu pisał zyciorys: gimnazjum, działalność w POW

Pierwsza i ostatnia strona protokołu postanowienia z 18 października 1937 r. o rozstrzelaniu 200 osób w ramach „operacji polskiej” NKWD

w Grodnie, „dwójkarz” przewerbowany przez czekistów... Bardzo spodobał się pasus o POW. Śledczy wskrzesili rozwiązana blisko 20 lat wcześniej organizację. Była tajna, białooficerska, antysowiecka, nacjonalistyczna – gdyby nie istniała, trzeba by ją było wymyślić. W kolejnych aktach oskarżenia ofiarom zarzuczana będzie przynależność do POW.

Polacy przydali się jako archetyp wroga. Wielka czystka sięgnęła apogeum. Potrzebny był czytelny, rozpoznawalny wróg. Reakcyjny, klerykalny, szlachecki białopolak, z kraju, skąd uderzy imperializm, a tymczasem szpion, dywersant. Polak niczym Żyd u narodowych socjalistów kumulował wszystkie negatywne cechy, z którymi walczyło kierownictwo partii i państwa.

Niemcy ponad wszystko

Operację silnie warunkowały ekspansja Rzeszy i przewidywany kurs Warszawy postrzeganej jako pomost. Już nie ku rewolucji światowej jak w 1920 r., ale pochodu kontrrewolucji w przeciwną stronę. Od paktu o nieagresji, poprzez próbę pierwszego Anschlusu w 1934 r., aż po konferencję w Monachium Rzeczpospolita jawiła się jako państwo sprzyjające III Rzeszy. Do tego Niemcy w 1932 r. ściągnęły z Kraju Rad 23 tys. swoich rodaków, pozostali nabierali wartości zakładników. Polska odmawiała repatriacji, więc nie warto było hołubić Polaków mieszkających w ZSRR. Tym bardziej że z Warszawy interesowali się nimi jedynie oficerowie wywiadu. W światowym rozrachunku Komintern nie widział szans

na rewoltę nad Wisłą, zatem i kadra KPP położyła głowy w operacji (w rozkazie inicjującym w litanii postaci do aresztowania występują „emigranci polityczni i osoby pochodzące z wymiany więźniów politycznych z Polski”). Zawód, jaki sprawiła rewolucyjna Hiszpania, która wbrew oczekiwaniom Kremla nie stała się polem masowego starcia mocarstw zachodnich z agresywną Rzeszą, powodował, że powoli zaczął dojrzewać plan ułożenia się z Berlinem. Do paktu Ribbentrop-Mołotow jeszcze daleko, ale droga rysuje się już w 1937 r. Polska nie jest do niczego potrzebna w nowym rozdaniu koncertu mocarstw, wręcz zawadza. Nie warto narażać się na kłopotliwe najścia wpływowych polskich towarzyszy.

Zagraj to jeszcze raz, Sam

Zatem operacja polska nie tylko się dokonała, lecz także miała swoją kontynuację (Niemcy, ludy Kaukazu, Tatarzy krymscy). Tak samo rozkaz o ściganiu „rodzin zdrajców ojczyzny”, by uniknąć publicznych utyskiwań współczesnej Antygony, Marii Grigorjewny Stasienko, o której raportowano do KC KP(b)B: „Jeden jej brat został skazany przez NKWD, drugi przez Sąd Ludowy, obaj odbywają wyroki, z braćmi Stasienko miała ścisły kontakt, składała prośbę o ich zwolnienie”. Zadecydowała wielka skuteczność operacji. Realizowała dwa podstawowe cele wielkiego terroru. Złamała kręgosłup, rozproszyła grupę. Znikła społeczność polska zastąpiona przez sowiecką masę, a o to chodziło w skali państwa ze wszystkimi mieszkańcami. Przy kryterium narodowym maskirowka nie chroni. Ci wszyscy niby partyjni, a kościelni; postępowi na pokaz, a przeciwni kołchozom – nie mieli za czym się skryć. Odtąd w ZSRR zamiast społeczności polskiej ze swoimi instytucjami społeczno-kulturalnymi, elitą, mamy zahukanych sowieckich ludzi polskiego pochodzenia. Coś jak z Żydami w PRL-u po Marcu '68. W Leningradzie po Rosjanach i 170 tys. Żydów trzecią, dumną i widoczną nację stanowili Polacy. W rok ta społeczność się rozmyła. W miejsce zagrożenia „polską mafią” możliwe były płynne awanse stalinistów – o co chodziło w wielkiej czystce. Od początku prosiła się równoległa operacja żydowska. Gdy powstało Państwo Izrael, sprawiając kolejne rozczarowanie, miała się rozpocząć.

NA TERENIE OKUPOWANEGO
PRZEZ NIEMCÓW TARNOBRZEGA
W PAŹDZIERNIKU 1939 r.
WŁADYSŁAW JASIŃSKI (1909–1943),
MŁODY PRAWNIK, PRZESZKOŁONY
W RAMACH DYWERSJI
POZAFRONTOWEJ ORGANIZOWANEJ
PRZEZ SZTAB GŁÓWNY WP,
ZAŁOŻYŁ NIEPODLEGŁOŚCIOWĄ
ORGANIZACJĘ KONSPIRACYJNĄ,
KTÓRA PRZYBRAŁA
NAZWĘ „ODWET”

„Jędrusie” wracający z akcji bojowej

ODWECIARZE – ŻOŁNIERZE I KONSPIRATORZY „JĘDRUSIA”



**MARIUSZ
KRZYSZTOFIŃSKI**

IPN Rzeszów

Wten sposób Jasiński realizował zadania, jakie osobom, które przeszły instruktaż z zakresu dywersji pozafrontowej, zleciło dowództwo Wojska Polskiego. W razie wybuchu konfliktu zbrojnego miały one bowiem podejmować zadania specjalne na terenach zajętych przez nieprzyjaciela.

Dywersja pozafrontowa

Dodatkowo poruczono im wzmocnienie obronności oraz ochrony terenów przemysłowych, wśród których kluczową rolę odgrywał Centralny Okręg Przemysłowy (COP). Jak pisze Tadeusz Zych, kadry dywersji pozafrontowej rekrutowano zasadniczo spośród członków organizacji, takich jak POW, Związek Strzelecki. Jasiński z racji swojego patriotycznego wychowania, uzyskanego wykształcenia, pasji społecznych (harcerstwo), był wyjątkowo predystynowany do prowadzenia w realiach wojennych działań dywersyjnych, gdyż charakteryzowała go nadzwyczajna samodyscyplina, poczucie

obowiązku, sumienność w wykonywaniu powierzonych zadań, wreszcie znaczna sprawność fizyczna. Być może elementem wskazującym na jego wcześnie związki z Oddziałem II Sztabu Głównego WP (odpowiedzialnym za wywiad, kontrwywiad i dywersję pozafrontową) było podjęcie przez niego w 1933 r. posady nauczyciela (w charakterze zastępcy) w Albinówce na Wileńszczyźnie.

Realizując zadania w ramach „dywersji pozafrontowej”, Jasiński sprawił, że do „Odvetu” wstępowała młodzież związana wcześniej z organizacjami, takimi jak: Związek Młodej Polski, Związek Strzelecki, Związek Młodzieży Wiejskiej, harcerstwo, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Już 11 listopada 1939 r. Jasiński w Kajmowie (nieistniejąca już wieś w pobliżu Tarnobrzega) odebrał przysięgę od kilku konspiratorów, związując ich ze strukturami Służby Zwycięstwu Polski (SZP). Początkowo grupa posiadała charakter lokalny, który stopniowo ulegał rozszerzeniu na powiaty tarnobrzelski, sandomierski, potem mielecki, opatowski i staszowski. W końcu 1939 r. jej członkowie rozpoczęli wydawanie pisma „Wiadomości Radiowe”. Prowadząc ożywioną działalność konspiracyjną, Jasiński pełnił także funkcję Kierownika Rejonu Mielec Organizacji Orła Białego (OOB), a od kwietnia 1940 r. pozostawał podkomendnym ZWZ w ramach nowo utworzonego Związku Odvetu (ZO). Podlegał wówczas bezpośrednio Komendzie Obszaru ZWZ w Krakowie. Przez kolejne lata konspiracji pieczętowanie strzegł stworzonej >>

FOT. IPN

>> przez siebie organizacji przed podporządkowaniem miejscowym strukturom ZWZ-AK, co było przedmiotem licznych sporów i nieporozumień, niejednokrotnie o charakterze ambicjonalnym.

Ogólnopolski „Odwet”

Za sprawą wydawanego od 1940 r. pisma „Odwet”, które docierało do większości miejscowości Generalnego Gubernatorstwa, wspomniana grupa konspiracyjna nabrała wręcz ogólnopolskiego znaczenia. Na łamach tej konspiracyjnej prasy, powielanej na tzw. punktach przebitkowych, publikowano informacje pochodzące z nadsłuchu radiowego, dotyczące wieści z toczonych zmagani wojennych, jak i wiadomości odnoszące się do funkcjonowania konspiracji w postaci np. pokwitowań wpłat na działalność podziemną.

W sposób jednoznaczny na kartach pisma wyrażano poparcie dla Rządu RP na Uchodźstwie oraz próbowano wpływać na postawę ludności cywilnej, promując w warunkach okupacji pozytywne wzorce zachowania. Przestrzegano więc przed gadulstwem, zdradą, załatwianiem wzajemnych porachunków, wskazując i wymieniając równocześnie postawy niegodne Polaka. Jak pisze Tadeusz Zych, zdecydowanie negatywnie oceniano rolę PPR, odnotowując w „Odwecie”: „Tzw. PPR i jej organy prasowe, jako obcą agenturę należy traktować. Traktować jako wroga sprawy polskiej i z całym naciskiem zwalczać”.

Nakład pisma oscylował od 300 do 1000 egzemplarzy – nigdy nie przekraczał tej granicy. Przy czym w warunkach okupacyjnych poszczególne numery służyły wielu czytelnikom; w zaufaniu przekazywano je z rąk do rąk. Jedyną publikacją zwartą, jaką wydał „Odwet”, była opisywająca jedną z akcji z 1943 r. książka opatrzona tytułem „Niezdobi nas mundur”.

Żołnierze „Jędrusia”

Poza podziemną działalnością wydawniczą, nielegalnym kolportażem, gromadzeniem broni i szkoleniem podjęła ona działalność wywiadowczą oraz dywersyjno-partyzancką (od 1941 r.). Ta ostatnia

poza publikowaniem wspomnianego „Odwetu” przyniosła oddziałowi największą sławę. W 1943 r. „Jędrusie”, nazywani tak od drugiego imienia swojego dowódcy, rozbili niemieckie więzienia w Opatowie (noc z 12 na 13 marca) oraz w Mielcu (29 marca), uwalniając łącznie ponad 250 przetrzymywanych w nich konspiratorów. Żołnierze oddziału wykonywali też wyroki śmierci na niemieckich konfidencjach, przeciwdziałali rozwojowi bandytyzmu, prowadzili działalność pomocową oraz przeprowadzali akty dywersyjne o charakterze gospodarczym. Za sprawą tych ostatnich zdobywali m.in. fundusze na prowadzenie działalności wydawniczej czy pomocowej.

W stworzonej przez Jasińskiego grupie konspiracyjnej, potem oddziale zbrojnym, panowała wyjątkowa atmosfera. Jego twórcę cechowała ogromna charyzma. Władysław Jasiński, przedwojenny działacz Związku Młodej Polski (ZMP), związany z obozem sanacyjnym, ujmował młodzież swoją osobowością oraz przekonaniem, iż w obliczu niemieckiego terroru koniecznością pozostaje przeciwstawienie się mu w postaci oporu oraz walki z bronią w rękę. W pamięci współpracowników i podległych mu żołnierzy zapisał się – jak podkreśla Tadeusz Zych, autor publikacji „Pierwsi po »Hubalu«. »Odwet – Jędrusie« 1939–1945” – jako wizjoner, będący zarazem autorytetem. Dostrzegano jego skromność, ale i stanowczość, charakterystyczną uczciwość i sprawiedliwość, wreszcie pogodę ducha. W oddziale panowały niezwykle jak na warunki wojskowe „obyczaje”, objawiające się w braku wojskowego drylu z zachowaniem ducha obywatelskiego. Wymienione cechy i skuteczność w organizowaniu oporu wobec okupanta sprawiły, iż Jasiński był przez Niemców poszukiwany listem gończym, w którym obiecywano potencjalnym deaktorom nagrodę w wysokości 5 tys. zł. Ukrywając się, korzystał ze sfalszowanych dokumentów. Taki sam los był udziałem jego najbliższej rodziny.

Śmierć zaskoczyła

Kierując działalnością konspiracyjną, Jasiński liczył się z możliwością utraty życia.

Zginął niespodziewanie 9 stycznia 1943 r. Podczas pobytu w Trzciance „Jędrus” został zaskoczony przez patrol niemieckiej żandarmerii i zastrzelony. Pochowano go na cmentarzu w Sulisławicach. Komendę formacji przejął po nim Józef Wiącek „Sowa”, który wznowił wydawanie „Odwetu”, umieszczając jego drukarnię w kościele w Sulisławicach. Doprowadził też do zawarcia umowy scalającej między oddziałem partyzanckim „Jędrusie” a Armią Krajową. W okresie tym grupa przeprowadziła wiele akcji bojowych. Niektóre z nich przynosiły jednak tragiczne następstwa, gdyż odpowiedzią na nie był bezwzględny terror. Po zorganizowaniu zasadzki na żandarmów niemieckich z Rytwian 2 czerwca 1943 r. (czterech z nich zastrzelono), Niemcy spacyfikowali wieś Strużki, zabijając kilkudziesięciu jej mieszkańców i paląc prawie doszczętnie zabudowania.

Ostatni akt

Latem 1944 r. „Jędrusie” w ramach akcji „Burza” jako 4. kompania weszli w skład 2. batalionu 2. Pułku Piechoty Legionów AK, utworzonego przez Inspektorat San domierski AK. Uczestnicząc w jego szlaku bojowym, jednostka próbowała bezskutecznie dotrzeć z pomocą walczącej Warszawie.

Rozwiązanie oddziału pozbawionego prowiantu, wyposażenia i cierpiącego z powodu ostrej zimy nastąpiło w lasach świętokrzyskich 15 grudnia 1944 r., kończąc kilkuletnią okupacyjną historię „Odwetu” i „Jędrusi”.

Wielu żołnierzy oddziału, pozostając wiernymi złożonej przysiędze – na czele z ich dowódcą Józefem Wiąckiem „Sową” – trafiło po 1944 r. do komunistycznych aresztów i więzień. Kilku z nich zostało zamordowanych przez UB lub NKWD. Wraz z legendarnym Władysławem Jasińskim „Jędrusiem” zapisali się w panteonie chwały polskiego oręża, gdyż, jak napisał w monografii oddziału Tadeusz Zych, „ich czyny kroczą przed nimi”.

W pracy nad tekstem korzystałem z publikacji: Tadeusz Zych, „Pierwsi po »Hubalu«. »Odwet – Jędrusie« 1939–1945”, Tarnobrzeg-Połaniec, 2021



MACIEJ
KĘDZIOREK

DEDYKUJĘ OSOBOM, KTÓRE ULEGŁY
PROPAGANDZIE O NIEWINNOŚCI
„SZEREGOWYCH” PRACOWNIKÓW
SŁUŻB BEZPIECZEŃSTWA I NIE CHCĄ
OBARCZYĆ ICH SYMBOLICZNĄ NAWET
ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ ZA ZNISZCZENIE
ŻYCIA WIELU TYSIĄCOM POLAKÓW

System komunistyczny w PRL-u poprzez tzw. realia życia codziennego wpływał na poglądy i zachowania ogromnej części społeczeństwa. Uczył obchodzenia prawa, „załatwiania” najróżniejszych spraw, radzenia sobie z brakiem towarów i z biurokracją. Przede wszystkim jednak uczył konformizmu, który stał się wówczas istotną cechą Polaków.

Byłem pod ogromnym wpływem ojca

I taki właśnie konformizm jako 18-latek wyniosłem z domu. Moja mama była wierzącą kobietą, którą dziś nazywano by „moherową”, a ojciec inżynierem budowlanym, porządnym i uczciwym człowiekiem, który aby zostać dyrektorem w swoim >>

CYRYLA I METODEGO 4

» kombinacie, musiał wstąpić do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. I zrobił to, jak mi później wyjaśnił, dla zapewnienia lepszego bytu swojej rodzinie. Nie przejawiał żadnej aktywności w sprawach partii, ale przynosił do domu biuletyny, które jak cała ówczesna machina propagandowa potrafiły wytłumaczyć wszystko, co się działo wokół. Przez wiele lat przekazywał mi swoją wizję komunistycznego świata. To on sprawił, że poszedłem do liceum im. Gottwalda (obecnie Staszica), a po jego ukończeniu na Wydział Elektroniki Politechniki Warszawskiej (bo mężczyzna musi być inżynierem). Również z jego namowy wstąpiłem do jedynej ówczesnej organizacji studenckiej Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Nie byłem zbyt mocno zaangażowany ideowo w jej działalność. Moja praca polegała głównie na opiece nad młodszymi studentami i aktywności w wydziałowym klubie studenckim Amplitron. Zajmowałem się też pozanaukowym, rozrywkowym życiem mojej grupy.

Dwoistość mojego partyjno-religijnego wychowania sprawiła, że równocześnie zdałem maturę z religii i rozpocząłem działalność w grupie teatralnej Duszpasterstwa Akademickiego „Arka”. Brałem też udział w dwóch ostatnich wielkich 50-tysięcznych, pieszych pielgrzymkach z Warszawy do Częstochowy. Nie byłem jednak zupełnie przygotowany na to, co miało się wkrótce wydarzyć. Mój „rodzinny” konformizm mógł się skończyć dla mnie tragicznie.

Próba

Była wiosna 1979 r., studiowałem na pierwszym roku elektroniki na Politechnice Warszawskiej. Któregoś dnia stwierdziłem z rozpaczą, że ktoś ukradł mi portfel. Jak się później okazało, kradzieży nie dokonał przypadkowy złodziej. Był to czas, kiedy z niezrozumiałych powodów nosiłem przy sobie wszystkie dokumenty – od dowodu, prawa jazdy i legitymacji studenckiej po dyplom matury z religii, karty British Council i Szkoły Języka Angielskiego Metodystów. Oczywiście wyobraźni widziałem już kłopoty z załatwianiem duplikatów, gdy ku mojej radości dostałem telefon z komendy przy ul. Cyryla i Metodego 4 z informacją, że dokumenty się znalazły. Nie zastanowiłem się wtedy, że portfel skradziono mi w centrum Warszawy, a moja „macierzy-

sta” komenda na Grochowie znajdowała się przy ul. Grenadierów! Dlaczego więc Cyryla i Metodego? Pamiętając scenę z filmu „Człowiek z marmuru” o dziwnym „zniknięciu” przesłuchiwanego, postanowiłem udać się na komendę z moim przyjacielem z podwórka Krzyszkiem Smolińskim. Na wszelki wypadek miał on czekać na mnie na pobliskiej ławeczce.

W pokoju, do którego się zgłosiłem, siedziały dwie panie sekretarki. Z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł oficer milicji i zaprosił mnie do siebie. W środku były dwa biurka: jedno przy całkowicie

rażliwe dla milicjanta. Ten, dostrzegając moje zmieszanie, przeszedł do drugiej fazy rozmowy. Skoro tak mi się wszystko w Polsce podoba, to czy zareagowałbym na sytuacje, które zagrażałyby dalszemu rozwojowi PRL-u? – spytał. I ja zapewniłem go, że tak. W przemyślany sposób wyciągał ode mnie kolejne deklaracje w rodzaju pełnej gotowości do pomocy organom ścigania itp. W czasie rozmowy podkreślił kilkakrotnie moje „obowiązki” wynikające z faktu „bycia synem dyrektora i lojalnego członka partii” oraz przynależności do SZSP. Dopiero po pewnym czasie, gdy byłem

I WTEDY PRZYSZEDŁ MI DO GŁOWY JEDYNY, ZUPEŁNIE DZIECINNY I WYDAWAĆ BY SIĘ MOGŁO BEZSENSOWNY POMYSŁ, ŻE JESTEM JESZCZE ZA MŁODY, ABY PODJĄĆ TAK SZYBKO, TAK WAŻNĄ DECYZJĘ

zaciemnionym oknie, drugie niedaleko drzwi z zapaloną na blacie charakterystyczną lampą, która oświetlała 15 moich „odnalezionych” dokumentów. Chyba nawet nie spytałem wtedy o portfel, taki byłem szczęśliwy! Tymczasem oficer rozpoczął ze mną rozmowę na tematy sytuacji w Polsce i mojej oceny PRL-u. Oczywiście na jego kolejne pytania odpowiadałem, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i nie mam do niczego zastrzeżeń. Rozmowa w niezrozumiały dla mnie sposób bardzo się przedłużała tak, że zacząłem się zastanawiać, o co tu chodzi. Przecież na wszystkie pytania odpowiadałem zgodnie z oczekiwaniami rozmówcy. Jako pierwsza przyszła mi wtedy do głowy naiwna myśl, że oficer chce dostać jakieś pieniądze. Zacząłem analizować stan moich studenckich finansów i doszedłem do wniosku, że wręczenie 20 zł, jakie miałem w kieszeni, może być ob-

już kompletnie zmęczony, oficer zaproponował mi... współpracę. Jeszcze przez kilka minut udawałem, że nie wiem, o co chodzi. Że jak trzeba będzie, to się zgłoszę... itp. Ale w końcu zorientowałem się, że jestem całkowicie przyparty do muru i nie mam żadnej drogi ucieczki. Odmowa byłaby zupełnie nielogiczna i nieuzasadniona, biorąc pod uwagę moje wcześniejsze, składane „na odczepnego” deklaracje. Chociaż moje sumienie absolutnie nie pozwalało mi na współpracę, nie potrafiłem tego jasno wyartykułować. Nie potrafiłem powiedzieć „nie”. To był dla mnie kompletny szok! I wtedy przyszedł mi do głowy jedyny, zupełnie dziecinny i wydawać by się mogło bezsensowny pomysł, że jestem jeszcze za młody, aby podjąć tak szybko, tak ważną decyzję. Nieprzekonany oficer przeszedł do następnej, bardziej bolesnej i przerażającej dla mnie części rozmowy. Klasyczny werbunek rozpoczął od przedstawienia mi skali inwigilacji mo-



jego środowiska. Opowiedział mi o wielu spotkaniach w Duszpasterstwie Akademickim „Arka”, w których oprócz mnie brała udział tylko niewielka, zaufana grupa osób, o pieszych pielgrzymkach do Częstochowy, moich często poufnych rozmowach, o wielu sytuacjach na uczelni, znanych tylko kilku osobom. Były to tak konkretne informacje, że do mojego fizycznego wycieńczenia kilku-godzinna już rozmowa doszła zupełne załamanie psychiczne. Prześladowca był tak pewny mojej zgody, że nawet pozwolił sobie na ostrzeżenie. Podkreślił, że wszystkie moje informacje muszą być prawdziwe, bo Służba Bezpieczeństwa ma już swoich ludzi w moim otoczeniu i każdy mój donos będzie weryfikowany. Wtedy, osaczony, wyczerpany, chwyciłem się tej naiwnej myśli, która wcześniej przysłała mi do głowy, i zacząłem powtarzać, że nie mogę dzisiaj podjąć tak ważnej decyzji, że muszę to przemyśleć i że może zadzwoni do mnie za parę dni i się jeszcze raz umówimy na spotkanie. Wtedy przeszedł do gróźb związanych z moją przyszłością, a właściwie jej całkowitym brakiem. Ja jednak trzymałem się kurczowo swojej „deski ratunkowej” i właściwie przestałem go słuchać, tylko mówiłem w kółko, że spotkam się za parę dni. W końcu udał bardzo smutnego i rozczarowanego moją postawą oraz zupełnym brakiem wdzięczności za „odnalezienie” dokumentów. Wyraził nadzieję, że jednak zmienię zdanie. Ponieważ przestałem się odzywać, podał mi do podpisania pismo o obowiązku zachowania poufności dotyczącej naszej rozmowy. Gdy cały roztrzęsiony zapytałem, co się stanie, gdy nie podpiszę, powiedział mi, że wtedy stąd nie wyjdę. Przypomniałem sobie scenę z „Człowieka z marmuru” i, biorąc pod uwagę okoliczności, uwierzyłem mu! Wytłumaczyłem sobie wtedy, że przecież naruszenie wymuszonej groźbą tajemnicy nie będzie obciążało mojego sumienia. W końcu chodziło mi tylko o to, by wyrwać się z tego strasznego miejsca bez zgody na współpracę. Napisałem krótkie oświadczenie, zgarnąłem swoje dokumenty i wyszedłem niezatrzymany z pokoju i komendy.

Krzysiek przeraził się moim wyglądem i jednocześnie wydawał się zaskoczony, że mnie w ogóle zobaczył. Okazało się, że przebywałem w tym ciemnym pokoju ponad cztery i pół godziny! Przyjacieli, po czterech godzinach oczekiwania, postanowił mnie poszukać. Chodził po kory-

tarzach Cyryla i zajrzał do wszystkich pokoiów, włącznie z pokojem dwóch sekretarek. I podobnie, jak w filmie Wajdy, dowiedział się, że żadna z pań nic nie wie („Bardzo mi przykro, byłam zajęta, nie przyglądałam się”). Wyszła więc przez komendę, nie mając pojęcia, co robić. I wtedy mnie zobaczył, a jego reakcja nie pozostawiała wątpliwości, że był przerażony moim wyglądem.

Kilka następnych dni byłem jak w maignie. Najbardziej przerażała mnie myśl, jak mało brakowało, abym się zgodził. Byłem zdruzgotany tym, że potrafiłem się przeciwstawić tylko w taki „dziecinny” sposób.

Oczywiście oficer do mnie już nie zadzwonił. Dzięki temu doświadczeniu uświadomiłem sobie kilka oczywistych faktów: że kradzieży moich dokumentów dokonał jakiś konfident z mojej uczelni, że takich osób jak ja musiało być „zapraszanych” na Cyryla bardzo dużo i pewnie wielu z nich zgodziło się na współpracę; że oficer, który mnie werbował, był bardzo inteligentnym i doskonale przygotowanym funkcjonariuszem, a panie sekretarki doskonale wiedziały, co się dzieje i jak wielu młodym ludziom złamano życie w pokoju obok nich. Oczywiście opowiedziałem natychmiast Krzyskowi o tym, co się stało, a następnie ks. Józefowi Majowi, duszpasterzowi „Arki”, i moim najbliższym przyjaciołom. Potem, gdy tylko dowiadywałem się od nich o dziwnych zaproszeniach na komendę, starałem się te osoby odpowiednio przygotować, a z niektórymi (tak jak parę lat później z moją żoną) chodziłem nawet na te „spotkania”. Nauczony jednak doświadczeniem czekałem bezpośrednio przed pokojem, do którego wchodził. Wizyta na Cyryla i Metodego 4 na zawsze pozostała w mojej pamięci.

Omnium pro bonum

To dramatyczne i bolesne, ale jednocześnie wyjątkowo istotne wydarzenie w moim życiu było początkiem prawdziwego dojrzewania. Pomagało mi w tym grochowskie podwórko i przede wszystkim Duszpasterstwo Akademickie „Arka”. Owocem mojej ewolucji była podjęta wbrew woli mego ojca decyzja o przystąpieniu do strajku studenckiego na Politechnice Warszawskiej 16 listopada 1981 r. Z polecenia ks. Maja, studenckiego kapelana, odwiedziłem wszystkie strajkujące w Warszawie uczelnie i w ten

sposób zupełnie przypadkiem trafiłem 2 grudnia na brutalną pacyfikację przez ZOMO Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa (m.in. desant z helikopterów). Jeździłem później po wszystkich dworcach, tam gdzie ZOMO rozwoziło budami studentów WOSP, i rozwieszałem własnoręcznie wykonane plakaty z informacją dla nich o możliwości zgłaszania się na Politechnikę. Tu mogli otrzymać indeksy chroniące ich przed natychmiastowym powołaniem do wojska. Wtedy już postanowiłem ostatecznie zakończyć moje niechlubne członkostwo w SZSP. Dowodem na pełną i ostateczną przemianę w moim życiu był udział w Prymasowskim Komitecie Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, tym razem przy ogromnym sprzeciwie ojca. Przez pierwsze kilka miesięcy stanu wojennego codziennie, od rana do wieczora (do godziny milicyjnej), w kościele św. Anny pomagałem ks. Majowi w jego pracy. Myślę, że tylko w samej Warszawie i okolicy wsparliśmy w różny sposób (prawnie, materialnie, interwencją u władz, załatwieniem pracy, mieszkania lub innych najpilniejszych potrzeb) kilka tysięcy osób. Na zawsze pozostał mi w pamięci ogrom krzywd i cierpienia tysięcy polskich patriotów w konfrontacji z nieludzkim systemem i jego wiernymi funkcjonariuszami. Działalność Komitetu miała ogromne znaczenie moralne. Pomagała z jednej strony przezwyciężyć poczucie osamotnienia i bezradności, a z drugiej tworzyła możliwość aktywnego przeciwstawienia się stanowi wojennemu i WRON-ie. Zgromadzone wokół Komitetu osoby potrafiły zrobić ze zła stanu wojennego coś naprawdę bardzo dobrego. W stanie wojennym skończył się ostatecznie i całkowicie mój konformizm. Stałem się wtedy w pełni ukształtowanym i niezależnym człowiekiem, co mogę potwierdzić z perspektywy ponad 40 lat, jakie upłynęły od tamtego czasu.

A co z tymi, którzy zrujnowali życie wielu tysiącom młodych ludzi: z funkcjonariuszami, ale i z „szeregowymi” pracownikami służby bezpieczeństwa, którzy o tym wszystkim wiedzieli? Ukarać można było tylko tych, którym udowodni się winę, a przecież zniszczono nawet do 90 proc. dokumentów bezpieki. Z moich, podobnie jak z większości akt zachowały się tylko te najmniej istotne, czyli paszportowe. Nie mogłem poznać i pewnie nigdy nie poznam nazwiska człowieka, który próbował złamać mi życie.



ARCYBISKUP BRONISŁAW DĄBROWSKI

– KLUCZOWA POSTAĆ EPISKOPATU POLSKI W OKRESIE PRL

W TYM ROKU MIJA 115. ROCZNICA
URODZIN I 25. ROCZNICA ŚMIERCI
ABP. BRONISŁAWA DĄBROWSKIEGO,
HIERARCHY, O KTÓRYM CIĄGLE
MÓWIMY ZBYT MAŁO. ODEGRAŁ ON
W OKRESIE PRL ABSOLUTNIE KLUCZOWĄ
ROLĘ JAKO NAJWAŻNIEJSZY ZE
WSPÓŁPRACOWNIKÓW PRYMASÓW
STEFANA WYSZYŃSKIEGO
I JÓZEFA GLEMPA



**RAFAŁ
ŁATKA**

UKSW

Przyszły hierarcha urodził się 2 listopada 1917 r. w Grodźcu koło Konina. Wywodził się z rodziny rzemieślniczej. Ojciec zginął podczas wojny polsko-bolszewickiej. Wielkie znaczenie w procesie wychowania i ukształtowania się osobowości przyszłego kapłana miała matka, która wpłynęła również na kierunek jego drogi

życiowej, doradzając mu, by wybrał kapłaństwo. W 1935 r. Dąbrowski wstąpił do Zgromadzenia Księżów Orionistów w Zduńskiej Woli. Pierwsze śluby zakonne złożył rok później. Następnie rozpoczął studia filozoficzne w Seminarium Duchownym Domu Misyjnego w Zduńskiej Woli, zaś w 1937 r. wyjechał do Tortony na studia filozoficzno-teologiczne. W połowie sierpnia 1939 r. przerwał naukę i powrócił do Polski wraz z grupą kleryków. Po latach tak to wspominał: „Na wojnę wróciłem, chociaż mogłem powrócić do Italii, bo miałem jeszcze ważny paszport i koleldzy, którzy pojechali potem do Włoch, namawiali mnie do tego. Odpowiedziałem im, że Ojczyzna cierpi i ja muszę razem z nią cierpieć. I zostałem”.

W czasie II wojny światowej uczestniczył w tajnym nauczaniu. Równocześnie prowadził bursę orionistów dla chłopców przy ul. Barskiej 4 w Warszawie. 8 grudnia 1943 r. złożył śluby wieczyste. 3 sierpnia 1944 r. został aresztowany przez Niemców wraz ze swoimi wychowanymi. Od 11 sierpnia przebywał w obozie przejściowym w Warszawie przy ul. Opaczewskiej, następnie wywieziono go do obozu przejściowego – Durchgangslager Bietigheim (dziś część Bietigheim-Bissingen). Po kilku tygodniach pobytu trafił do Neckargartach, dzielnicy Heilbronn, gdzie pracował w zakładzie Knorr. Praca w obozach była bardzo wyczerpująca i odbywała się w stanie permanentnego niedożywienia. Wraz z innymi polskimi

więźniami uzyskał zwolnienie po zbombardowaniu zakładu, w którym pracował, w efekcie czego 17 grudnia 1944 r. wyruszył do Polski.

Opiekun zakonów

Wiosną 1945 r. Dąbrowski wraz ze swoimi wychowankami powrócił do zakładu przy ul. Barskiej w Warszawie. Dwa miesiące później, 10 czerwca, przyjął święcenia kapłańskie z rąk bp. Antoniego Szlagowskiego. Od 1946 r. brał udział w organizowaniu domu opieki dla sierot wojennych w Izbicy Kujawskiej. W 1948 r. na nowo rozpoczął pracę w bursie, kierował nią w latach 1948–1952. Kapłan troszczył się o swoich wychowanków, wprowadzał nowoczesne metody wychowawcze i dbał równocześnie o dyscyplinę. Praca ks. Bronisława w charakterze dyrektora i duszpasterza była wysoko oceniana przez przełożonych w archidiecezji warszawskiej. Z tego też powodu powierzono mu dodatkowe funkcje. Z dniem 15 maja 1950 r. otrzymał nominacje na dyrektora Biura Sekretariatu Episkopatu Polski i kierownika Wydziału Spraw Zakonnych przy Sekretariacie Episkopatu. Stał się tym samym najbliższym współpracownikiem bp. Zygmunta Choromańskiego, sekretarza Episkopatu.

W 1952 r. zakład przy ul. Barskiej został upaństwowiony przez komunistów. Jego likwidację przeprowadzono w brutalny sposób, zaś ks. Dąbrowski został na kilka dni aresztowany. Chciano wykorzystać przeciwko niemu zeznania wychowanków, ale żaden z nich nie podjął kolaboracji. Od 1954 r. komuniści zintensyfikowali działania przeciwko zakonowi. Ks. Dąbrowski regularnie stawiał w ich w obronie, m.in. w lipcu 1954 r. protestował przeciwko wysiedleniu sióstr zakonnych z terenów województw: opolskiego, stalinogrodzkiego i wrocławskiego za rzekomą „działalność rewizjonistyczną”. W 1956 r., już po zmianach wywołanych przez odwilż, brał udział w rozmowach z przedstawicielami Urzędu ds. Wyznań, w czasie których negocjowano likwidację tymczasowych obozów, gdzie przebywały siostry zakonne wysiedlone w ramach akcji X-2. Pełnił także funkcję głównego organizatora współpracy międzyzakonnej i był prawą ręką kard. Wyszyńskiego w tworzeniu Konsulty Wyższych Przełożonych Zakonnych.

Sakra biskupia

16 listopada 1961 r. Jan XXIII nominował ks. Dąbrowskiego biskupem pomocniczym warszawskim. Stało się to z inicjatywy kard. Wyszyńskiego. Od tego czasu pełnił on również funkcję zastępcy sekretarza Episkopatu Polski. Jesienią 1962 r. bp Dąbrowski prowadził negocjacje z Tadeuszem Żabińskim, dyrektorem UdsW, w sprawie wydania paszportów dla polskich biskupów wyjeżdżających na Sobór Watykański II. Analogiczne interwencje podejmował przy kolejnych sesjach Soboru, gdyż władze nie wydały pozwoleń na wyjazd części hierarchów kościelnych.

Już wówczas cieszył się olbrzymim zaufaniem prymasa, który wysoko oceniał jego pracę. Kard. Wyszyński już w 1963 r. w czasie rozmowy z Pawłem VI wymieniał go jako jednego z trzech swoich potencjalnych następców.

Bronisław Dąbrowski objął w lutym 1969 r. godność sekretarza Episkopatu po śmierci bp. Choromańskiego. Funkcję tę sprawował przez ponad ćwierć wieku – w latach 1969–1993 – będąc najważniejszym negocjatorem kościelnym w relacjach z władzami PRL. Dyrektor Departamentu IV MSW płk Stanisław Morawski w analizie dotyczącej układu stosunków w kierownictwie Episkopatu tak pisał o jego roli: „Sekretarz Episkopatu bp Dąbrowski (w pełni podporządkowany Wyszyńskiemu), stanowi zasadnicze ogniwo wykonawcze jego dyrektyw, koncentruje w swym ręku kontakty z władzami państwowymi, jest organizatorem zaplecza prawnego i propagandowego kierownictwa Kościoła”.

Prymas konsultował z bp. Dąbrowskim, jakie stanowisko powinien zająć Kościół wobec rewolty grudniowej 1970 r. Uznano wówczas, że dla dobra społeczeństwa należy przyjąć ostrożne podejście, zatroszczyć się o rozładowanie napięcia w obawie o możliwość sowieckiej interwencji. Z tego wynikało m.in. odwołanie odczytania listu pasterskiego o biologicznych zagrożeniach narodu, w którym zawarta była dość ostra krytyka władz PRL.

Sekretarz Episkopatu

Od grudnia 1970 r. to właśnie sekretarz Episkopatu pełnił funkcję głównej osoby do kontaktów z przedstawicielami nowej ekipy partyjno-państwowej. Rozpoczęło to wieloletnie rozmowy z delegatami władz PRL, ze szczególnym uwzględ-

nieniem dygnitarzy odpowiedzialnych ze strony komunistów za relacje państwo–Kościół. Bp Dąbrowski prezentował w czasie spotkań zdecydowane i uzgodnione wcześniej na forum Episkopatu stanowisko. Robił to w sposób skuteczny, niejednokrotnie przekonując swoich rozmówców do spełnienia postulatów Kościoła. Odegrał on kluczową rolę w negocjacjach dotyczących statusu prawnego własności kościelnej na Ziemiach Zachodnich i Północnych.

Jak większość Episkopatu, bp Dąbrowski był zwolennikiem ostrożnego podejścia do powstałych w 1976 r. organizacji opozycyjnych. Popierał w tym względzie linię działania wyznaczoną przez kard. Wyszyńskiego. Znalazło to swój wyraz w wymianie dość ostrych listów z bp. Ignacym Tokarczukiem w 1979 r. Ordynariusz przemyski postulował wówczas, by Kościół zaangażował się zdecydowanie bardziej we wsparcie dla środowisk kontestujących system PRL. Sekretarz Episkopatu stanowczo odpowiedział, że nie należy to do zadań duchowieństwa. Zwrócił także uwagę, że możliwość działania bp. Tokarczuka wynika z poparcia Episkopatu Polski: „Można tylko dodać, że Biskup Przemyski nie byłby nietykalny, gdyby za nim nie stał cały Episkopat Polski z jego wielkim Prymasem na czele, który już nie jeden mocny list napisał w jego obronie”.

W latach 1977–1980 prymas konsultował z bp. Dąbrowskim i ks. Alojzym Orszulikiem zakres tematyczny i podejście do rozmów z Edwardem Gierkiem. Przykładowo przed spotkaniem ze stycznia 1979 r. sekretarz Episkopatu przedstawił swoje przemyślenia zarówno ustnie, jak i pisemnie. Kardynał wiele z nich uwzględnił – przygotowane wcześniej przez siebie tezy scałił z uwagami hierarchy. W 1979 r. sekretarz Episkopatu był w czasie rozmów z władzami PRL głównym negocjatorem warunków pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Analogicznie sytuacja wyglądała w czasie pielgrzymek papieskich w latach 1983 i 1987, choć wówczas główne negocjacje toczyły się już na forum Komisji Wspólnej przedstawicieli rządu PRL i Episkopatu Polski.

W latach 70. do walki z polskim Kościołem, a szczególnie do osłabienia pozycji Episkopatu, władze PRL chciały wykorzystać dialog ze Stolicą Apostolską. Zasadniczym celem było zawarcie umowy z Watykanem ponad głowami polskich biskupów, by zminimalizować oddziaływanie >>

» Episkopatu na sytuację społeczno-polityczną w Polsce. Bp Dąbrowski odegrał w zapobiegnięciu zamiarom władz kluczową rolę, występując w czasie rozmów jako przedstawiciel Episkopatu. Od 1971 r. przyjmowany był jako przedstawiciel Episkopatu przez Pawła VI, a następnie Jana Pawła II, na comiesięcznych audiencjach – w sumie ponad 250 razy.

PRL a Stolica Apostolska

5 września 1980 r. reaktywowano Komisję Wspólną przedstawicieli rządu PRL i Episkopatu Polski. Bp Dąbrowski wszedł w skład przedstawicieli Kościoła w Komisji, obok kard. Franciszka Macharskiego, abp. Jerzego Stroby i ks. Alojzego Orszulika. Komisja stała się główną platformą dialogu między rządzącymi i biskupami w latach 1981–1989. W czasie jej obrad rozwiązywano także rozmaite problemy w relacjach wzajemnych. Bp Dąbrowski był członkiem Komisji do końca systemu PRL i odgrywał w niej istotną rolę.

Tak jak kard. Wyszyński, a potem Glemp, był zwolennikiem linii ostrożnego podejścia do wydarzeń, jakie miały miejsce w sierpniu 1980 r., oraz do działalności powstałego wówczas ruchu społecznego. Podobnie jak prymas uważał, że Kościół może i powinien wspierać działania mające na celu poprawę losu robotników, ale nie aktywność zmierzającą do zmiany systemu politycznego PRL – gdyż ta była wówczas nierealna ze względów geopolitycznych. W lutym 1981 r. bp Dąbrowski wziął udział jako mediator w negocjacjach pomiędzy strajkującymi w Bielsku-Białej a przedstawicielami władz. Misja zakończyła się

sukcesem, gdyż rząd zgodził się na usunięcie skompromitowanych urzędników.

Po wprowadzeniu stanu wojennego bp Dąbrowski odgrywał niezwykle ważną rolę jako osoba interweniująca regularnie u przedstawicieli władz w sprawie złagodzenia jego rygorów, poprawy warunków, w jakich przebywali aresztowani i internowani, oraz ich zwolnienia lub skrócenia pobytu w izolacji. W piśmie skierowanym do Wojciecha Jaruzelskiego 16 grudnia 1981 r. podkreślił, że dekret Rady Państwa wprowadzający stan wojenny jest nielegalny.

6 lutego 1983 r. Jan Paweł II mianował bp. Dąbrowskiego arcybiskupem tytularnym pro hac vice. Było to istotne wyróżnienie i docenienie działalności hierarchy na rzecz Episkopatu Polski i polskiego społeczeństwa. W maju 1987 r. hierarcha wszedł w skład komisji mieszanej złożonej z przedstawicieli Stolicy Apostolskiej oraz Episkopatu Polski, mającej przedyskutować warunki nawiązania stosunków dyplomatycznych między Watykanem i PRL. Negocjatorzy Episkopatu trzymali się w czasie rozmów wytycznych Rady Głównej, że przed nawiązaniem stosunków dyplomatycznych należy uchwalić ustawę o osobowości prawnej Kościoła, którą równolegle negocjowano. Ostatecznie po przyjęciu wspomnianej ustawy (co nastąpiło 4 kwietnia 1989 r.) podjęto działania zmierzające do nawiązania relacji Stolica Apostolska–PRL.

Moment przełomu

Arcybiskup odegrał kluczową rolę w rozmowach prowadzonych w latach 1988–1989 między przedstawicielami: Ko-

ścioła, władz i opozycji, które doprowadziły do obrad okrągłego stołu, a następnie do negocyjacyjnego modelu transformacji ustrojowej. Przedstawiciele Solidarności przekonywali, by w posiedzeniach poszczególnych zespołów okrągłego stołu księża byli obecni jako świadkowie. W imieniu Episkopatu odmówił właśnie abp Dąbrowski, gdyż zgodnie z założeniami biskupów Kościoła miał być pośrednikiem i moderatorem, a nie aktywnym uczestnikiem przemian politycznych. 27 lutego 1993 r. duchowny przeszedł na emeryturę, składając zgodnie z prawem kanonicznym rezygnację ze sprawowanego urzędu po przekroczeniu 75. roku życia.

Arcybiskup zmarł 25 grudnia 1997 r. w Warszawie po krótkiej chorobie. Uroczystości żałobne odbyły się cztery dni później w archikatedrze św. Jana w stolicy. Uczestniczyło w nich ponad 100 biskupów i 250 kapłanów, przedstawiciele wielu zakonów męskich i żeńskich oraz tysiące wiernych. Znaczenie posługi abp. Dąbrowskiego dla polskiego Kościoła było niezwykle istotne. Pełniąc funkcje zastępy sekretarza, a następnie sekretarza generalnego Episkopatu Polski, potrafił umiejętnie negocjować z przedstawicielami władz PRL, tak by chronić interes Kościoła i społeczeństwa. Wielokrotnie interweniował u komunistów na rzecz prześladowanych, aresztowanych i internowanych, co nabrało szczególnego znaczenia w okresie stanu wojennego. Był bliskim i zaufanym współpracownikiem prymasów Polski – Wyszyńskiego i Głęmpa – dzięki czemu miał wpływ na wiele strategicznych decyzji podejmowanych przez Episkopat Polski.

FOT. NAC

Papież Jan Paweł II przemawia podczas spotkania z wiernymi w Gębarzewie pod Gnieznem. Towarzyszą mu kard. Stefan Wyszyński, ks. Stanisław Dziwisz i bp Bronisław Dąbrowski, 3 czerwca 1979 r.



1965 – Ferdinand Marcos po raz pierwszy prezydentem Filipin



**PAWEŁ
SKIBIŃSKI**

Po zaciętej kampanii wyborczej Ferdinand Marcos, kandydat Partii Narodowej, pokonał 30 grudnia 1965 r. dotychczasowego prezydenta kraju – reprezentującego Partię Liberalną – Diosdado Macapagala. Wkrótce został zaprzysiężony jako 10. prezydent Republiki Filipin, który – jak się miało z biegiem czasu okazać – będzie najdłużej sprawującym władzę liderem państwa w historii tego kraju. Marcos zostanie obalony dopiero w 1986 r. w wyniku masowych protestów społecznych i buntu w armii (w związku z faktem, że protestujący modlili się masowo na różańcach i korzystali z poparcia episkopatu Filipin, w tym słynnego kardynała Jaimego Sina, wydarzenia te nazwano tzw. różańcową rewolucją).

Wydarzenia te zmuszą Marcosa do przekazania władzy i udania się na emigrację do Stanów Zjednoczonych, gdzie umrze trzy lata później. Jego długa prezydentura będzie niezwykle burzliwa i stanie się niemal synonimem kleptokracji – bowiem Marcos będzie oskarżany o defraudację ok. 5 mld dol. amerykańskich ze skarbu państwa filipińskiego.

Kim był jednak Ferdinand Marcos, gdy dochodził do władzy w połowie lat 60. XX w.? Urodził się w 1917 r. w rodzinie znanego polityka i senatora – Mariana Marcosa – na wyspie Luzon. Jego rodzina należała do narodowego Kościoła filipińskiego, a sam Marcos przeszedł na katolicyzm dopiero, gdy – jako dorosły człowiek – planował ślub ze swą „słynną” małżonką Imeldą, znaną z ekstrawagancji, rozrzutności i wpływu na władzę podczas prezydentury męża.

Także ojciec Marcosa był niezwykle kontrowersyjną postacią. W 1938 r. doprowadził on wraz z kilkoma członkami swojej rodziny do zabójstwa swego zwy-

cięskiego kontrkandydata do fotela senatorskiego, a bezpośrednim zabójcą był prawdopodobnie właśnie sam Ferdynand Marcos, wówczas wybitny student prawa uniwersytetu w Manili. Po dwuletnim procesie ostatecznie rodzina Marcosów została jednak uniewinniona od zarzutu morderstwa.

Podczas II wojny światowej Mariano Marcos stał się kolaborantem i propagandystą okupantów japońskich, za co proamerykańscy partyzanci filipińscy dokonali na nim okrutnej egzekucji w 1945 r. (Mariano został rozerwany przez woły). Ferdynand podczas japońskiej inwazji na Filipiny walczył w szeregach armii amerykańskiej i dostał się do japońskiego niewoli. Z obozu jenieckiego został jednak wkrótce zwolniony – prawdopodobnie dzięki koneksjom ojca we władzach okupacyjnych. Ferdynand po uwolnieniu miał wstąpić w szeregi antyjapońskiego ruchu oporu, choć późniejsze jego twierdzenia na temat rzekomych dokonań partyzanckich były jedynie wytworem propagandy prezydenckiej.

Projapońska działalność ojca nie przeszkodziła jednak Ferdynandowi w zrobieniu błyskawicznej kariery politycznej w powojennych Filipinach. Został jednym z nielicznych zweryfikowanych pozytywnie prawników, a w 1949 r. objął mandat deputowanego, który sprawował przez trzy kadencje. W 1959 r. został wybrany na senatora w okręgu, z którego wcześniej wybierany był jego ojciec.

Ferdynand Marcos działał w szeregach Partii Liberalnej, której został nawet przewodniczącym w pierwszej połowie lat 60. XX w. Jednak wobec faktu, że jego partia miała innego kandydata na prezydenta, w 1965 r. przeniósł się do konkurencji politycznej i został nominowany kandydatem na prezydenta Partii Narodowej. Wybory – jak wiemy – wygrał, zdobywając 52 proc. głosów, a jego główny rywal

– dotychczasowy prezydent Macapagal – uzyskał ich o 9 pp. mniej.

Marcos wygrał jeszcze kolejne wybory powszechne – zorganizowane według demokratycznych reguł w 1969 r. – uzyskując jeszcze wyższe poparcie. W 1972 r. wobec zaostrzającej się sytuacji wewnętrznej wprowadził stan wyjątkowy, rozwiązując parlament i zawieszając konstytucję.

W 1973 r. doprowadził do przyjęcia nowej konstytucji, która wprowadzała autorytarne rządy prezydenckie.

W wyborach 1981 r. wygrał po raz trzeci, nie mając w praktyce poważniejszych kontrkandydatów, natomiast pięć lat później – choć oficjalnie ogłoszono jego zwycięstwo – przegrał z kandydatką opozycji, Corazón Aquino.

Rządy Marcosa początkowo przyniosły Filipinom stabilizację i rozwój. Jednak w miarę upływu czasu prezydent okazał się niezdolny do rozwiąza-

nia podstawowych problemów kraju. Za jego rządów nasiliła się działalność ugrupowań partyzanckich – prokomunistycznych (związanych z maoistowską Komunistyczną Partią Filipin) i separatystycznych oddziałów muzułmańskich. W latach 80. XX w. Filipiny przeżywały bardzo głęboki kryzys ekonomiczny, a administracja Marcosa zaczęła bić rekordy korupcji i moralnego rozpasania. Marcos sam przyznał – w wyniku śledztwa – że w 1983 r. jeden z jego najbliższych współpracowników zorganizował zamach, w którym zamordowany został lider antymarkosowskiej opozycji, a zarazem mąż przyszłej następczyni Marcosa – Benigno Aquino.

Choć w 1986 r. Marcos odszedł w nieślawie i nie został postawiony przed filipińskim sądem tylko dlatego, że zmarł w niecałe trzy lata po opuszczeniu kraju, to jednak jego rodzina nadal uczestniczy w działalności publicznej. 30 czerwca 2022 r. syn Ferdinanda – Bongbong Marcos – został przez Filipińczyków wybrany i aktualnie sprawuje władzę jako 17. prezydent tego kraju.



**Ferdinand Marcos
był najdłużej
sprawującym
władzę liderem
w historii Filipin**

W OKRESIE POLSKI LUDOWEJ KLUBY WOJSKOWE POZYSKIWAŁY PIŁKARZY POD POZOREM ZASZCZYTNEGO OBOWIĄZKU SŁUŻBY WOJSKOWEJ. SAMI ZAINTERESOWANI (ZARÓWNO „KOPACZE”, JAK I ICH KLUBY) CZYNILI WSZYSTKO, ABY TEGO UNIKNĄĆ, CZĘSTO ZRESZTĄ Z POWODZENIEM. NIE ZAWSZE JEDNAK TE HISTORIE KOŃCZYŁY SIĘ HAPPY ENDEM



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

Biurowa Badań
Historycznych IPN

PIŁKARSKIE POTYCZKI Z LWP

Dariusz Dziekanowski był wybitnym graczem Legii Warszawa lat 80. Jednak za pierwszym razem działacze wojskowego klubu chcieli go szantażem zmusić do gry w drużynie z Łazienkowskiej

Jednym z klubów ściągających do siebie zdolnych piłkarzy pod pretekstem odbycia zasadniczej służby w Ludowym Wojsku Polskim (LWP) była Legia Warszawa. W ten sposób pozyskano kilka największych gwiazd. W połowie lat 60. tak trafili na Łazienkowską Robert Gadocha czy Kazimierz Deyna. W przypadku tego pierwszego – wówczas zawodnika krakowskiej Garbarni, który wojsko odsłużył w Wawelu Kraków – działacze stołecznego klubu użyli nawet podstępu, strasząc jednego z najważniejszych ludzi w kraju

– członka Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR – Zenona Kliszkę ministrem obrony narodowej marszałkiem Marianem Spychalskim. W przypadku natomiast tego drugiego piłkarza niezbędna okazała się pomoc Wojskowej Służby Wewnętrznej, która tropiła ukrywającego się przed „armią” piłkarza Łódzkiego Klubu Sportowego. Tak na marginesie, Deyna był jednym z trzech – obok Zdzisława Kostrzewińskiego i Edwarda Studniorza – graczy ŁKS, na których apetyt miał stołeczny klub. Tamtych dwóch „uratowała” interwencja I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Łodzi

Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej, ale za cenę Kazimierza Deyny. Nie był to dla niego koniec perypetii z Ludowym Wojskiem Polskim. Otóż kiedy kończyła mu się dwuletnia obowiązkowa służba wojskowa, a Legia Warszawa postanowiła go zatrzymać, został przeniesiony do marynarki wojennej, w której służba trwała o rok dłużej.

Największa „transferowa” porażka Legii

Zdecydowanie rzadsze były przypadki, kiedy to działacze Legii Warszawa musieli

obejść się smakiem. Ich chyba największą porażką transferową był słynny „łącznik z Chorzowa”, czyli Gerard Cieślík. Według dziennikarza i znawcy polskiego futbolu Stefana Szczepka miała go uratować interwencja przodownika pracy socjalistycznej i posła na Sejm PRL Wiktora Markiefki u marszałka Konstantego Rokossowskiego, a także wstawienie wojewody śląsko-dąbrowskiego Aleksandra Zawadzkiego. Nie bez znaczenia okazała się również obawa władz przed gniewem klasy robotniczej – górników ze Śląska, których w Polsce Ludowej bano się bardziej niż np. łódzkich włókniarek. Na ile to prawda, trudno powiedzieć. W każdym razie, jak wynika z zachowanych dokumentów, Markiefka interweniował skutecznie. Tyle że nie u Rokossowskiego, ale u szefa Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego i wiceministra obrony narodowej Edwarda Ochaba.

Przed grą w Legii przez pewien czas skutecznie bronił się Mirosław Okoński, wówczas zawodnik Lecha Poznań. Miał nawet papiery jedyne go żywiciele rodziny, co de facto zwalniało go z konieczności odbycia zasadniczej służby wojskowej. Mimo tego – jak po latach wspominał – „ostrzegali mnie jednak, że w końcu i tak mnie dopadną, wymyślą jakiś sposób”. W tej sytuacji zdecydował się ostatecznie przenieść na Łazienkowską dobrowolnie. Jak potem mówił: „Po paru latach zrozumiałem, że była to bardzo mądra decyzja. Przecież taki Jurek Wijas, który bronił się rękami i nogami przed wcieleniem do armii, w końcu wylądował w jakiejś dziurze i zamiast po boisku biegał po poligonie”.

Zmarnowane kariery

Kilka porażek w latach 70. i 80. stołeczny klub poniósł w potyczkach „transferowych” z najbogatszym wówczas w kraju Widzewem Łódź. Jednak w 1985 r. wziął na łódzianach srogą odwet. Jego ofiarą stał się wspomniany przez Okońskiego Wijas, któremu w ten sposób zniszczono dobrze zapowiadającą się karierę, a także – w mniejszym stopniu – jego klubowy kolega Mirosław Myśliński. Jerzy Wijas, który nie chciał grać przy Łazienkowskiej, trafił najpierw do jednostki wojskowej w Modlinie, gdzie, jak potem wspominał: „stracił rok na marszach paradnych”, a potem grał w Czarne – łaskawie pozwolono mu repre-

zentować miejscowy klub LZS Czarne. Miał zresztą sporego pecha, bo wystarczyłoby, aby do Łodzi przeszedł pół roku później i wówczas jako „pracownik” kopalni Staszcz (w okresie gry w GKS Katowice) miałby spokój z obowiązkiem służby wojskowej. Z kolei Myśliński, unikający podobnie jak Wijas pod różnymi pretekstami zasadniczej służby wojskowej i tym samym gry w stołecznym klubie, trafił w kamasze na podstawie rozkazu samego ministra obrony narodowej gen. Floriana Siwickiego. Nie wykluczone, że w ich przypadku przysłówiową „czarę goryczy” przełał casus Dariusza Dziekanowskiego, a dokładniej jego głośny transfer z Gwardii Warszawa do Widzewa Łódź z 1983 r., który odbył się zresztą z pogwałceniem przepisów dotyczących służby wojskowej.

Casus „Dziekana”

Otóż tym młodym, zdolnym piłkarzem „odrabiającym” zasadniczą służbę wojskową przy Racławickiej – formalnie zresztą żołnierzem Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW – zainteresował się klub z Łazienkowskiej. Mało tego, występami w Legii zainteresowany był również sam Dziekanowski, tyle że – jak wspominał po latach – sprawę pokpił wódzarze tego klubu. Tak to zapamiętał: „Jakieś dwa miesiące przed końcem rozgrywek wezwał mnie pułkownik Zenon Olczak, pełniący funkcję sekretarza generalnego CWKS Legia Warszawa [...]. Bardzo uprzejmie przyjął mnie w swoim gabinecie, posadził w fotelu i zapytał o moje oczekiwania, gdyby los tak zrządził, że trafię na Łazienkowską. Lista była krótka – mieszkanie, pieniądze, samochód [...]. Pułkownik Olczak zamyślił się przez chwilę, po czym zapytał: »Ale wiesz, że jesteś szeregowym ludowego Wojska Polskiego, i że twoi koledzy tacy jak Kazio Buda czy Andrzej Buncol są szczęśliwi, że mogą mieszkać w hoteliku na kortach, po dwóch albo trzech w pokoju, zamiast ganiać z erkaemem po jakimś poligonie? Może i ty byłeś tak samo szczęśliwy? Bo, jeśli nie, to kto wie, czy nie trafiłbyś do takiego Orzysza...«”. Jak się okazało, grożenie – wcale nie takie bezpodstawne, co potwierdza przykład Wijasa – wysłanie do Orzysza, słynnej wówczas karnej jednostki, nie było najlepszym pomysłem. Wykorzystał to – w sobie znany sposób – prezes Widzewa Łódź Ludwik Sobolewski.

Poborowy Robakiewicz

Była już o tym mowa, ale nie wszyscy piłkarze mieli tyle szczęścia, co Dariusz Dziekanowski. W co najmniej jednym przypadku unikanie zasadniczej służby wojskowej miało epilog sądowy. Otóż w 1984 r. napastnik łódzkiego ŁKS Ryszard Robakiewicz otrzymał powołanie do jej odbycia w Budowie. Nie stawiał się tam jednak w wyznaczonym terminie. Po kilku tygodniach wojsko postanowiło wyjaśnić z jakiego powodu. Zawodnik został wezwany do Wojskowej Komendy Uzupełnień, gdzie tłumaczył, że w klubie poinformowano go, iż jego sprawa zostanie pomyślnie załatwiona i jako uczeń technikum mechanicznego otrzyma odroczenie służby wojskowej. Jednak – o czym ponoć nie wiedział – jego sprawa została załatwiona odmownie i do jednostki powinien był się stawić. Szef WKU – mimo deklaracji zawodnika zgłoszenia się w ciągu 48 godzin w Budowie – już po 24 godzinach jego sprawę skierował do wojskowej prokuratury. Zresztą słusznie, bo Robakiewicz nie miał wcale zamiaru iść do wojska. Duża w tym rola działaczy Łódzkiego Klubu Sportowego, którzy obiecywali mu pozytywne załatwienie jego problemów. Ostatecznie nie pomogło mu nawet to, że był de facto jedynym żywicielem rodziny – w tym przypadku nie spełniał jednak formalnych warunków, te spełniał z kolei formalnie, ale nie faktycznie w związku z rzekomą nauką. Jego sprawa oraz działacza ŁKS Wiesława Gołębiowskiego trafiły na wokandę i w październiku 1985 r. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Łodzi skazał ich (odpowiadali z wolnej stopy) na rok więzienia z warunkowym zawieszeniem na okres dwóch lat oraz grzywnę w wysokości 30 tys. zł. Nie trzeba chyba dodawać, że w przypadku Ryszarda Robakiewicza – podobnie jak w wypadku wcześniej opisywanych piłkarzy – zasadnicza służba wojskowa była tylko wygodnym pretekstem dla ściągnięcia utalentowanego zawodnika do klubu wojskowego. Pewnym paradoksem w przypadku Robakiewicza jest fakt, że w 1989 r. trafił do Legii Warszawa już dobrowolnie.

Przepis o konieczności odbycia zasadniczej służby wojskowej był wykorzystywany przez wojskowe kluby – bo ten z Łazienkowskiej nie był tu wyjątkiem – do końca lat 80. A na temat innych przypadków unikania tego „zaszczytnego obowiązku” można byłoby jeszcze długo pisać.

UPAMIĘTNIE NIE ZBRODNI
KATYŃSKIEJ I ROZBUDZENIE
CIEKAWOŚCI MŁODYCH LUDZI NT.
NASZEJ NAJNOWSZEJ HISTORII,
ZWŁASZCZA W KONTEKŚCIE
TRWAJĄCEJ AGRESJI ROSJI
NA UKRAINĘ – TO CELE
OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU
HISTORYCZNEGO „POLSKIE SERCE
PĘKŁO. KATYŃ 1940” DLA UCZNIÓW
SZKÓŁ PONADPODSTAWOWYCH
I STUDENTÓW, KTÓREGO
CZWARTĄ JUŻ EDYCJĘ OFICJALNIE
ZAINAUGUROWAŁA MARSZAŁEK
SEJMU ELŻBIETA WITEK

IV edycja konkursu

„POLSKIE SERCE PĘKŁO. KATYŃ 1940”

To, co dzieje się za wschodnią granicą – okrutna wojna, napad na Ukrainę – pokazuje, że metody Rosjan nie zmieniają się. Warto pamiętać o tym, co działo się w latach 1939–1940 – podkreśliła pomysłodawczyni i inicjatorka przedsięwzięcia podczas konferencji prasowej we wtorek, 17 stycznia, w Sejmie. Prace konkursowe można przysyłać do 24 marca.

Po raz czwarty Marszałek Sejmu ogłosiła rozpoczęcie rywalizacji konkursowej, która – jak zaakcentowała – cieszy się wielkim zainteresowaniem młodego pokolenia. – W trzech edycjach, które mamy już za sobą, udział wzięło ponad 5 tys. uczestników. Przeszło 2 tys. szkół było zaangażowanych i myślę, że ten konkurs odegrał swoją rolę – oceniła Elżbieta Witek. – Chodziło o to, by wśród młodych ludzi rozbudzić ciekawość na temat naszej

historii, historii najnowszej, a Katyń przez wiele lat był jedną z kart historii zamkniętą dla nas Polaków – podkreśliła. Marszałek Sejmu wyraziła zadowolenie z zainteresowania młodych ludzi polskimi dziejami oraz wdzięczność ze wsparcie, jakie otrzymują w tym względzie od nauczycieli, rodziców i opiekunów.

Marszałek Sejmu przedstawiła kategorię w tegorocznej edycji konkursu: pierwsze trzy są przeznaczone dla uczniów

szkół ponadpodstawowych, a czwarta – studentów studiów stacjonarnych oraz zaocznych I i II stopnia. Wśród kategorii dla młodzieży ze szkół ponadpodstawowych wymieniła pracę plastyczną, literacką i tekst piosenki. Jak wyjaśniła, praca plastyczna ma polegać na przygotowaniu ilustracji do publikacji nt. zbrodni katyńskiej. Elżbieta Witek poinformowała też, że praca literacka będzie dotyczyć tematu: „To także walka. Codziennosc polskich oficerów w obozach NKWD w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku w latach 1939–1940”. W ocenie Marszałek Sejmu to ważna i interesująca tematyka, ponieważ dotyczy nie tylko codziennego życia obozowego, ale i działalności kapłanów różnych wyznań. – Pokazuje także, w jaki sposób troszczono się, walczone o zachowanie godności polski oficerów, patriotyzmu, przy próbach przekupienia ich przez żołnierzy sowieckich z NKWD. Pokazuje ich postawę na co dzień w tych najtrudniejszych obozowych warunkach – mówiła. Wskazała też na cieszącą się ogromną popularnością kategorię, w której zadaniem jest napisanie tekstu piosenki. – Tradycją już jest, że orkiestra reprezentacyjna Wojska Polskiego nagrywa do takiej piosenki melodię i potem wykonuje tę piosenkę, co dla uczestników, którzy właśnie podejmują ten trzeci temat, jest niezwykle atrakcyjne – zauważyła. Marszałek Sejmu poinformowała również, że kategoria skierowana do studentów to napisanie scenariusza lekcji na taki sam temat jak w przypadku pracy literackiej, którą będą tworzyć uczniowie szkół ponadpodstawowych.

Elżbieta Witek zachęcała młodych ludzi, którzy już byli uczestnikami konkursu, oraz tych, którzy jeszcze w nim nie brali udziału, żeby zechcieli się pochylić nad tą niezmiennie ważną dla Polaków tematyką. Jak przekonywała Marszałek Sejmu, okrutna wojna za naszą wschodnią granicą, agresja na Ukrainę – niezależne, wolne państwo, wskazuje na niezmiennie się postępowanie Rosjan, dlatego warto mieć w pamięci metody ich działania z okresu od 1939 do 1940 r. Elżbieta Witek zapowiedziała, że na zwycięzców, którzy zdobędą pierwsze, drugie i trzecie miejsce, czekają bardzo atrakcyjne nagrody, ale nagrodzeni będą także uczestnicy zajmujący lokaty od czwartej do dziesiątej.

Zgodnie z informacją przekazaną przez Marszałek Sejmu finał konkursu jest planowany na 15 kwietnia, zaś miejsce zosta-

nie ogłoszone w późniejszym terminie. Jednocześnie Elżbieta Witek zachęcała, by wszelkie pytania związane z organizacją przedsięwzięcia kierować na adres mailowy: konkurs@sejm.gov.pl albo od poniedziałku do piątku w godz. 8.00–16.00 pod numerem telefonu: 22 694 16 13.

* * *

W Komitecie honorowym konkursu zasiadają: prezydent Andrzej Duda – przewodniczący tego gremium, a także marszałek Sejmu Elżbieta Witek, wiceprezes Rady Ministrów, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek oraz prezes Instytutu Pamięci Narodowej Karol Nawrocki.

Natomiast w skład komitetu organizacyjnego konkursu wchodzi: Telewizja Polska SA, Polskie Radio SA oraz Fundacja im. Janusza Kurtyki.

Patronami medialnymi konkursu są Telewizja Polska SA oraz Polskie Radio SA.

Młodzież w wieku od 15 do 21 lat, ucząca się w szkołach ponadpodstawowych położonych na terenie Polski, może próbować swoich sił w kategoriach:

- plastycznej – zadanie polega na stworzeniu ilustracji do publikacji nt. zbrodni katyńskiej, w formacie A4, techniką dowolną (nie może to być praca przestrzenna);
- literackiej – należy przygotować pracę pisemną w formie eseju, rozprawki, opowiadania, wywiadu lub sztuki teatralnej

na temat: „To także walka. Codziennosc polskich oficerów w obozach NKWD w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku w latach 1939–1940” (objętość nie może przekroczyć 6 stron treści merytorycznej formatu A4, czcionka Times New Roman o rozmiarze 12, interlinia – 1,5, marginesy znormalizowane – 2,50 cm);

- tekst piosenki – uczestnik ma zadanie opracować tekst piosenki poświęconej zbrodni katyńskiej (czcionka Times New Roman o rozmiarze 12, interlinia – 1,5, marginesy znormalizowane – 2,50 cm).

Dla studentów studiów stacjonarnych i niestacjonarnych I oraz II stopnia uczelni położonych na terenie Polski, którzy nie ukończyli 26. roku życia, przeznaczona jest kategoria scenariusz lekcji. Zadaniem uczestnika jest opracowanie 45-minutowego konspektu zajęć lekcyjnych na temat: „To także walka. Codziennosc polskich oficerów w obozach NKWD w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku w latach 1939–1940”. Scenariusz lekcji musi m.in. być zgodny z podstawą programową kształcenia ogólnego dla szkoły ponadpodstawowej i wzbogacony o środki dydaktyczne, materiały źródłowe oraz ikonografię. Należy zastosować czcionkę Times New Roman o rozmiarze 12, interlinię – 1,5, marginesy znormalizowane – 2,50 cm.

Prace konkursowe muszą zostać przygotowane w języku polskim. Mogą być realizowane oraz zgłaszane wyłącznie przez autorów indywidualnych. Nie będą rozpatrywane prace zespołowe. Uczestnik będący uczniem szkoły ponadpodstawowej może złożyć jedną pracę wyłącznie w jednej z trzech dedykowanych kategorii: plastyczna, literacka albo tekst piosenki. Natomiast uczestnik, który jest studentem studiów stacjonarnych i niestacjonarnych, może złożyć tylko jedną pracę w kategorii scenariusz lekcji.

Autorzy zwycięskich prac w każdej kategorii otrzymają nagrody. Za zajęcie pierwszego miejsca – laptop, drugiego – tablet, a trzeciego – czytnik e-booków. Przewidziano też wyróżnienia dla osób, które uplasują się na lokatach od czwartej do dziesiątej w każdej kategorii.

Prace konkursowe można nadsyłać do 24 marca 2023 r. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone do 15 kwietnia 2023 r.

Szczegółowe informacje nt. konkursu wraz z regulaminem są dostępne na stronie internetowej: www.konkurskatynski.pl.



ZACZEŁO SIĘ OD BIGBITU

OD OPOŁA DO JAROCINA

HASŁO „POLSKA MŁODZIEŻ ŚPIEWA
POLSKIE PIOSENKI” ZOSTAŁO ZASTĄPIONE
HASŁEM „POLSKA MŁODZIEŻ GRA
MUZYKĘ NIEUSTĘPUJĄCĄ ZACHODNIEJ”



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
DEC**

19 czerwca 1963 r. odbyła się I edycja Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Jego pomysłodawcami byli dziennikarze radiowi – Mateusz Świącicki i Jerzy Grygolunas. Tak w rozmowie z Muzeum Historii Polski początki festiwalu wspomina Mariusz Jeliński: „Było to po 1956 roku, gdy na antenie radia pojawiał się już jazz, rock, muzyka zachodnia. W pewnym momencie doszli oni do wniosku, że dobrze byłoby stworzyć coś, co pozwoliłoby pokazać możliwie szeroki wachlarz polskich piosenek. [...] Kiedy doszli do wniosku, że taki festiwal warto zorganizować, uznali, że trzeba to zrobić szybko. [...] Trafili też na bardzo dogodne warunki. Pan Karol Musioł, człowiek bardzo aktywny w działalności kulturalnej, który równocześnie był przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Opolu, był zainteresowany budową amfiteatru [...]. Te dwie inicjatywy zbiegły się zupełnie przypadkowo. Kiedy Grygolunas i Świącicki pojechali do Opoli i spotkali się z Musiołem, łatwo przekonali go do koncepcji festiwalu piosenki polskiej. Wtedy wszystko zaczęło się dziać. Od chwili, kiedy Musioł zaak-

ceptował ich pomysł, do inauguracji festiwalu zostało bodajże pół roku”.

Pierwszy festiwal był wydarzeniem niezwykle – przez popularnych artystów został przyjęty z dużym dystansem, więc organizatorzy postawili na młodych wykonawców. Na opolskiej scenie znalazło się miejsce dla piosenki autorskiej, kabaretowej, wreszcie dla coraz bardziej popularnych zespołów bigbitowych. Odkryciem była wówczas Ewa Demarczyk, a wśród laureatów znaleźli się m.in. Bohdan Łazuka, zespoły Niebiesko-Czarni i Czerwono-Czarni. To właśnie wtedy padły słowa Jerzego Waldorffa: „Dawno nie miałem do czynienia z audytorium, które by reagowało na muzykę tak trafnie, tak celnie, z takim smakiem i jednocześnie z taką kulturą jak Opole. Wszystko to [...] nakłaniało tego, abym przede wszystkim namawiał wszystkich [...] do wspólnego wysiłku o to, żeby Opole było stale miejscem festiwalu. Chciałbym, żeby Opole miało tytuł: Opole – stolica piosenki polskiej”.

Tymczasem na scenie bigbitowej pojawia się coraz więcej zespołów. Część z nich zaledwie na chwilę, ale są i takie, które zostają na dłużej – należały do nich m.in. Czerwone Gitary. Założona w 1965 r. grupa bardzo szybko zdobyła popularność. Hasło pierwszej trasy koncertowej „Gramy i śpiewamy najgłośniej w Polsce” przyniosło zespołowi rzeszę fanów. Płyty sprzedawały się w wielotyśięcznych nakładach. Grupa osiągnęła ogromny sukces uwieńczony nagrodą

„Midem”, otrzymaną w 1969 r. w Cannes. Jak w wywiadzie dla Polskiego Radia w 1978 r. wspominał Krzysztof Klenczon: „Chodziło nam o to, żeby robić własne piosenki. Wydawało nam się, że Polska na nie czeka. I to się sprawdziło. Piosenki były nowe, łatwo wpadały w ucho [...]”.

W tym samym roku, na drugim krańcu Polski, w Krakowie, powstał Skaldowie – jeden z najpopularniejszych zespołów przełomu lat 60. i 70. Liderzy grupy – bracia Zielińscy, studenci uczelni muzycznej, wprowadzili do polskiego bigbitu nowe dźwięki. Brzmienie zespołu zostało wzbogacone kwartetem smyczkowym czy dźwiękami fortepianu. W swojej twórczości inspirowali się także muzyką góralską, do której nawiązania można znaleźć w wielu ich piosenkach.

Natomiast w Rzeszowie na scenie pojawił się zespół Tadeusza Nalepy – Blackout, w którym wokalistką została Mira Kubasińska, a wokalistą Stanisław Guzek. Grupa zdobywała coraz większą popularność, a na szczególną uwagę zasługiwała współczesna tematyka tekstów. Po krótkim czasie doszło do rozłamu – Guzek (Stan Borys) poszedł swoją drogą, a Nalepa z Kubasińską zmienili nazwę zespołu na Breakout. Grana przez nich muzyka była zbliżona do dźwięków zachodnich zespołów rockowych tego czasu, na koncertach pojawiały się improwizacje, a pierwszą płytę grupy dźwiękami saksofonu wzbogacił Wojciech Nahorny.

W Łodzi natomiast zawiązał się zespół Polanie, w którego skład wchodził doświadczeni muzycy, grający wcześniej w Niebiesko-Czarnych i Czerwono-Czarnych. Grupa muzycznie wróciła do źródeł, czyli do rhythm and bluea, a ogromnym doświadczeniem była dla nich wspólna trasa po Polsce z The Animals. Zespół został rozwiązany w 1968 r.

Końcówka lat 60. przyniosła premierę mszy beatowej „Pan przyjacielem moim” Katarzyny Gaertner, co wspomina krytyk muzyczny Andrzej Wróblewski: „Odbywała się ona w małym ślicznym kościółku w Podkowie Leśnej. [...] Tej mroźnej, styczniowej niedzieli kościół wypełnił się tłumem ludzi. Ci, którzy się nie zmieścili, czekali na dworze. Rozległ się dzwonek, wszedł ksiądz z ministrantem, za nim wbiegli czterej młodzi ludzie w smokingach, podłączyli gitary do przygotowanych wzmacniaczy, jeden stuknął podeszwą o posadzkę – raz, dwa, trzy, cztery – i o mury kościoła gruch-



nęła salwa dźwięków gitar elektrycznych zespołu Czerwono-Czarni. Płyta z Mszą Beatową stała się w krótkim czasie bestsellerem, a pieśń Introitu – Pan króluje w majestacie – przebojem nastolatków”.

W latach 1968–1969 ważną imprezą była Musicorama, pozwalająca na poznanie najważniejszych zespołów, nowych nurtów muzycznych. Jej pomysłodawcą był nikt inny jak Franciszek Walicki, który tak mówił o jej założeniach: „Ma to być impreza szczególnie uczulona na wszystko, co nowego, świeżego i oryginalnego wnosi na nasze estrady młodzież, ma to być forum systematycznych spotkań naszej młodzieżowej czołówki muzycznej i ekspozycji jej najciekawszych osiągnięć”. Na odbywających się w Sali Kongresowej koncertach prezentowali się m.in. Czesław Niemen i Akwarele, Czerwone Gitary, Bizony, Breakout.

Początek lat 70. to ostatnie ważne akcenty polskiej sceny bigbitowej – 972 r. przyniósł ostatnią płytę tego nurtu – rock-operę „Naga”. Era bigbitu dobiegła końca. Przez kilka lat polska scena rockowa była w odwrocie. Oczywi-

HASŁO PIERWSZEJ TRASY KONCERTOWEJ „GRAMY I ŚPIEWAMY NAJGŁOŚNIEJ W POLSCE” PRZYNIOSŁO CZERWONYM GITAROM RZESZĘ FANÓW

ście cały czas tworzył Czesław Niemen, który wydawał kolejne płyty, eksperymentował z muzyką i miał swoją publiczność. Nie pojawiają się jednak masowo nowe interesujące zespoły. Natomiast

warto pamiętać o dwóch grupach z tego okresu. Pierwszą z nich jest SBB (Silesian Blues Band, później Szukaj Burz Buduj), założona przez multiinstrumentalistę Józefa Skrzeka w 1971 r. Początkowo trio towarzyszyło Niemenowi w trasach koncertowych. Pierwszy album został zarejestrowany podczas koncertów w warszawskim klubie Stodoła i wydany w 1974 r. Muzycznie grupa nawiązywała do takich artystów jak Jimi Hendrix czy Eric Clapton. Świetnie brzmiała na żywo, a krążek był ogromnym sukcesem. Połowa lat 70. to także czas, kiedy na ogólnopolskiej scenie zaistniała lubelska Budka Suflera, założona przez Krzysztofa Cugowskiego i Romualda Lipkę. A stało się to za sprawą piosenki „Sen o dolinie”, będącej polską wersją piosenki Billa Withersa „Ain’t No Sunshine”. Tak w 2012 r. członkowie grupy wspominali pierwszą płytę „Cień wielkiej góry” w wywiadzie w „Trójkowym wehikule czasu”: „To rzeczywiście nie był dobry czas dla muzyki rockowej. My po prostu mieliśmy najwięcej samozaparcia. Byliśmy, tak samo jak członkowie SBB, ludźmi z prowincji, w związku z tym mieliśmy więcej determinacji, żeby uderzać głową w betonową ścianę. I udało się nam”.

Koniec lat 70. przynosi hasło „Muzyka Młodej Generacji”, którym promowano polską muzykę rockową. Tak wspomina to Walter Chelstowski: „W 1977 r. pracowałem w telewizji – w Studio 2. Gdzieś za drzwiami usłyszałem bardzo fajną muzykę. Uchyliłem drzwi i wszedłem do pokoju, gdzie siedział Jacek Sylwin. Kiedy mi powiedział, że tak grają polskie zespoły, nie chciałem uwierzyć. »Takich zespołów w Polsce nie ma« – odpowiedziałem, a on zaczął mi puszczać kolejne nagrania. Wtedy wiedziałem już, że to moja muzyka. Postanowiliśmy, że musimy coś zrobić, żeby ona jakoś zaistniała”.

Ruch promował jednoznacznie rockowe, ale bardzo różne stylistycznie, zespoły. Hasło „Polska młodzież śpiewa polskie piosenki” zostało zastąpione hasłem „Polska młodzież gra muzykę nieustępującą zachodniej”. Do zespołów MMG zaliczamy grupy takie jak: Mech, Kasa Chorych, Exodus, Kombi. W 1980 r. w Jarocinie odbył się I Ogólnopolski Przegląd Muzyki Młodej Generacji, przekształcony niebawem w jarociński festiwal, który nierozłącznie jest związany z latami 80. i ze złotym czasem w historii polskiej muzyki rockowej.

KOPERNIK

– OBLICZE GENIUSZA

MIKOŁAJ KOPERNIK BYŁ NIE TYLKO NAJWIĘKSZYM, LECZ TAKŻE NAJSZCZĘŚLIWSZYM SPOŚRÓD ASTRONOMÓW, BO TO JEMU PRZYPADŁ ZASZCZYT ZAPOCZĄTKOWANIA NAUKI O WSZECHŚWIECIE. W 550-LECIE URODZIN GENIUSZA WRACAMY DO KWESTII JEGO PRAWDZIWEGO WIZERUNKU I JEDNOCZEŚNIE JEGO OSOBY ORAZ DOKONAŃ JAKO SYMBOLI POLSKIEJ NAUKI

Mikołaj Kopernik, rycina
Tobiasa Stimmera (1587 r.)



**JERZY
MIZIOŁEK**

W 2005 r. świat obieğa informacja o znalezieniu pod posadzką katedry we Fromborku doczesnych szczątków autora „De revolutionibus”. Wyniki badań archeologów i antropologów z entuzjazmem przyjęli m.in. tak wybitni badacze jak prof. Owen Gingerich z Uniwersytetu Harvarda, światowej sławy historyk astronomii i nauki, znakomity znawca dokonań naszego astronoma. 22 maja 2010 r., na dwa dni przed kolejną rocznicą jego śmierci, dokonano uroczystego pochówku szczątków odkrytych pięć lat wcześniej. Nad niewielką trumną, osłoniętą solidną taflą szkła u stóp jednego z ołtarzy prawej nawy świątyni, umieszczono trzymetrowej wysokości epitafium mające formę modelu Układu Słonecznego. Pod widniejącym na nim portretem znajduje się napis przywołujący miejsca początku i kresu życia (1473–1543), główne dzieło astronoma, jak i piękne, mało znane jego słowa: „Chrystus jest sprawcą naszego zbawienia”. Treść inskrypcji ma też wersję łacińską, umiesz-

zoną w dolnej partii epitafium. Gdy patrzymy na ujętą w formułę pars pro toto wizualizację teorii heliocentrycznej, na myśl przychodzą słowa z 10 rozdziału I księgi „De revolutionibus”: „Środek zajmuje właśnie Słońce. [...] Odnaleźliśmy zatem w tym porządku zadziwiający ład świata i ustalony, zharmonizowany zwią-

zek między ruchem a wielkością sfer, jakiego w inny sposób odkryć niepodobna. Tak zaprawdę jest to boskie arcydzieło Istoty Najlepszej i Największej”. A więc odkrycie naszego astronoma, który był też kapłanem, zostało pięknie wpisane w myśl chrześcijańską. Bóg jest światłością świata, Słońce jest Jego symbolem.

Wspomniany portret Kopernika nie ma w sobie nic z nowoczesnej fantazji artystycznej, wzorowany jest na wizerunku, który – jak głosi legenda – miał być autoportretem. A więc, jak przystało na prawdziwego człowieka renesansu, nasz wielki rodak był nie tylko astronomem, matematykiem, lekarzem oraz znawcą ekonomii i obronności (bronił zamku w Olsztynie przed zaciekłymi atakami Krzyżaków), lecz także malarzem. Jeden z polskich badaczy jego życia i dzieła posunął się aż do przypuszczenia, że w czasie studiów w Bolonii pobierał on lekcje malarstwa u słynnego wówczas artysty – Francesco Francia. Takie domniemanie ma swoje źródło m.in. w inskrypcji towarzyszącej wizerunkowi naszego astronoma na zegarze katedry w Strasburgu.



Trumna ze szczątkami Mikołaja
Kopernika spoczywa od
2010 r. w posadźce u stóp
jednego z ołtarzy prawej nawy
katedry we Fromborku

Powstanie archetypu wizerunku Kopernika

Prof. Zygmunt Batowski w swej obszernej publikacji z 1933 r. o wizerunkach Kopernika pisze: „Znajduje się ten portret na zegarze, a ściślej rzecz biorąc na wieżycze wagowej zegara astronomicznego, który jest jedną z osobliwości prześławnej katedry strasburskiej. Wyobraża postać prawie naturalnej wielkości, siedzącą i na pół schowaną za wielką, grubą, niezgrabnie umieszczoną w obrazie tablicą, na której płaszczyźnie widnieje przesadnie wielkimi literami nakreślony napis: NICOLAI CO/PERNICI VE/RA EFIGIES EX IPSIUS AUTOGRA/PHO DEPI/CTA – MIKOŁAJA KOPERNIKA PRAWDZIWY WIZERUNEK NAMALOWANY WEDŁUG JEGO AUTOGRAFU. Przywołajmy tu jeszcze słowa Conrada Dasypodiusa, autora programu ikonograficznego zegara, wykonanego w latach 1571–1574, ukazującego naukę, myśl chrześcijańską (m.in. Sąd Ostateczny) i pogańską (m.in. mitologiczne Parki): „Portret na najniższym poziomie wieżyczki przedstawia wspańiałego uczonego, matematyka Mikołaja Kopernika i jest prawdziwą kopią podobizny, przekazanej z Gdańska przez wielce szanownego uczonego, doktora Tidemannna Gyse. Portret został odwzorowany jak najdokładniej z oryginału przez Tobiasa Stimmera. Obraz ten chcieliśmy bowiem ku szczególnemu upamiętnieniu zamieścić, gdyż nie ma nic ważniejszego i okazalszego niż ów właśnie w naszym zegarze”. W wyniku przeróbek dokonanych w późniejszym czasie wizerunek wzorowany na „podobiznie” (autoportrecie) przeniesiono do wyższej partii dekoracji zegara.

Tak oto 30 lat po śmierci Kopernik doczekał się w pełni należnego mu zaszczytu, stał się symbolem nauki, a użyta do tego kopia autoportretu przechowała – gdyż oryginał zaginął – jego wygląd w wieku ok. 50 lat. Widzimy tu mężczyznę z wydatnym, wąskim nosem i długimi włosami z przedziałkiem po lewej stronie, zakrywającymi większą część czoła i uszy. Atrybutami naszego uczonego ubranego w czerwoną szubę obszytą u szyi i ramion białym futerkiem są: kwitnąca konwalia (symbol stanu lekarskiego), trzymana delikatnie w palcach lewej ręki, i emblematy nauk matematycznych – cyrkiel, ostrosłup, tarcza zegara słonecznego i kula będąca klarownym odniesieniem do >>



Wizerunek astronoma na zegarze katedry w Strasburgu, wykonanego w latach 1571–1574

» astronomii. Taki właśnie wizerunek, tyle że w popiersiu, zawsze z konwalia, ale bez wspomnianej inskrypcji i symboli nauk matematycznych, rozpowszechniła rycina Stimmera, opublikowana w wielokrotnie wydawanym dziele Mikołaja Reusnera o słynnych mężach (pierwsze wydanie w 1587 r.). Kilkanaście lat później niemal wiernie, ale w lustrzanym odbiciu, Kopernika Stimmera powtórzył inny rytownik – Sabin Kauffmann. Z biografii Kopernika autorstwa francuskiego badacza Pierre’a Gassendiego wiemy, że wizerunek naszego astronoma, wykonany również według jego autografu, posiadał Tycho Brahe, słynny duński astronom.

Jednak ten prawdziwy wizerunek Kopernika nie od razu dotarł do wszystkich zwolenników teorii heliocentrycznej. Jednym z nich był sam wielki Galileusz, w którego dziele „Dialog o dwu najważniejszych układach świata Ptolemeuszowym i Kopernikowym” (1632) widzimy całkiem fantazyjne przedstawienia au-



Mikołaj Kopernik
(postać po prawej) w dziele
Galileusza z 1632 r.

tora „De revolutionibus” jako brodatego starca stojącego po prawej stronie, obok dwóch innych mędrców – Arystotelesa i Ptolemeusza. Jak wiadomo, obydwalu dawali uprzywilejowaną pozycję Ziemi w układzie świata, co odmienił dopiero nasz astronom, którego teoria heliocentryczna w skróconej wersji ogłoszona została już ok. 1510 r., a po raz pierwszy przywołana w 1514 r. przez Macieja z Mie-



Jan Matejko, „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem” (1873 r.)

FOT. MUZEUM UJ

chowa. Pomimo fantazyjnego przedstawienia Kopernika w dziele Galileusza dostrzegamy w jego ręku nowy atrybut, będący symbolem wielkiego odkrycia, tarczę Słońca z orbitą Ziemi i orbitą Księżyca; wszystko razem konstrukcyjnie połączone jest krzyżem i osadzone na trzonku, przypominając kształtem promienistą monstrancję. W zaledwie trzy lata po wydaniu dzieła Galileusza w Italii ukazało się kolejne, tym razem w Holandii, w którym oblicze Kopernika jest już tym wykonanym według jego zaginionego autoportretu, rozpowszechnionego przez wspomniane wcześniej ryciny.

Warto tu jeszcze odnotować, że kolejne wydania „Dialogu o dwu najważniejszych układach świata Ptolemeuszowym i Kopernikowym” niejako wzmacniały pozycję naszego astronoma, który niezmiennie ustawiony po prawej stronie stawał się coraz rośljejszy, aż wreszcie zdecydowanie przerósł Arystotelesa i Ptolemeusza. Ponadto jego atrybut z tarczą

Słońca w centrum, który był pierwotnie opuszczony w dół, wznoszony jest coraz wyżej, aż wreszcie w wydaniach z lat ok. 1700 r. został triumfalnie podniesiony do góry. Tak oto na przykładzie tej jednej, ale ciągle modyfikowanej ryciny możemy zaobserwować, jak dzięki badaniom Keplera, Galileusza i wreszcie Newtona system solarny Kopernika stawał się prawdą coraz powszechniej znaną.

Polskie wizerunki Kopernika

Wystarczy rzut oka na wizerunek naszego astronoma, zapewne z XVII w., który do II wojny światowej zdobił wnętrze Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego, czy na arcydzieło Thorvaldsena przed Pałacem Staszica, w sercu Warszawy, które tę wojnę cudem przetrwało, czy wreszcie na słynny obraz Jana Matejki „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem”, by sobie uzmystowić, jak silna była w Polsce tradycja od-

wzorowywania prawdziwej podobizny genialnego astronoma. Ponadto istnieją mniej znane, a niezwykle cenne jego wizerunki, z których jeden – dzieło Oskara Sosnowskiego – powstało w Rzymie i do dziś się tam znajduje, a drugi Antoniego Gramatyki zdobi jedno z wnętrz Collegium Maius w Krakowie. Większość z wymienionych dzieł powstała w XIX w., gdy Polska istniała w postaci namiastki, jaką było Królestwo Kongresowe (1815–1830), albo jej nie było wcale na mapie świata. W tamtym czasie pomniki i obrazy Kopernika były orężem walki o polskość, przypominały o naszym miejscu w nauce i kulturze światowej.

Jak wiadomo z „Pamiętników” Juliana Ursyna Niemcewicza, ówczesnego prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, odsłonięcie pomnika Kopernika autorstwa Thorvaldsena 11 maja 1830 r. odbywało się w dramatycznej atmosferze. Książę Konstanty i Nowosilcow dopiero po długim namyśle wyrazili zgodę na uroczystość, obawiając się zgromadzenia dużej liczby mieszkańców Warszawy, a okolicznościowa mowa prezesa została poddana cenzurze. Ale na pociechę dla wszystkich zgromadzonych blask słońca odegrał tu swoją mistyczną niemal rolę. Pisz o tym Fryderyk Skarbek, inny świadek wydarczenia: „Gdy kryjące posąg wspomniany rusztowanie rozebrano, gdy tylko płocienna osłona na nim pozostała, zgromadziła się jednego posępnego poranku, tłumnie ludność Warszawy przed Kościołem Świętego Krzyża, w którym odbywało się dziękczynne nabożeństwo za szczęśliwe dokonanie od tak dawna oczekiwanego dzieła, przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk zarządzane. Gdy ze stopni świątyni zeszli liczni przyjmujący udział członkowie i na przygotowaną dla nich przed pomnikiem wstąpili estradę, gdy Niemcewicz ówczesny prezes, po wzniesłej przemowie dał znak opuszczenia zasłony, w tej samej chwili ponure dotąd niebo nagle rozjaśniło się i błyszczący promień przedzierającego się przez obłoki słońca, padł wprost na pokazujący się posąg Kopernika. Zdawało się przeto, jakoby to niebo chciało razem z nami obchodzić święto wiekopomnego męża, który niegdyś szlaki jego mierzył i jak gdyby promiennym światłem na postać uwiecznionego rzuconym, chciało objawić, że myślą i dziełem naszym na błogosławieństwo Opatrzności zasłużyliśmy”.

40 lat później, gdy zbliżało się 400-lecie urodzin astronoma, Polacy dali swo-

isty odpór pruskim zakusom na zawłaszczenie tej rocznicy. Swoje wiekopomne dzieło wykonał Matejko. Nad wielkim płótnem (225 x 315 cm) artysta pracował od 1871 r., czytając teksty źródłowe, gromadząc rekwizyty i zdjęcia, aż wreszcie wykonał dwa szkice malarskie, z których jeden jest bliski ostatecznej wersji obrazu. Zaraz po ukończeniu dzieła – w lutym 1873 r. – zorganizowano jego publiczny pokaz w ratuszu, a wszystkim przychodzącym, w tym młodzieży szkolnej, wręczano drzeworyt nowego dzieła mistrza. Po tym uroczystym celebrowaniu wielkiej rocznicy urodzin astronoma obraz był prezentowany na Wystawie Powszechnej w Wiedniu i wraz z innymi dziełami Matejki przypominał o dziejach, kulturze i naukach uprawianych w dawnej Polsce, której teraz – w 1873 r. – nie było na mapie świata. Dzięki Matejce i innym liczным artystom, pisarzom i badaczom, jak Artur Wołyński, Polska żyła w sferze kultury i nauki. Owoc erudycyjnych studiów Ma-

tejki trafił w mury Uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym genialny astronom studiował w latach 1491–1495. Możemy go obecnie podziwiać w auli Collegium Novum, a wkrótce zostanie pokazany na wystawie w Zamku Królewskim w Warszawie.

Warto tu zacytować fragment poematu zatytułowanego „Kopernik” znanego historyka krakowskiego Józefa Szujskiego: „Gwieździsta była noc, świetlana / Na fromborskiej kłęczałem wieży / Szukając wielkiej niebios tajemnicy / I ku ramionom wzniesionym w zachwycie / Spłynęła ku mnie tajemnica Pana / Spłynęło ku mnie wielkie światła życie! / To, co się w cyfrach i piśmie łamało / Jedna mi chwila podała natchnienie / Natchnienie szatę pewności przybrało / W dowód urosło moje przypuszczenia / Z ziemią, co niosła myśl moją skrzydlatą / Czułem ruch w przestrzeń, ku słońcom, ku światom”.

Oskar Sosnowski, Artur Wołyński i Muzeum Kopernika w Rzymie

Postać Kopernika służyła promowaniu polskości także w Italii, co nie było specjalnie trudne, gdyż nasz astronom studiował siedem lat w tym kraju – w Bolonii, Padwie i Ferrarze, a 1500 r. – ogłoszony świętym, spędził w Rzymie, gdzie m.in. dokonał obserwacji zaćmienia księżyca z 5 na 6 listopada. Z inicjatywą utworzenia muzeum Kopernika w Rzymie, w 400-lecie urodzin astronoma, wystąpił w 1873 r. prof. historii filozofii na Uniwersytecie Rzymskim Domenico Berti oraz rektor tegoż Uniwersytetu Filippo Serafini. Jednakże takie muzeum, do dziś istniejące, a ciągle zbyt mało w Polsce znane, nie powstałoby, gdyby nie uczestnik powstania styczniowego, pochodzący z Łowicza, Artur Wołyński. Po upadku powstania, w którym jego brat Henryk oddał życie na ołtarzu niepodległości, walcząc w lasach bolimowskich, przez Francję dotarł do Italii i do przedwczesnej śmierci wytrwale zabiegał o imię Polski i upamiętnianie Kopernika.

W liście z 28 lutego 1885 r. do Aleksandra Guttry’ego – uczestnika powstań 1830, 1848 i 1863 r. – Wołyński pisze: „Ponieważ dziś w Polsce [niektórzy] uważają za nieprzyzwoitość i szaleństwo niebezpieczne mówić o niepodległości kraju, nie dziwię się, że usiłowania moje, aby zebrać w jedną całość dokumenty >>

Marmurowy pomnik astronoma autorstwa Oskara Sosnowskiego (1812–1886)



FOT. MUZEUM UJ

Malarska wizja postaci genialnego astronoma Antoniego Gramatyki (1841–1922) zdobi jedno z wnętrz Collegium Maius w Krakowie



FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

>> ostatniego powstania [styczniowego] i napisać wierną onego historię dla nauki przyszłych pokoleń nie znajdują miru przede wszystkim u tych, którzy by według wszelkiej logiki najwięcej sympatii okazywać winni podobnemu przedsięwzięciu; ale pojąć nie mogą jak patriotyzm polski Księstwa Poznańskiego usprawiedliwia swoją obojętność dla Muzeum, które za moim staraniem powstało przy Obserwatorium Rzymskim na cześć Mikołaja Kopernika Polaka. Rezultat onego dla Polski jest niesłychanej doniosłości, bo pomimo zabiegów niemieckich cztery uniwersytety włoskie, w których Kopernik przebywał, uznały jego polską narodowość i na pamiątkę owego uznania wybiłem wielki medal w imieniu tychże Uniwersytetów. Muzeum to powstało i rozwija się w ten sposób, że Rząd Włochy dał piękny lokal i utrzymanie, a Polska zbiory muzealne, które dotąd kosztują przeszło 53 000 franków. Ja dałem 23 000, a resztę Polska. Każdy ofiarujący 150 franków, a właściwie 50 rubli albo guldenów lub 100 marek uważany jest za założyciela Muzeum i jako taki zostaje wypisany na pamiątkowej tablicy murowanej. Chodzi mi o to, aby wobec świata ucywilizowanego wykazać żywotność naszego narodu i jego gorący udział w sprawach cywilizacyj-

nych i postępu, a nadto aby nieznacznym sposobem wskazać etnograficzne i historyczne granice Polski. Dlatego założycieli grupuję podług prowincji: np. Lithuani, Ucraineni, Podolienses, Volinienses, Lublinienses, Varsovienses, Calisienses, Curpiensies etc. Pod każdą rubryką jest po kilkanaście, a czasami i po kilkadziesiąt nazwisk / wszystkich założycieli jest 189”.

Muzeum na rzymskim Monte Mario, które ma niezwykle bogate zbiory, m.in. posąg Kopernika Rygiera (na jego cokole wypisani są wszyscy wspomniani przez Wołyńskiego założyciele), ma w tym roku ponownie otworzyć swoje podwoje, o czym nie omieszkamy napisać.

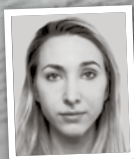
Na szersze rozpropagowanie w Polsce i w całym świecie zasługuje jeszcze jeden pomnik naszego astronoma w Rzymie, który odkuł w marmurze wybitny polski rzeźbiarz Oskar Sosnowski. Powstał zapewne z okazji tej samej rocznicy – 400-lecia urodzin tego, który „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię”. Te epokowe słowa „SOL STAT TERRA MOVETUR” są kluczowym elementem tej pięknej, ponad dwumetrowej statui ustawionej od przeszło 100 lat na dziedzińcu siedziby Kongregacji Zmartwychwstańców w Rzymie. Wprawdzie siedziba ta znajduje się w samym sercu Rzymu, tuż obok

Piazza di Spagna, ale dostęp do niej jest utrudniony. Istnieje ogromna szansa, że dzieło Sosnowskiego, po stosownej konserwacji, wraz z wspomnianym obrazem Matejki, witrażem przedstawiającym „System solarny Kopernika” według projektu Stanisława Wyspiańskiego i obrazem Antoniego Gramatyki, będzie na jesieni tego jubileuszowego roku eksponowane w Curia Iulia na Forum Romanum, czcząc imię polskiego uczonego, który tak wiele zawdzięcza Italii, i stanowić będzie tło dla naukowych seminariów. Miejmy nadzieję, że to polsko-włoskie przedsięwzięcie wpisze się w linię myślenia, która narodziła się w Rzymie w 1873 r. z okazji 400-lecia urodzin Kopernika, a miała swoją kontynuację w wystawie zorganizowanej w 1973 r. w Muzeum Galileusza we Florencji. Specjalnie na tę wystawę Sylvio Loffredi wykonał serię zupełnie nieznaną w Polsce obrazów o tematyce astronomicznej, pośród których najważniejszy ukazuje pełen ekspresjonistycznego wigoru „System solarny Kopernika”. Tak w rysunku przygotowawczym do niego, jak i w rzeźbie Sosnowskiego oraz obrazie Gramatyki dostrzegamy te same rysy genialnego astronoma, które dla potomnych miał uwiecznić on sam w zaginionym niestety autoportrecie. ■

NIE TACY INNI, CZYLI O DZIECIŃSTWIE I MŁODOŚCI MINIONEGO WIEKU

Wystawę „Nie tacy inni. Dzieciństwo i młodość sto lat temu”, przygotował Dział Dokumentacji Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

FOT. MATERIAŁY PRASOWE IDMM



KLARA
SAKIEWICZ

DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ TO NIEZWYKLE WAŻNE ETAPY W ŻYCIU KAŻDEGO CZŁOWIEKA, O KTÓRYCH JEDNAK CZĘSTO ZAPOMINAMY, KIEDY WKRAČAMY W DOROSŁOŚĆ, A JUŻ SZCZEGÓLNIENIE PAMIĘTAMY, ŻE TAKŻE POSTACIE, KTÓRE ZAPISAŁY SIĘ W HISTORII, WSPÓŁDZIELIŁY DOŚWIADCZENIE DZIECIŃSTWA I DOJRZEWANIA



W piątek, 13 stycznia 2023 r., w Centrum Edukacyjnym Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej przy ul. Andersa 20 w Warszawie odbyło się otwarcie wystawy „Nie tacy inni. Dzieciństwo i młodość sto lat temu” >>

» lat temu”, przygotowanej przez Dział Dokumentacji IDMN. Pomysł na podjęcie tego tematu pojawił się podczas pozyskiwania materiałów archiwalnych. Okazało się, że w gromadzonych zbiorach znajduje się wiele dokumentów związanych z okresem dzieciństwa i młodości. Są to nie tylko oficjalne dokumenty, lecz także materiały o charakterze prywatnym – dzienniki, korespondencja z rodziną i rówieśnikami, laurki i ręcznie malowane obrazki.

Oczywiście na przestrzeni wieków uległy zmianie model dzieciństwa, metody wychowawcze, środowisko, w jakim młodzież się rozwijała, a także kontekst kulturowy, społeczny i polityczny. Jednak pewne dziecięce potrzeby, emocje towarzyszące dorastaniu, sposoby radzenia sobie z problemami, relacje z rówieśnikami i dorosłymi mają cechy wspólne. Dlatego spojrzenie na dzieciństwo z końca XIX w. i pierwszej połowy XX w. stanowi nie tylko formę ciekawostki, lecz także pozwala uświadomić sobie odczucia i doświadczenia współdzielone z naszymi rodakami z minionych epok. Kiedyś, podobnie jak dziś, młodzi ludzie zmagali się z nauką, konfliktami rodzinnymi, snuli marzenia i plany na przyszłość, dostawali dwójki z matematyki, spędzali czas z kolegami i koleżankami, a w chwilach melancholii rozmyślali nad sensem świata.

Dzieci mają głos

Aby ukazać różne obszary życia, w których funkcjonuje i rozwija się dziecko, wystawa została podzielona na sześć sekcji. Ponadto podjęto próbę ukazania własnej perspektywy młodych ludzi, zobrazowania dążeń do określenia przez nich sensu swojego życia, zaprezentowania oceny społeczności, w której byli osadzeni, ukazania marzeń, a także sposobu spędzania wolnego czasu. W tym celu głos został oddany samym dzieciom poprzez prezentację ich wpisów do pamiętników, szkolnych zeszytów, rysunków. Uzupełnienie stanowiły fotografie i oficjalne dokumenty, które obrazują włączanie dzieci do wspólnoty narodowej, religijnej i szkolnej.

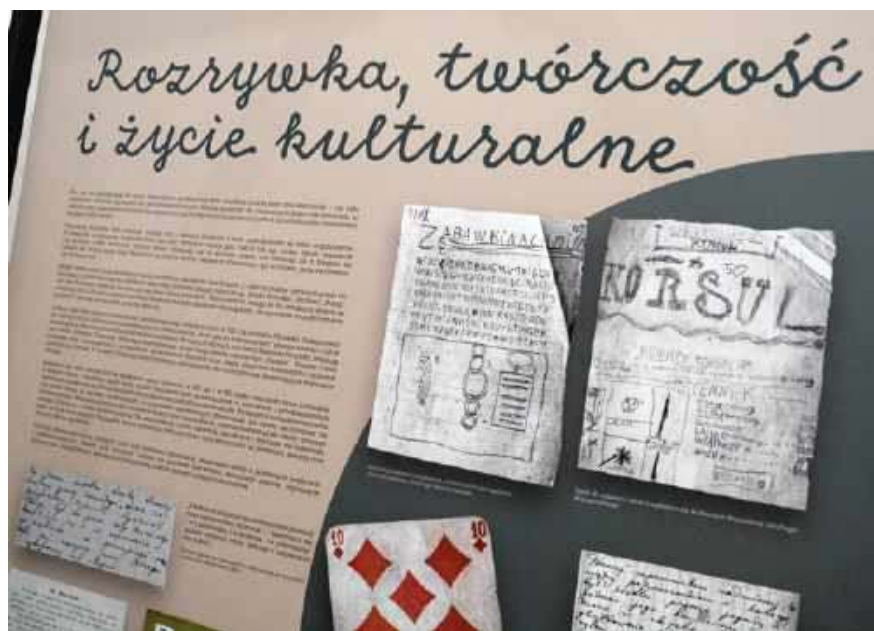
Na wystawie wykorzystane zostały materiały pochodzące m.in. z kolekcji Tadeusza Strumiły, Bronisława Onufrego Kopczyńskiego, Władysława Gałki, Jerzego Kurcysza, Emilii Gromnickiej z d. Godlewskiej, kolekcji rodziny Grabskich

oraz z zespołu Romana Dmowskiego z Muzeum Niepodległości.

Pierwsze zagadnienie pokazane na wystawie stanowił światopogląd. Starano się wskazać na wartości, jakimi kierowali się młodzi ludzie. W omawianym okresie były to przede wszystkim wartości chrześcijańskie oraz patriotyzm przejawiający się w motywowaniu wielu działań dobrem ojczyzny. Przykładem może być wpis z dziennika Tadeusza Strumiły, jednego z bohaterów wystawy, który stwierdza, że trening polszczyzny w formie codziennych wpisów jest jego obowiązkiem. Píše on tak: „[Olgierd]

wtedy jako miejsce, w którym trudno było się odnaleźć, a najlepszym rozwiązaniem wydawała się ucieczka do miejsc odludnych. Hasło „Rzucić wszystko ijechać w Bieszczady”, choć w innej formie, wcale nie było obce młodzieży 100 lat temu.

Nie tylko patriotyzm, lecz także wiara była jednym z fundamentów wychowania młodzieży. Na wystawie ukazane zostało zarówno włączanie młodych ludzi do wspólnoty religijnej poprzez oficjalne obrzędy, których świadectwo stanowią fotografie, akty chrztu i pamiątki komunijne, jak i osobisty stosunek młodzieży



FOT. MATERIAŁY PRASOWE IDMN

Przeczytał też moje dwa ostatnie listy do Winci i powiedział mi komplement, że ładne listy pisał. Jeżeli to prawda, to zadowolę się tym tylko mojemu dziennikowi – pisząc go, gimnastykuję swój język, rozwijam go, wzbogacam i wprawiam, a dużo czytając, poprawiam styl. Powinno to być zadaniem każdego Polaka, kształcić swój język ojczysty”.

Młodzieńcze ideały

W zachowanych archiwaliach widać też wewnętrzne zmagania młodzieży. Dążenie do ideałów często było trudne, przegrywało z lenistwem lub melancholią. Pomimo silnej potrzeby działania, chęci pracy nad sobą, pragnienia pogłębiania wiary i wiedzy, młodzież przeżywała chwile zwątpienia, poczucia beznadziei i kryzysu światopoglądu. Świat jawił się

do wiary i religii. Wiara była przekazywana przede wszystkim w rodzinie – to bliscy uczyli modlitw i chrześcijańskich postaw. Jednak życie religijne dzieci i młodzieży nie ograniczało się do praktyk zewnętrznych. Prowadzili oni rozbudowane wewnętrzne życie duchowe. Brali świadomy udział w nabożeństwach i przystępowali do sakramentów.

Innym istotnym aspektem życia dzieci i młodzieży były, podobnie jak dziś, relacje. Pierwsze lata życia to czas, gdy kształtują się one na wielu płaszczyznach – na gruncie rodzinnym, koleżeńskim i przyjacielskim. Jednak relacje, tak jak współcześnie, nie zawsze układały się wzorowo. Momentem, w którym rozkwitało życie towarzyskie młodego człowieka, był początek jego szkolnej edukacji. Wtedy poszerzało się grono znajomych i w pełni dojrzewały



FOT. MATERIAŁY PRASOWE IDNM

kompetencje społeczne. Obok przyjaźni, wspólnych zabaw i wygłupów pojawiały się konflikty, rywalizacja oraz zazdrość.

Na wystawie nie zabrakło także codzienności. Dzieciństwo bohaterów wystawy przypadło na wyjątkowe czasy przełomu XIX i XX w. Wiązało się z nimi wiele wyzwań, z którymi młodzi ludzie musieli się mierzyć. Okres zaborów, rusyfikacji i germanizacji, odzyskanie niepodległości oraz związane z tym przemiany, a w końcu wybuch II wojny światowej wywierały duży wpływ na życie codzienne. Podobnie jak dziś, codzienność bywała przede wszystkim monotonna, zwyczajna, związana z porannym wstawaniem, próbami wcześniejszego chodzenia spać, uczęszczaniem do szkoły, przygotowaniami do sprawdzianów, planowaniem dnia i osobistego budżetu. Była to codzienność obfitująca w dziecięce wypadki, w której zdarzał się np. rozbity podczas zabawy nos, o którym nie mówiło się мамie.

Odkopane talenty

Ciekawymi tematami poruszonymi na wystawie były rozrywka, twórczość i życie kulturalne, czyli sposoby spędzania wolnego czasu. Mimo że 100 lat temu dzieciństwo pozbawione było dostępnej współcześnie elektroniki, młodzi ludzie nie narzekali na nudę. Bawiono się w nie-

wiele dziś mówiące gry i zabawy, takie jak literat, czarownik czy prefnas, a także we współcześnie znanego zbijaka i chowanego. Czas wolny dzieci i młodzieży wypełniał różnego rodzaju twórczość – rysowanie, gra na instrumentach, komponowanie, pisanie wierszy, a nawet tworzenie światów wyobrażonych! Na ekspozycji zaprezentowano m.in. mapę wymyślonego przez Tadeusza Strumiłłę świata wraz z jego podziałem administracyjnym, zaproszenie na komedię organizowaną w szkole przez Onufrego Kopczyńskiego czy obrazki kolorowane przez dzieci korespondujące z Romanem Dmowskim.

Ostatni zaprezentowany na wystawie aspekt, choć nie najmniej ważny,

Dzieciństwo bohaterów wystawy przypadło na wyjątkowe czasy przełomu XIX i XX w.

stanowiła edukacja. To w szkole młody człowiek zdobywał wiedzę o otaczającym świecie, nawiązywał relacje, przeżywał najrozmaitsze emocje, odnotowywał wzloty i upadki, które przygotowywały go do dorosłego życia. Cenne uzupełnienie wyeksponowanych oficjalnych dokumentów – szkolnych świadectw, legitymacji – stanowiły wspomnienia dotyczące przebiegu lekcji w zaborze rosyjskim, poczucia niesprawiedliwości doznanej od nauczycieli wystawiających złe oceny, niechęci do lekcji gimnastyki oraz kartki z zeszytów (nie tylko z pozytywnymi ocenami).

Zaprezentowane materiały ukazujące problemy i refleksje młodych ludzi, często ledwo kilkunastoletnich, dotyczące m.in. sytuacji w ojczyźnie, przemyslenia związane z wiarą i relacjami międzyludzkimi, są dowodem, że ponad 100 lat temu młodzież przeżywała momenty radości, ale też zniechęcenia, niepewności, poczucia braku sensu i melancholii. Jednak wyznawane wartości pomagały przetrwać tego typu doświadczenia. Dlatego sylwetki zaprezentowanych młodych ludzi mogą stanowić inspirację również dziś.



Dola pioniera



**ELŻBIETA
BRZOWSKA**

„Autodafe” to – słownikowo – „publiczne wykonanie wyroku śmierci na heretyku”; „palenie ksiąg uznanych za heretyckie”; „publiczne napiętnowanie kogoś; też: publiczne pokajanie się lub wyznanie czegoś”; w końcu „samospalenie”. Taki tytuł nosi najnowsza na polskim rynku książka Michela Onfraya i mimo doprecyzującego podtytułu („Sztuka unicestwiania książek”) odnajdziemy w niej właściwie wszystkie te sensy.

Michel Onfray to we Francji postać doskonale znana. Filozof i wieloletni nauczyciel nie tylko zasłynął buntem wobec systemu szkolnictwa (po 19 latach nauczania filozofii w liceum w Caen porzucił pracę i założył nieakredytowany oraz niefinansowany przez państwo uniwersytet ludowy), lecz także okazał się niezwykle

plodnym pisarzem. Od zawsze prowokował, ale cena jego prowokacji rośnie, od kiedy zaczął być określany mianem „filozofa prawicującego się”. Taki urok debaty publicznej we Francji i wszędzie tam, gdzie ziarno zasiane podczas rewolty Maja '68 padło na podatny grunt. Można przypuszczać, że Onfray, opisując przeróżne strategie dyfamacyjne, podejmowane wobec autorów zaprzeczających swoimi pracami oficjalnej wykładni wykutej przez kawiarnianą lewicę, mógł z owymi autorami czuć pewną duchową bliskość.

Kogo zatem mamy w gronie przywoływanych przez niego pisarzy? Nazwiska świetnie znane czytelnikom na całym świecie i takie, które w Polsce czekają na odkrycie (lub nie). Aleksandra Sołżenicyna z jego „Archipelagiem Gułag” oraz Samuela P. Huntingtona ze „Zderzeniem cywilizacji” nie trzeba nikomu przedstawiać. Ciekawym przypadkiem jest Simon Leys (1935–2014), wybitny belgijski sinolog, pisarz, tłumacz, krytyk literacki i historyk sztuki, polskim czytelnikom znany

choćby z eseju „Orwell czyli wstręt do polityki” (PIW 2022). Onfray przedstawia jego losy przez pryzmat książki „Les Habits neufs du président Mao” („Nowe szaty przewodniczącego Mao”), w której Leys opisał w rzetelny, zatem wówczas bezprecedensowy, sposób horror rewolucji kulturalnej w Chinach, czym rozwścieczył salonowych maoistów. Niezłomność Leysa okazała się równoznaczna z samospaleniem europejskiej kariery akademickiej – po wielu opisanych przez Onfraya nieprzyjemnościach w 1970 r. wyjechał do Australii. Zgoła inny finał znalazła historia Sylvaina Gouguenheima, autora „Aristote au mont Saint-Michel”, który po kampanii zaszczuwania wycofał się ze swoich ustaleń...

Michel Onfray,
„Autodafe. Sztuka unicestwiania książek”, tłum.
Justyna Nowakowska,
Państwowy Instytut
Wydawniczy, 2023



Tułaczka przez pół świata



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC**

Kto z nas nie marzył o podróży dookoła świata? Wielu czytelników powieści Verne’a zapewne nieraz chciało ruszyć śladami Fileasa Fogg’a, różnymi środkami transportu przemierzać świat i odwiedzać najdalsze miejsca na ziemi.

O dalekich podróżach marzył także Jurek – bohater książki Andrzeja Perepeczki „Jurek Poleszuk. Tułaczka przez pół świata” – kilkuletni chłopiec z Pińska na Polesiu. Fascynowały go okręty, marzył o tym, by pewnego dnia rozpocząć studia w Szkole Morskiej i zostać marynarzem. Niestety wrzesień 1939 r. zmienił zupełnie bliski mu świat. Rodzina Jurka,

podobnie jak tysiące polskich rodzin, pewnego wieczora usłyszała walenie do drzwi i polecenie spakowania swoich rzeczy. Wsadzeni do wagonów podzielili los wielu rodaków i znaleźli się w Kazachstanie. Tam, mimo trudnych codziennych warunków i ciężkiej pracy, nie tracili nadziei. Jurkowi nie brakowało optymizmu, organizował zajęcia dla swoich rówieśników, np. zawody sportowe, budował modele statków, nie zapominając o swoim morskim marzeniu. Gdy dotarła do nich wiadomość o podpisaniu układu Sikorski-Majski i możliwości wstąpienia do polskiej armii, rodzina Jurka nie wahała się ani chwili. Spakowała swój skromny dobytek i pociągiem wyruszyła w kolejną drogę. Po wielu perypetiach trafiła do punktu naboru do polskiego wojska, a później razem z nim do Persji. Tam Jurek założył w końcu upragniony harcerski mundur, a ojciec mundur żołnierza II Korpusu. To nie był koniec ich

wędrówki. Jak skończyła się epopeja rodzinna Jurka? Książki z serii „Wojny dorosłych – historie dzieci” odwołują się do prawdziwych historii, tak było i tym razem – Perepeczko nawiązał do losów krewnych i przyjaciół. Z posłowania wiemy, że bohaterowie przeżyli wojnę i po jej zakończeniu wrócili do kraju.

Podczas każdego etapu podróży Jurek rysował mapy, zapamiętywał nazwy miejscowości, przez które przejeżdżali. Były to m.in. Karaganda, Taszkient, Samarkanda, Teheran, Isfahan czy port Abadan. W innych okolicznościach trasa, którą przemierzył, byłaby wspinałą podróżą. Tymczasem była ich tytułową tułaczką przez pół świata lub drogą przez mękę, jak mówiła babcia chłopca.

Andrzej Perepeczko,
„Jurek Poleszuk. Tułaczka przez pół świata”,
Wydawnictwo Literatura,
2022, wiek 8+





**ANDRZEJ
SKWARCZYŃSKI**

Obraz „Bitwa pod Kirchholmem” Pietera Snayersa i namalowane na nim postaci, wojska i miejsca są opisane na poniższej planszy. W nagłówku zawarto zwięzły rys historyczny wydarzeń przed bitwą oraz informację, iż obecny pomnik został wystawiony z okazji 400. rocznicy polskiego zwycięstwa



SILVA RERUM

ŁÓTEWSKIE SALASPILS

Policzmy ich, jak ich pobijem” miał powiedzieć pod Kirchholmem hetman Karol Chodkiewicz, zagrzewając do boju polskie wojska stojące naprzeciw niemal trzykrotnie liczniejszej szwedzkiej armii pod wodzą króla Karola IX Sudermańskiego. Historycy nie odmawiają polskiemu wodzowi talentów krasomówczych ani tym bardziej geniuszu wojskowego, jednak według nich słowa te nie zostały wypowiedziane przez Chodkiewicza. Ich autorem miał być jeden z towarzyszy, który tak odpowiedział hetmanowi, gdy ten nie krył przed swoimi zastępami znacznej przewagi Szwedów.

Niezależnie od tego, czyje słowa zapisały się na kartach historii – kilka godzin po ich wybrzmieniu Polacy mieli możliwość je zrealizować. Według różnych źródeł szwedzka armia licząca 11–14 tys. żołnierzy 27 września 1605 r. została rozbita przez wojska Rzeczypospolitej w sile mniejszej niż 4 tys. zbrojnych. Cóż z tego, iż wojsko po naszej stronie było mniej liczne, skoro mieliśmy husarię. Kirchholm to jedno z miejsc, gdzie nasi skrzydłacy jeźdźcy zapisali się w historii polskiego czynu zbrojnego złotymi literami. Ich szarże przełamywały szeregi zarówno szwedzkiej piechoty, jak i konnicy, siejąc popłoch i zniszczenie.

Pod Kirchholmem to właśnie strach miał niebagatelne znaczenie. Chodkiewicz, by skłonić przeciwnika do opuszczenia dogodnych pozycji na wznesieniu i rozpoczęcia bitwy, rozkazał swoim oddziałom pozorować ucieczkę. Szwedom nie na rękę byłoby obleganie Rygi, z Polakami zagrażającymi ich tyłom, dlatego połowę swych sił ruszyli na polski obóz. Los tych wojsk był przesądzony, gdy oddaliły się one na dystans uniemożliwiający skuteczne przyjęcie im z pomocą przez resztę armii Karola IX. Ogień artylerii i piechoty zmieczył szwedzkie szeregi, w które po chwili wbiły się pancerne pięści husarii.

Pozostali na wzgórzu Skandynawowie z przerażeniem patrzyli, jak kolejne regimenty ich pobratymców ginęły od kopii i szabel polskich jeźdźców. Ci, którym udało się uciec z pogromu, wprowadzali zamęt i dezorganizację w szeregach czekających na udział w bitwie. Finalnie cała szwedzka armia została związana bojem. Na nic zdążyły próby odsieczy ze strony samego króla. Rajtarzy Karola IX zostali rozbici przez husarskie odwody Chodkiewicza, a sam król niemal dostał się do polskiej niewoli, po tym jak padł jego koń. Monarchę uratował jeden z jego rajtarów,

oddając mu własnego wierzchowca i ginąc w obronie władcy.

Bitwa była wygrana. Armia szwedzka została zniszczona, poległo ok. 9 tys. Szwedów – znaczna część w czasie panicznej ucieczki. Według kronik Rzeczypospolita tego dnia straciła nie więcej niż 100 zabitych, w tym tylko 13 husarzy! Sukces był do tego stopnia oszałamiający, iż do Polski spłynęły listy gratulacyjne m.in. od papieża Pawła V, króla Anglii Jakuba I, sułtana tureckiego Ahmeda I i szacha perskiego Abbasa Wielkiego.

Zwycięstwo nie przyniosło trwałych skutków, szwedzkie niebezpieczeństwo zostało zażegnane tymczasowo. W 1621 r. Szwedzi zdobyli Rygę i na zawsze odebrali ją od Rzeczypospolitej.

Oddalone o 18 km od łotewskiej stolicy Salaspils (do 1917 r. Kirchholm) leży z dala od głównych atrakcji turystycznych. Znane jest zwłaszcza z usytuowanego w nim byłego niemieckiego obozu koncentracyjnego. Polacy jednak szukają tam skromnego, acz schludnego, pomnika zwycięstwa sprzed czterech wieków. Wielka szkoda, iż usytuowano go na uboczu, pomiędzy warsztatem samochodowym, którego znakiem rozpoznawczym jest pomarańczowy moskwiw, a trasą szybkiego ruchu.

RAFAŁ
ŁATKA

UKSW

W KRĘGU KLIO

Dwie ciekawe syntezy dziejów Polski prof. Grzegorza Kucharczyka

Właściwe przygotowanie syntez historycznych jest dziełem niezwykle trudnym. Łatwo pominąć kwestie istotne lub też rozwódzić się nad problemami o nie-pierwszorzędnym znaczeniu; trudno także zachować odpowiednie proporcje w opisie różnorodnych, a jednocześnie czasami skomplikowanych wydarzeń. Z tych oraz wielu innych względów (choćby szerokości spojrzenia) tego typu dzieła powinny być przygotowywane przez doświadczonych badaczy, mających już uznany dorobek naukowy. Tak też się stało w przypadku dwóch książek Grzegorza Kucharczyka wydanych w krótkim odstępie czasu pod koniec 2022 r. Ich autor jest uznanym badaczem XIX w. oraz historii Niemiec, ma również na koncie szereg prac dotyczących dziejów Kościoła katolickiego. Dzieła recenzowane w tym miejscu to szeroko ujęta historia Polski. Pierwsze z nich na 450 stronach prezentuje całość dziejów naszej ojczyzny, od czasów przedpiastowskich do współczesności. Z kolei druga synteza zawężona jest do ostatniego stulecia: cezurą początkową to 1914 r., a końcową to 2022 r. Pozostaje zatem przyjrzeć się bliżej obydwu tym publikacjom oraz spróbować ocenić, na ile będą one mogły spełnić potrzeby czytelnika, który nie jest zawodowym historykiem.

W książce „Polska. Dzieje państwa i narodu” prof. Kucharczyk w całościowy, a jednocześnie w syntetyczny sposób przedstawił ponad 1000 lat historii Polski. Praca składa się z siedmiu większych części: Królestwo Polskie, I Rzeczpospolita, naród w czasie rozbiorów, II Rzeczpospolita, II wojna światowa, PRL, III Rzeczpospolita, podzielonych jeszcze na mniejsze rozdziały o podobnej objętości. W moim przekonaniu podział chronologiczny jest w tym zakresie w pełni uzasadniony i pozwala odbiorcy łatwo odnaleźć poszukiwane przez niego treści. Autor nie ograniczył



Grzegorz Kucharczyk, „Polska. Dzieje państwa i narodu”, Ożarów Mazowiecki 2022, Wydawnictwo Bellona



Grzegorz Kucharczyk, „Historia Polski 1914-2022. Nie tylko dla młodzieży”, Poznań 2022, Zysk i S-ka

się w swoich rozważaniach do dziejów politycznych (choć te bez wątpienia dominują), ale opisał także procesy społeczne, kulturotwórcze, religijne i tożsamościowe. Warto podkreślić, że narracja Kucharczyka jest płynna, podana w przekonujący sposób, a jego wnioski zapadają w pamięć. Mimo szczupłości miejsca badacz nie zrezygnował z prezentowania własnych ocen wydarzeń, co należy uznać za istotny walor opracowania. Autor nie bał się podejmować tematów trudnych czy kontrowersyjnych, prezentując je w możliwie zobiektywizowany sposób. Jedynym mankamentem publikacji jest brak wybranej bibliografii na końcu książki, która mogłaby odesłać czytelnika do podstawowych opracowań poświęconych najważniejszym zagadnieniom opisanym w części zasadniczej.

Podobne do omówionej wyżej książki atuty ma drugie niedawno wydane dzieło gorzowskiego historyka – „Historia Polski 1914-2022”. Autorowi udało się w całościowy i w przekonujący sposób przedstawić ostatni wiek dziejów naszej ojczyzny. Kucharczyk i w tym przypadku przyjął podział chronologiczny, choć nieco inny niż w przypadku dzieła „Polska. Dzieje państwa i narodu” – tym razem bowiem publikacja składa się z 34 rozdziałów o zwykle podobnej długości (10-15 stron). Całość zamyka się w objętości 450 stron. Biorąc pod uwagę, że nie pominął żadnych istotnych zagadnień, to naprawdę dobry wynik, a książka ma

rzeczywiście szansę trafić do młodszego odbiorcy. Należy podkreślić, że rozważania autorskie, mimo swojego syntetycznego charakteru, przedstawiają oryginalną wizję dziejów Polski na przestrzeni XX i początku XXI w. Autor w udany, w moim przekonaniu, sposób połączył bazowanie na najnowszej literaturze przedmiotu z własnymi wnioskami, które niejednokrotnie idą w poprzek poprawności politycznej, czy też z wizją niektórych

środków politycznych (przede wszystkim lewicowo-liberalnych). Zaslugą Kucharczyka jest również przypomnienie wkładu Kościoła katolickiego w obronę polskiej tożsamości narodowej. Z pełnym przekonaniem polecam tę publikację (zgodnie zresztą z autorskim podtytułem) przede wszystkim młodemu pokoleniu, gdyż może ona stanowić dobry punkt wyjścia do dyskusji na temat dziejów naszego państwa.

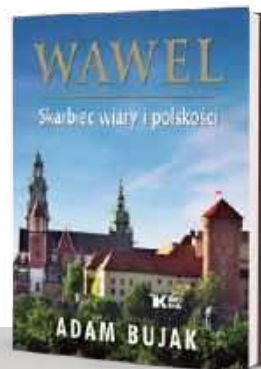
Wawel wczoraj i dziś

W 2022 r. na Wawelu po raz kolejny zanotowano rekordową liczbę zwiedzających go turystów – było ich niemal 2 mln. Dawna siedziba polskich królów cieszy się nieustającym zainteresowaniem społecznym, tak polskim, jak i zagranicznym, z tego też względu chciałbym zwrócić uwagę czytelników na dwie interesujące publikacje dotyczące tego miejsca. Pierwsze z opracowań to popularno-naukowa książka Kamila Janickiego poświęcona dziejom wawelskiego wzgórza od czasów pierwszego tam osadnictwa aż do 1945 r. Mimo że dzieło ma charakter popularny, to autor zaopatrzył je w przypisy znajdujące się na końcu pracy, co pozwala zainteresowanym czytelnikom poznać opracowania, na jakich się opierał, i dotrzeć do interesujących ich pozycji. Janicki swoje rozważania przedstawił w 21 rozdziałach ułożonych w sposób chronologiczno-problemowy. Zostały one uzupełnione o ikonografię, szczególnie ważną w przypadku kolejnych etapów powstawania zamku i jego przebudów. Bazował w tym zakresie na najnowszych ustaleniach historyków epok od średniowiecza do XX w., niejednokrotnie też prosząc ich o komentarze dotyczące szczególnie skomplikowanych czy też trudnych do interpretacji zagadnień. Autorowi udało się zebrać całą dostępną wiedzę o Wawelu, opisanego, co warto dodać, w kontekście całości dziejów Polski na nieco ponad 600 stronach. Mimo że Janicki dotarł do właściwie wszystkich prac poświęconych tej problematyce, to wiele kwestii w historii królewskiego wzgórza pozostaje do dzisiaj niejasnych, niemożliwych na obecną chwilę do precyzyjnej rekonstrukcji. Walorem opracowania jest to, że prezentowane są w nim wszystkie najważniejsze hipotezy dotyczące kluczowych, a niewyjaśnionych zagadnień. Przykładem może być opis powstawania pierwszej sali reprezentacyjnej Wawelu. Janicki nie unika w swoich rozważaniach także tematów kontrowersyjnych, jednak trzyma się w tym zakresie faktów i nie goni za tanią sensacją. Dla mnie szczególnie ciekawe były fragmenty dotyczące pobytów poszczególnych monarchów w najważniejszym polskim zamku oraz roli królewskich żon w kształtowaniu się oblicza wawelskiego wzgórza. Szkoda, że autor zrezygnował z opisu historii tego miejsca po 1945 r. – to, jak mi się wydaje, najpoważniejszy mankament jego opracowania.

Druga książka o Wawelu, jaką chciałbym w tym miejscu polecić, ma również popularny charakter, choć zupełnie inny niż dzieło Janickiego. Jest to album przygotowany przez znanego fotografa Adama Bujaka. Część zdjęciowa została



Kamil Janicki, „Wawel. Biografia”,
Kraków 2022, Wydawnictwo
Literackie



Adam Bujak, „Wawel.
Skarbiec wiary i polskości”,
(wstęp P. Rabiej), Kraków 2022,
Biały Kruk

poprzedzona kilkunastostronicowym wstępem historycznym właściwie przygotowanym przez dr. Piotra Rabieję. Badacz w syntetyczny sposób przedstawił dzieje wawelskiego wzgórza, zwracając uwagę na najważniejsze elementy jego historii. Album został podzielony tematycznie. W pierwszej części znalazły się zdjęcia przedstawiające drogę do siedziby polskich królów. Następnie zamieszczono fotografie prezentujące Wawel z zewnątrz we wszystkich porach roku – pozwala to zobaczyć, jak zmienia się panorama tego miejsca od wiosny, przez lato i jesień, aż do zimy. Dwie główne części dzieła Bujaka to: zamek i katedra. W pierwszej z nich, ułożonej zagadnieniowo, zaprezentowano materiały ilustracyjne dotyczące najważniejszych wawelskich budynków (od najstarszej kaplicy do fortyfikacji i smoczej jamy). Autor przedstawił nie tylko najbardziej znane zabytki, lecz także miejsca o wiele mniej kojarzone przez turystów, a nawet przez mieszkańców Krakowa. Dla mnie najlepiej ujętą częścią tego rozdziału są wawelskie fortyfikacje. Osobno Bujak przedstawił katedrę wawelską. Tu z kolei najciekawsze są zdjęcia podziemi, z grobami władców i bohaterów narodowych na czele. Recenzowany album to bez wątpienia niezbędny przewodnik dla każdego, kto planuje odwiedzić Wawel.

REKLAMA



Rafał Łatka rozmawia z...

...**PROF. MIROSŁAWEM SZUMIŁO**, autorem książki „Gierek – droga do władzy. Kariera pragmatycznego komunisty”



Panie profesorze, jak kształtowała się koncepcja pana książki i jak wyglądała droga Edwarda Gierka do władzy?

Prof. Mirosław Szumiło: Pomysł na książkę zaczął się krystalizować już w 2010 r., gdy nieco przypadkowo znalazłem bardzo interesujące dokumenty archiwalne w Moskwie. W następnych latach, odkrywając kolejne dokumenty, dochodziłem do wniosku, że o Gierku mówi się i pisze stosunkowo dużo, ale uwaga autorów popularnych biografii koncentrowała się na okresie jego rządów, to znaczy na dekadzie lat 70. A przecież gdy doszedł on do władzy w grudniu 1970 r., miał już za sobą 57 lat życia. Jego kariera w ruchu komunistycznym rozpoczęła się na dobre w 1946 r. w Belgii, a dojście do najwyższej godności w PZPR było poprzedzone ponad 20-letnią pracą w aparacie partyjnym i wspinaczką po kolejnych szczeblach w hierarchii „władzy ludowej”. Od marca 1956 r. przez 14 lat zasiadał w kierownictwie partii, czyli należał do ścisłej elity władzy w Polsce. O ile powstało już sporo opracowań naukowych poświęconych różnym aspektom rządów Gierka w latach 70., o tyle słabo wyglądał stan badań nad jego wcześniejszą, długą karierą polityczną. Moja praca powstała głównie z myślą o zapewnieniu tej poważnej luki w polskiej historiografii.

Na ile działalność we Francji i w Belgii miała wpływ na tożsamość Gierka?

Niewątpliwie Gierek różnił się od swoich towarzyszy z pokolenia przedwojennych komunistów (tzw. kapepowców) tym, że niemal całą swoją młodość spędził na emigracji zarobkowej we Francji i w Belgii. Działał tam w legalnym ruchu komunistycznym, z wyjątkiem krótkiego okresu przynależności do ruchu oporu pod koniec okupacji niemieckiej w Belgii. W przeciwieństwie do kolegów z kraju nie był zawodowym rewolucjonistą, dzia-

lającym na stopie nielegalnej, ściganym przez policję, mentalnie przygotowanym na aresztowanie w każdej chwili i spędzenie kilku lat w więzieniu.

Doświadczenia wyniesione z Francji i Belgii, w tym obserwacja tamtejszego poziomu życia robotników, spowodowały jego pragmatyczne podejście do rozwiązywania bieżących problemów w kraju. Gdy był I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, starał się zapewnić mieszkańcom regionu odpowiednie warunki mieszkaniowe, lepszą infrastrukturę komunalną, wyższe zarobki, dobrą organizację i poprawę warunków pracy. Dzięki właściwie dobranym współpracownikom w Katowicach, a jednocześnie swoim wpływom w Warszawie potrafił zdobywać środki na inwestycje i dość skutecznie wcielać je w życie. W ten sposób narodziła się legenda „dobrego gospodarza”, który efektywnie zarządzał województwem.

Kiedy Gierek stał się człowiekiem zaufania Moskwy?

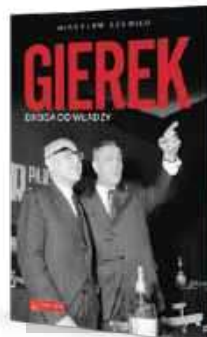
Gdy w październiku 1956 r. doszedł do władzy Władysław Gomułka, kariera Gierka, który nie cieszył się wtedy zaufaniem I sekretarza KC PZPR, mogła ulec gwałtownemu załamaniu. Wstawił się wówczas za nim sowiecki przywódca Nikita Chruszczow, zaliczając go do grona kilku działaczy partyjnych będących „wyrazem sojuszu polsko-radzieckiego”. Świadczy to o tym, że już kilka lat wcześniej Gierek wyrobił sobie dobre kontakty w Moskwie, choć dokładne okoliczności nie są nam znane.

W okresie rządów Gomułki stopniowo umacniał swoją pozycję na Kremlu poprzez kontakty z sowieckimi dyplomatami w Polsce, a także dzięki intensywnej współpracy i wymianie delegacji między Śląskiem i Donbasem. Demonstrował swój przychylny stosunek do

sowieckich przywódców, dając do zrozumienia, że jest jedynym godnym zaufania kandydatem do sukcesu po Gomułce. Już w 1965 r. widziano go w Moskwie jako głównego pretendenta do władzy w PRL. Zawiązany w 1969 r. przez Gierka spisek przeciwko Gomułce był wyraźnie wspierany przez Moskwę.

Kto w omawianym okresie należał do grona jego najbliższych współpracowników?

Gierek jako szef partii w Katowicach świadomie budował wokół siebie bazę kadrową dla przyszłego podboju stanowisk w Warszawie. Stopniowo wysyłał swoich ludzi do centrali, aby utrwalali jego wpływy poza Śląskiem i Zagłębiem. Takim emisariuszem Gierka był np. Franciszek Szlachcic, od 1962 r. wiceminister spraw wewnętrznych, a zarazem łącznik z frakcją „partyzantów” Mieczysława Moczara. W rządzie jego sojusznikiem był wpływowy wicepremier Piotr Jaroszewicz. W województwie administracją terenową kierował faktycznie Jerzy Ziętek, słusznie uważany za prawą rękę Gierka i jednocześnie bardzo popularny wśród Ślązaków. ■



Mirosław Szumiło,
„Gierek – droga do władzy. Kariera pragmatycznego komunisty”, Księży Młyn–UMCS, Łódź–Lublin 2023

GÓRNA PÓŁKA

Ros-imperializm

ANTONI
DUDEK

„Rosja już nie ma przyjaciół i już nigdy nie będzie ich miała. Rosja dorosła. Teraz słabi się jej boją, a silni – nienawidzą”.

Te słowa wypowiedziane w połowie XVIII w. przez Aleksieja Bestużewa-Riumina, sekretarza carycy Elżbiety, są jednymi z wielu, jakie zapadają w pamięć po lekturze książki Piotra Skwieceńskiego. Wydają mi się wszakże szczególnie ważne dla zrozumienia głównego celu, jaki postawił sobie w swoim erudycyjnym esej, a mianowicie opisanu specyfiki rosyjskiego imperializmu. W dziejach ludzkości mieliśmy sporo imperiów. Jednak żadne z nich nie budowało swojej tożsamości przede wszystkim na wrogo-

ści wobec reszty świata, traktowanego w całości jako zagrożenie.

Tymczasem w półtora wieku po Bestużewie jego myśl rozwinął car Aleksander III, jak się okazuje ulubiony władca Putina, mówiąc: „Rosja ma tylko dwóch sojuszników – armię i flotę. Wszyscy inni przy pierwszej sposobności zjednoczą się przeciwko nam”. Widać zatem, że rosyjski imperializm był budowany konsekwentnie wokół poczucia zagrożenia zewnętrzną ingerencją, co epoka sowiecka tylko spotęgowała. I dlatego w oczach Putina i innych nacjonalistów Piotr I, postrzegany przez nas jako twórca rosyjskiego imperium, nie jest – jak pokazuje Skwieceński – postacią jednoznacznie pozytywną. Oczywiście dostrzegają jego zasługi polegające na skonsolidowaniu władzy i zapewnieniu Rosji zdobyczy terytorialnych, ale nie potrafią mu wybaczyć fascynacji Zachodem i czerpania stamtąd wzorów modernizacji.

Z wszystkich bowiem wrogów Rosji najbardziej niebezpiecznym jest ten, który w obecnej putinowskiej propagandzie nosi nazwę „kolektywnego Zachodu”. Kiedyś miał on twarz Napoleona, później Hitlera, a obecnie Bidena. Ale przed nimi jego twarzą bywali też polscy władcy: Stefan Batory, a zwłaszcza Zygmunt III Waza, któremu car Wasyl IV Szuijski złożył hołd po tym, jak naszym wojskom udało się zająć Kreml.

Książka Skwieceńskiego to kopalnia wiedzy o Rosji dawnej i współczesnej. Tym cenniejsza, że po trzech dekadach, przez które wielu z nas beztrząsliwie wierzyło, że ros-imperializm ugrzązł w bagnie korupcji, Kreml znów przypomni nam krwawo o swoim istnieniu.



Piotr Skwieceński,
„Koniec rosyjskiego imperium?
O ideowych źródłach
rosyjskiej agresji”,
Teologia Polityczna,
Warszawa 2022

POLSKIM OKIEM

Z Wołynia do Korei...

RYSZARD
CZARNECKI

Fascynujące są polskie losy. Wiele z nich mogłoby być kanwą sensacyjnego filmu.

Rozmawiam właśnie z kimś takim w jego domu w Niles w stanie Illinois w USA. Nasz rodak ma 90 lat, ale dobrze pamięta czas, gdy był kilkuletnim chłopcem w polskiej osadzie na Kresach Wschodnich RP. Najpierw przyszli Sowieci, potem Niemcy. To z kolei było „zielonym światłem” dla Ukraińców, aby rozpocząć rzeź Wołynia. Równie 80 lat temu, gdy co parę dni wokół Krzeszowa, w którym mieszkał mój rozmówca, palono polskie wsie, a mieszkańców mordowano bez pardonu, starszyzna udała się do kome-

danta znajdującej się w pobliżu niemieckiej jednostki, prosząc o ochronę przed sąsiadami – ukraińskimi szowinistami. Niemiec powiedział: „Albo pojedziecie na roboty do Reichu, albo pójdziecie tam”, i tu wskazał niebo. Mieszkańcy uznali, że nie ma rady: tu czeka ich pewna śmierć z rąk Ukraińców, a tak ocala życie, a po wojnie wrócić. Cała osada, bez wyjątku, wyjechała pociągiem do Dachau. Obok obozu śmierci znajdował się tam drugi obóz przejściowy dla takich jak oni...

W Niemczech przetrwali. Po wojnie część mieszkańców wołyńskiego Krzeszowa przyjechała do nowej Polski – już bez Kresów. Głównie na Dolny Śląsk, po części na Pomorze Zachodnie i Górny Śląsk. Ojciec rodziny nie chciał być repatriantem: „Miałem gospodarstwo na Wołyniu – nie mam do czego wracać”. Gdy mu emisariusze PRL-u obiecywali poniemieckie gospodarstwo, odpowiedział:

„Nie chcę, aby jakiś Szwab za dwa czy trzy lata mi to odebrał”.

Opowiada mi to Jan Hermaszewski, stryjeczny brat pierwszego polskiego kosmonauty, Mirosława. Część rodziny, jak matka Mirka z siódmką dzieci, przyjechała do Polski, część, jak rodzina Jasia, została na Zachodzie. Janek przeżył więc wojnę w Niemczech, cudem unikając śmierci w amerykańskim nalocie. Potem, już po wojnie, potracił go wojskowy samochód i w ciężkim stanie wylądował w szpitalu. Pan Bóg jednak miał wobec Jasia swoje plany. Pięć lat po wojnie, po pobycie w obozie przejściowym w Ingolstadt dla tych, co chcieli jechać do Ameryki lub Australii, rodzina znalazła się w Bremerhaven na statku płynącym do Nowego Jorku. Tam młody John – imię zmieniono mu automatycznie – zaciągnął się do wojska i jako żołnierz US Army popłynął do Japonii, a stamtąd pociągiem do Korei, aby bronić świat przed komunizmem. Ale cały czas myślał, że gdy wybuchnie III wojna światowa, to po drugiej stronie będą zmobilizowani przez Rosję rodacy z Kresów, którzy ojcowizny nie zostawili...



Rodzina Siła-
-Nowickich,
1945 r.

Przez pół z górą wieku trwała u boku męża, wspierając go i dbając o rodzinę. Przypominamy jej sylwetkę w roku pięknego jubileuszu urodzin.

„Państwo Jozzkowie osiedli w Beresteczku, gdzie dzierżawili niewielki majątek Liceum Krzemienieckiego, jak pamiętam zamieszkiwali w uroczym dworku na peryferiach miasta, oddając się ciężkiej pracy nad rozwinięciem gospodarstwa. Ozdobą i radością ich domu były uroczę dwie córki, uczennice dubieńskiego gimnazjum, jakby żywcem wyjęte z sienkiewiczowskiej trylogii, starsza Marysia przypominała Basię Jeziorowską, a młodsza – Irena piękną i poważną Oleńkę Billewiczównę”. W taki sposób zapamiętał rodzinę młodziutkiej Ireny Jozzko Marek Owsiański, przyjaciel Ireny i Władysława Siła-Nowickich.

W lipcu 1934 r. przed beresteckim kościołem Trynitarzy doszło do zdarzenia, którego skutki naznaczyły całe późniejsze życie 20-letniej Ireny Jozzko. Poznała wtedy swojego przyszłego męża, Władysława Siła-Nowickiego, który po raz pierwszy przyjechał w te strony po tym, jak jego ojciec Aleksander rozpoczął w mieście praktykę notarialną. Panna Irena stała się później dla niego powodem częstych odwiedzin Beresteczka, choć, jak sam wspominał, był w nim jedynie gościem, bo studiował w Warszawie do 1935 r., a po

Irena Siła-Nowicka. „Billewiczówna” z Beresteczka



ARTUR
KUBAJ

studiach przez rok służył w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Niebieskooka blondynka o surowych nawet jak na przedwojenne czasy obyczajach, wysportowana, powożąca końmi i znakomicie wioślująca zawróciła mu w głowie. Po trzyletniej znajomości Władysław postanowił się oświadczyć. Okres narzeczeństwa miał się zakończyć ślubem we wrześniu 1939 r., jednak wybuch wojny zmienił okoliczności i perspektywy narzeczonych.

Wybuch wojny

Siła-Nowicki jako podporucznik rezerwy kawalerii przybył do Poddębic, by osłaniać północne skrzydło Armii „Łódź” nad

rzeką Wartą. Pomimo odniesionej rany przedostał się przez Warszawę i później przez zieloną granicę do Beresteczka. Ślub wzięli w październiku 1939 r. już pod sowiecką okupacją i natychmiast udali się na Litwę, szukając możliwości przedostania się do powstającej armii polskiej we Francji. Nie udało im się jednak przedostać na Zachód i dwa lata

spędzili między litewskimi Polakami, unikając wywózki na Syberię po opanowaniu całej Litwy przez Sowieców. Utrzymywali siebie i narodzoną na Litwie córkę Marię Ludwikę z ciężkiej fizycznej pracy, a po wejściu Niemców w 1941 r. postanowili wyjechać do Warszawy, gdzie natychmiast włączyli się w nurt bogatego życia konspiracyjnego. Władysław związał się w tym czasie ze środowiskiem chrześcijańsko-demokratycznej „Unii”, powołanej w 1940 r. przez Jerzego Brauna, jednak zasadniczą część jego działalności konspiracyjnej stanowiła służba w wywiadzie, gdzie z polecenia kuzyna Jerzego Sienkiewicza został pracownikiem referatu „999” KG AK, czyli tzw. Korwety. W czerwcu 1943 r., po narodzinach drugiej córki Agnieszki Ewy, przyjęli do swojego domu 16-letnią dziewczynę, Basię Nowak, jako opiekunkę dla córek. Władysław, korzystając ze swoich możliwości, zorganizował fałszywe dokumenty, by ukryć jej żydowskie pochodzenie, i Basia została przy rodzinie aż do swojego zamążpójścia w styczniu 1948 r.

Na krótko przed wybuchem powstania warszawskiego Irena Nowicka przeniosła się wraz z dziewczynkami i Basią do Wylągów. Mąż Ireny już w pierwszych dniach sierpnia został ranny w udo podczas walk o warszawski urząd pracy, a kolejna, niemal śmiertelna rana w płuco ostatecznie zakończyła jego udział w powstaniu. Po kapitulacji stolicy wydostał się z miasta wraz z ludnością cywilną i po kilkumiesięcznej rekonwalescencji dołączył do żony z dziećmi w Wylągach.

W celi śmierci

Po zakończeniu wojny Siła-Nowicki wrócił do czynnej działalności konspiracyjnej w Zrzeszeniu Wolności i Niezawisłość. Jako szefowi Inspektoratu Lublin podlegał mu politycznie m.in. oddziały mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Działalność w WiN-ie łączył z aktywnością w reaktywowanym Stronnictwie Pracy. Zmieniająca się sytuacja polityczna w Polsce i presja UB spowodowały, że pomimo początkowego ujawnienia swojej działalności, jesienią 1947 r. Siła-Nowicki wraz z Dekutowskim oraz sześcioma jego podwładnymi zdecydował się na ucieczkę z kraju. W wyniku zasadzki bezpieki cała grupa znalazła się jednak w więzieniu. 3 listopada 1948 r. zapadły wyroki śmierci, a 7 marca 1949 r. „Zaporę” i jego podwładnych rozstrzelano. Irena dowiedziała się o aresztowaniu męża dopiero późną jesienią 1948 r., próbowała uzyskać ułaskawienie, napisała prośbę do prezydenta PRL Bieruta. List wysłała też córka, 8-letnia Marysia, w imieniu swoim i młodszej siostry, pisała cała rodzina. Bezskutecznie. Pomogła dopiero prośba starszej siostry Feliksa Dzierżyńskiego, będącej jednocześnie powinowatą Siła-Nowickiego, Aldony Kojałkowiczowej, która interweniując u sowieckiego ambasadora Lebediewa, uzyskała zamianę wyroku kary śmierci na wyrok dożywocia.

Basia Nowak-Łaczyńska również napisała prośbę do prezydenta Bieruta o ułaskawienie: „Władysław Siła-Nowicki w czasie okupacji niemieckiej uratował mnie od śmierci [...], po ucieczce z żydowskiego transportu jako Żydówka, po stracie całej rodziny tułałam się bezdomna i bez żadnych dokumentów, drżąc stale z obawy przed dostaniem się w ręce Gestapo. Wtedy to, kiedy pracowałam przy gospodarstwie pod Lublinem przez parę dni, spotkał mnie Władysław Nowicki. Widzieli gospodarze, że jestem Żydówką,



Irena i Władysław Siła-Nowicki w Wylągach, 1964 r.

bali się mnie panicznie i powiedzieli, że dłużej trzymać nie będą. Opieka bowiem nad Żydami groziła śmiercią. Wtedy to Władysław Nowicki zaopiekował się mną, zabrał mnie do swego domu, wyrobił dokumenty i narażając życie swoje i rodziny, opiekował się mną do końca wojny, traktując mnie jako członka rodziny”.

Czasy stalinowskie

Irena, jakkolwiek szczęśliwa z aktu łąski dla męża, musiała się mierzyć latami z trudami życia matki samotnie wychowującej dwójkę małych dzieci, w zasadzie bez możliwości podjęcia pracy w realiach czasów stalinowskich, jako żona „wroga ludu” skazanego na dożywocie. A jednocześnie UB szkalowało Siła-Nowickiego, rozpuszczając informacje sugerujące, iż wydał kolegów na śmierć, ratując swoje życie, i że jest jej konfidentem.

Władysław spędził w więzieniu ponad 9 lat, w tym 112 dni w celi śmierci. O ułaskawieniu dowiedział się w dniu wykonania wyroków śmierci na swoich kolegach. Karę odbywał w najcięższych polskich więzieniach w Warszawie, Rawiczu, Wronkach i Strzelcach Opolskich. Do końca życia był zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci. Irena wspominała ten okres po latach: „Na widzenia z moim mężem, które trwały wtedy 10 minut, jechało się pociągiem kilkanaście godzin, w straszliwym zazwyczaj ścisłu. Najbardziej jednak denerwujące było czekanie na przepustkę pod bramą. Właśnie wtedy okazywało się, często po paru godzinach stania na dworze, niezależnie od pogody i pory roku, że »więzień nie zasłużył na widzenie«. Raz w miesiącu Irena wysyłała

mężowi list i paczkę zawierającą kilogram cukru, kilogram tłuszczu i kilogram cebuli lub czosnku. Prokuratura nie godziła się na przesyłanie witamin czy lekarstw.

Już po zakończeniu wojny Irena Siła-Nowicka ukończyła w Warszawie kurs tkactwa. W zamieszkiwanym pokoju ustawiła warsztat tkacki. Tkąła samodziąły na marynarki, płaszcze, jesionki, robiła kolorowe szaliki i chustki z wełny farbowanej w domu. Tkąła całymi dniami, a wieczorem haftowała. 1 grudnia 1956 r., gdy Irena wraz z mężem powróciła do rodzinnego domu, szczęścia rodziny nie dało się opisać. Od tego czasu było już jej znacznie łatwiej znosić niedole PRL-owskiego reżimu.

Stała u boku

Władysław Siła-Nowicki rozpoczął praktykę adwokacką, biorąc na barki utrzymanie rodziny, co zresztą nie było łatwe. W okresie 1959–1994 bronił w procesach politycznych – od spraw rehabilitacyjnych towarzyszy z AK i WiN poprzez robotników KOR-u i działaczy Solidarności w stanie wojennym. Był jednym z doradców Solidarności zasiadających przy okrągłym stole, a w wolnej Polsce stanął na czele reaktywowanego Stronnictwa Pracy. Stał się, obok Jana Olszewskiego, jednym ze sztandarowych obrońców w procesach politycznych najnowszych dziejów Polski. Nie byłoby jednak tak bogatego życiowego dorobku bez wsparcia jego żony – Ireny. Przeżyli wspólnie 55 lat, byli wyjątkowo zgodnym małżeństwem. Irena przez całe życie stała u boku męża. Wspierała go w najcięższych chwilach, nie tracąc przy tym siły ducha i podejmując najcięższe życiowe wyzwania nierzadko w pojedynkę. Było to rezultatem jej niezłomnego charakteru oraz starannego, przedwojennego wychowania i wartości wyniesionych z domu rodzinnego. Tak sama ocenia te trudne lata: „Dziś, wspominając tę tak odległą i prawdę mówiąc – ponurą przeszłość, widzę jednocześnie, ile było w niej jasnych chwil, ile ludzkiej przyjaźni i życzliwości, które otaczały człowieka i pozwalały mu przetrwać. I myśląc o tym, jak dużo było siły i wiary w ludziach tamtych czasów – życzę, aby tę niezbędną siłę umiała w sobie odnaleźć następne pokolenia”.

Czczigodnej Jubilatce, obchodzącej w tych dniach 110. urodziny, życzymy zatem tej życzliwości, siły, wiary i przyjaźni, o których wspomina i które tak bardzo ceni, a także zdrowia i nieprzerwanej pogody ducha!



Yoram Hazony jest patriotą swojej izraelskiej ojczyzny. Dla niego, jak dla większości jego współobywateli, powstanie Państwa Izrael było najwłaściwszą reakcją na Zagładę i potworności XX w.

Jeszcze o cnocie nacjonalizmu



**MAREK
JUREK**

Istnieją – według Yorama Hazony’ego – trzy źródła współczesnego, zachodnioeuropejskiego antynacjonalizmu.

Pierwszym są imperialne pretensje liberalizmu, dla którego zbrodnie nazizmu stały się pretekstem do negowania wartości narodowych suwerenności. Drugim – transformacja niemieckiego imperia- lizmu, który w budowie ponadnarodowych struktur europejskich odnalazł nową drogę niemieckiej dominacji. Nie mogąc odebrać suwerenności sąsiadom, postanowił budować Europę, w której na narodowe suwerenności nie będzie już miejsca. Trzecie źródło antynacjonalizmu ma jednak inny charakter, jest bardziej reakcją niż postulatem. Wynika z przyjęcia przez zachodnich Europejczyków postawy „konsumentów bezpieczeństwa”, z wyboru – w czasach zimnej wojny – wygodnego życia pod amerykańskim protektorem. „Po cóż bowiem zasady narodowej niepodległości i samookreślenia, jeśli Amerykanie dają bezpieczeństwo? Nie warto się ciężko trudzić dla czegoś, co się i tak ma.

[...] Taka zaś jest już natura imperiów, że dają narodom pokój w zamian za ich niezależność. A oddając ją – narody tracą zdolność niezależnego myślenia i politycznego działania”.

Uświadomiona zależność nie jest uczuciem przyjemnym, więc podlega odruchowemu wyparciu. Ludzie wyrażający się wolności chcą wierzyć, że to ich własna decyzja. W ten sposób rodzi się złudne poczucie bezwiednej trwałości, któremu towarzyszy przekonanie, że narody i państwa trwają samoczynnie, że ich przetrwanie nie wymaga większego wysiłku. Tak zresztą sami najczęściej myślimy o państwach Europy Zachodniej, nie mając świadomości ceny, jaką w przeszłości zapłaciły za wolność od naszych dramatów. Tymczasem Francja ochroniła swą wolność i tożsamość w czasach Joanny d’Arc i wojny stuletniej, a potem – wojen religijnych, zakończonych wstąpieniem Burbonów na tron. Anglicy musieli w dobie nowożytnej stawić kolejno czoła realnej groźbie najazdu hiszpańskiego, francuskiego i niemieckiego. Hiszpanie musieli walczyć z najazdem Napoleona, a w następnym wieku obronić się przed komunizmem w wojnie domowej. Wszystkie narody Zachodu żyły przez większą część XX w. w obliczu grozy rewolucji komunistycznej, a potem inwazji sowieckiej.

Wyzwania, które zawsze wracają

Nacjonalizm to ochrona podstaw istnienia narodu i państwa oraz przygotowanie do ich czynnej obrony. To zaś z zasady wykracza poza empiryczne, doraźne sprawdziany polityki wyborczej, choć może zachować trwałe oparcie społeczne dzięki uwewnętrznionym wartościom kultury narodowej. Beztroska egzystencja rodzi natomiast złudzenie trwałości, życia poza historią. Sytuacje zagrożenia istnienia państwa albo wręcz narodu mają wprawdzie charakter krańcowy, niemniej powracają regularnie. Dziesiątki pokoleń w ogóle ich nie znają, ale te, które ich doświadczą – swą postawą decydują o życiu kolejnych pokoleń. Nacjonalizm to przekonanie, że te graniczne sytuacje nie stanowią kosmicznych katastrof, lecz są częścią ludzkiego losu. Należy i można im stawiać czoła. Trzeba mieć tylko świadomość, że mogą przyjść. Od narodów jedynie zależy, czy chcą się do tego przygotować, czy są gotowe żyć odpowiedzialnością za własną przyszłość.

Wydawałoby się to oczywiste. Wszak cała filozofia polityczna, od czasów starożytnych, stawiała w centrum zagadnienie właściwego i dobrego rządu. To zaś jest ściśle, społecznie związane z istnieniem trwałego państwa, którego aktualne społeczeństwo jest tylko ogniwem łączącym

pokolenia, które odeszły, z tymi, które przychodzą i przyjdą. Odejście od państwa narodowego stanowiłoby zerwanie ciągłości naszej cywilizacji. Czemu więc stało się wręcz programem środowisk dominujących w życiu umysłowym i politycznym Europy Zachodniej?

Oficjalnie, bo nacjonalizm czy po prostu państwo narodowe, suwerenność – traktowane są jako zarzewia wojny i nośniki „nienawiści”. Zarzut ten jest jednak jedynie projekcją wewnętrznej nienawiści do wartości narodowych ze strony wyznawców globalnych ideologii. Reagują otwartą nienawiścią, jeśli tylko napotkają na zdeterminowaną opozycję. To dlatego w państwach liberalnych narodo- wa opozycja doświadcza wykluczenia ze strony klasy rządzącej, bez oglądania się na żadne „pluralistyczne” skrupuły. Zdaniem Yorama Hazony’ego nie jest to żaden przypadek, ale prosty resentymen- talny odruch. Każda bowiem „zdetermi- nowana opozycja” sama przez się ujawnia pozorny charakter „uniwersalizmu”, na który globaliści się powołują. „Twier- dzenie bowiem, że imperializmy [czyli polityczne programy ponadnarodowych ideologii] mają naturalną skłonność do miłości i tolerancji, to jedynie mit szer- zony przez samych imperialistów”.

Doświadczenie Izraela

Yoram Hazony jest patriotą swojej izrael- skiej ojczyzny i widzi, jak bardzo wypar- cie potrzeby walki o przyszłość narodu godzi w jego kraj, który – w odróżnieniu od państw zachodniej Europy – przez ostatnie pół wieku nie korzystał z do- brodziejstw pokoju. Dla niego, jak dla większości jego współobywateli, powsta- nie Państwa Izrael było najważniejszą reakcją na Zagładę i potworności XX w. Ale dla liberalnej opinii w zachodniej Europie „to nie Izrael jest odpowiedzią na Auschwitz, ale Unia Europejska”. Ma więc poczucie, że jego kraj jest trakto- wany jako anomalia porządku między- narodowego właśnie dlatego, że wypełnia swe narodowe obowiązki. Autor „Cnoty nacjonalizmu” nie zgadza się z liberal- nymi publicystami w swoim kraju, pie- legnującymi nadzieję, że „jeśli opinia pu- bliczna pozna więcej faktów – albo jeśli te fakty się lepiej zaprezentuje – Izrael znajdzie więcej zrozumienia, szczególnie w oczach zachodnioeuropejskich i ame- rykańskich liberałów, którzy dziś żywią wobec niego największą niechęć”. Uważa

on jednak, że wrogość do Izraela nie wy- nika z faktów, ale z zasad, z odrzucenia patriotyzmu narodowego i suwerennych kompetencji, którymi powinno dyspo- nować każde odpowiedzialne państwo.

Nawarstwienie wzajemnych pretensji polsko-żydowskich sprawia, że prota- goniści tych nieprzyjemnych nastawień

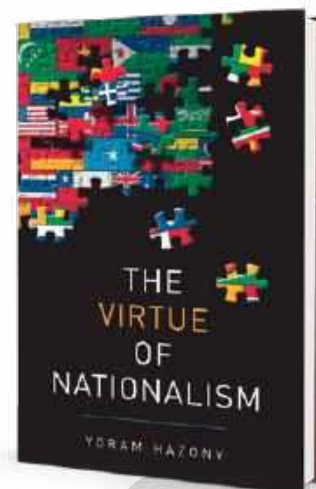
o tamtych sprawach. Owszem, doświad- czamy ataków na nasz rząd, dyskretniej zagranicznej protekcji wobec struktur instytucjonalnych, które przetrwały ko- munizm, nie żyjemy jednak w państwie narodościowo rozdartym, którego samo istnienie w aktualnych granicach byłoby zagrożone. Nie musimy już dźwi-

ODEJŚCIE OD PAŃSTWA NARODOWEGO STANOWIŁOBY ZERWANIE CIĄGŁOŚCI NASZEJ CYWILIZACJI. CZEMU WIĘC STAŁO SIĘ WRĘCZ PROGRAMEM ŚRODOWISK DOMINUJĄCYCH W ŻYCIU UMYSŁOWYM I POLITYCZNYM EUROPY ZACHODNIEJ?

po obu stronach chętnie powielają ne- gatywne stereotypy na temat drugiej. Dotyczy to także łatwej krytyki Państwa Izrael. Tymczasem warto zauważyć, do jakiego stopnia współczesny problem pa- lestyński przypomina kwestię ukraińską w II Rzeczypospolitej. Narody walczące o Jerozolimę kochają ją tak samo, jak walczący ze sobą Polacy i Ukraińcy ko- chali Lwów. Oba państwa – Izrael i przed- wojenna Polska – żyją w zagrożeniu ze strony niemal wszystkich sąsiadów. Galicja Wschodnia czy zachodni brzeg Jordanu to nie tylko kwestie społeczne, lecz także geopolityczne i strategiczne. W obliczu wojennego zagrożenia zbyt daleko idące ustępstwa przekraczałyby granice odpowiedzialności. Ludobójstwo na Wołyniu potwierdziło post factum realizm najgorszych obaw przed wojną dotyczących terroryzmu OUN. Izrael- czycy pamiętają, że przez dziesięciolecia państwa arabskie miały dla nich bardzo prosty program: „Syjoniści do morza”. Polskę bowiem traktowano jako „pań- stwo sezonowe”, Izrael zaś jako „syjoni- styczny twór”.

Tragedia II wojny światowej, aneksja Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej i wy- siedlenie stamtąd Polaków, nowe poko- lenia Ukraińców, Białorusinów i Litwi- nów, które tam wyrosły, wreszcie rozpad ZSRS i odzyskanie niepodległości przez Polskę oraz państwa naszego regionu sprawiły, że dziś nie musimy myśleć

gać zarzutów o „ucisk mniejszości naro- dowych”. Natomiast w dwudziestoleciu międzywojennym Polska doświadczała na forum Ligi Narodów takich samych potępień, jak dziś Izrael na forum ONZ. Hazony, tak jak kiedyś Dmowski, uważa, że państwo w takiej sytuacji powinno kierować się własnym poczuciem moral- nym i własną odpowiedzialnością, a nie ocenami zagranicy. Opinię między- narodową należy przekonywać, nie wolno jej ulegać. Właśnie na tym, na własnej odpowiedzialności (albo po prostu suwe- renności) moralnej, nie zaś na negacji jej uniwersalnych zasad – polega nacjona- lizm. W ostatecznym rachunku bowiem naród może liczyć przede wszystkim na własną solidarność.



LA PRINCESSE PRINTANIÈRE

WIOŚNIANA KSIĘŻNICZKA – JAK JĄ NAZWANO W PARYŻU – TRAFIŁA NA SZAFOT PRZESZ LISTY NAPISANE DO MADAME DU BARRY, A NIE – JAK MÓWIŁA JEDNA Z LEGEND – PRZES ROBESPIERRE'A MSZCZĄCEGO SIĘ ZA TO, ŻE ZOSTAŁY ODTRĄCONE JEGO UMIZGI



JOANNA
PUCHALSKA

Piękna Rozalia z Chodkiewiczów nie była szczęśliwa w małżeństwie

z Aleksandrem Lubomirskim. Rzadko bawiła w męzowskim Opolu, stokroć wolała rozbławaną Warszawę, gdzie budziła powszechny zachwyt urodą, wdziękiem i temperamentem.

W czasie Sejmu Wielkiego, w dniu imienin księcia Pepi, zakradły się do jego sypialni trzy najpiękniejsze warszawskie damy: Barbara Kossowska (roztąńczona adresatka znanego wiersza Stanisława Trembeckiego), la belle Julie Potocka (żona autora „Rękopisu znalezionego w Saragossie”) i nasza bohaterka. W prześwitujących szatkach, przebrane za Dyjanny tudzież inne Psychy, kwieciami i ozdobnymi cackami przerobiły komnatę na Olimp, po czym czekały na powrót gospodarza, wiele sobie po tym spotkaniu obiecując. Książę zjawił się wreszcie, lecz w towarzystwie kochanki – zwykłej (fi donci!) aktorki Sitańskiej. Szeptano potem, że urażone panie w furii potłukły kosztowne podarki, nim oddaliły się z godnością.



L'amour toujours?

Paryż, jak napisał Stanisław Wasylewski, był w tym czasie „czymś w rodzaju większej i przyjemniejszej Warszawy”. Spodobało się tu księżnej, gdy jeszcze przed rewolucją towarzyszyła w podróży mężowi. Bo, jak napisał Talleyrand, „kto nie żył przed rokiem 1789, ten nie ma pojęcia, co znaczy prawdziwa radość istnienia”. Książę, załatwiwszy sprawy, wrócił do kraju, a ona została. Bywała na salonach

– w tym w Wersalu – i bawiła się świetnie do tego stopnia, że w styczniu 1789 r. oszczędny książę Aleksander wydał pisemne oświadczenie, iż nie odpowiada za długi małżonki. Do Polski przyjechała na krótko, w pierwszą rocznicę Konstytucji 3 maja, i wówczas się zakochała. Tadeusz Mostowski, najmłodszy i najwytworniejszy senator Sejmu Wielkiego, już zdążył się rozwieść z Anną z Radziwiłłów, późniejszą autorką sentymentalnych romansów i powieści gotyckich. Jesienią 1792 r. wysłano go do Francji, aby wybadał intencje rządu rewolucyjnego wobec Polski, i księżna Rozalia ruszyła jego śladem. Zatrzymali się w Lozannie, skąd władze Szwajcarii wkrótce wyprosiły la princesse printanière za wypowiedzi życiowe dla francuskiej rewolucji. Wówczas w październiku 1792 r. w towarzystwie Mostowskiego zjechała do Paryża. Jego przynajmniej chronił dyplomatyczny paszport. A ona być może myślała, że jako cudzoziemka będzie bezpieczna? Oczywiście zamieszkalili osobno, acz niedaleko od siebie.

Księżna od razu napisała do matki: „Uprzedzam mamę kochaną, że więcej do Polski powrócić mi się nie chce”. Poprosiła o przekazanie tej wiadomości mężowi, „do którego nie piszę z obawy

ściągnięcia odpowiedzi, która by tyle jego, co mnie zasmuciła”.

Nad Sekwaną zabrała się za odnawianie dawnych znajomości, m.in. ze słynną metresą Ludwika XV hrabiną du Barry.

Rewolucyjna czujność władzy

Na przełomie maja i czerwca 1793 r. aresztowano Lubomirską i Mostowskiego jako podejrzanych cudzoziemców i tylko dzięki znajomościom udało się uzyskać zwolnienie. On potem wrócił do Polski – dosłownie w ostatniej chwili przed ponownym zatrzymaniem. Ona została – niewykluczone, że z powodu nowej miłości, gdyż z Mostowskim się rozstali.

Tymczasem hrabina du Barry została okradziona z cennej biżuterii i w związku z tym ogłosiła w prasie anons o wysokiej nagrodzie za wykrycie sprawców, nieroztropnie zamieszczając też długą listę skradzionych klejnotów. Rozdrażniła tym głodujący lud Paryża, a co gorsza zwróciła na siebie uwagę wymiaru rewolucyjnej sprawiedliwości. Do tego doszły jeszcze podejrzane kontakty nawiązane w Anglii, dokąd udała się po znalezione tam swoje kosztowności. Po powrocie została aresztowana i skazana na śmierć za zdradę.

Wśród wnikliwie badanej przez trybunał korespondencji hrabiny znalazły się dwa listy. Jeden był tylko podpisany przez Lubomirską, a co do drugiego du Barry niefrasobliwie zeznała, że korespondentką jest polska księżna, pograżając tym przyjaciółkę. W rezultacie 19 listopada 1793 r. Rozalia wraz z pięcioletnią córeczką Aleksandrą znalazły się w więzieniu Petite Force.

W tym drugim liście była mowa o uroczystości ku czci republikańskich ideałów braterstwa i równości, której program ułożył sam Jean-Louis David. Zdaniem trybunału autorka wzgardliwie wyraziła się o „majestacie ludu”, pisząc: „Nic godnego uwagi nie doniosę o wypadkach dnia. Święto, które tutaj obchodzono wczoraj, w szczególniejszy sposób ujawniło majestat ludu”. Śledczym nie spodobały się także słowa: „Królowa jest dotąd w Conciergerie. [...] W każdym razie jestem o los jej spokojną... Nasi władcy umęczeni są chwałą i zapagną (ile przypuszczam) odpocząć nieco na swych wawrzynach”. Wystarczyły, by wytoczyć obywatelce Lubomirskiej oskarżenie o sympatię wobec Marii Antoniny i udział w spisku zmierzającym do jej uwolnienia.

Kolejnym dowodem na utrzymywanie stosunków z wrogami rewolucji – tym razem w Nicei – był list z 1789 r., znaleziony u pani de Rosambeau. Osoba trzecia pisała w nim o księżnej Lubomirskiej, nie podając imienia, że czas pewien bawiła na wsi i „obiadowała pod gołym niebem” podobnie jak inne osoby tam przebywające. Próżno Rozalia przekonywała Trybunał, że jest to przypadkowa zbieżność nazwisk i chodzi o inną księżną Lubomirską.

Wrogowie ludu – na szafot!

Oskarżycielem został Antoine Quentin Fouquier de Tinville, zwany mieczem rewolucji. Księżnej zarzucono spiskowanie przeciw „wolności i wszechwładztwu ludu” oraz „utrzymywanie stosunków wywiadowczych i korespondencji z nieprzyjaciółmi zewnętrznymi i wewnętrznymi republiki”, a także bycie „agentką kontrrewolucjonistów”. Nie poskutkowało tłumaczenie, że przecież ze Szwajcarii wydano ją za bronienie sprawy rewolucji.

„UPRZEDZAM MAMĘ KOCHANĄ, ŻE WIĘCEJ DO POLSKI POWRÓCIĆ MI SIĘ NIE CHCE”

Mąż w Polsce początkowo przekonany był, że została uwięziona za długi, i niezbyt się przejął, tym bardziej że ich stosunki od dawna były takie sobie. Przyjaciele natomiast nie próżnowali. Pisano w jej sprawie memoriały, argumentując, że jej mąż i ojciec zajmują w Polsce wysokie stanowiska, że oskarżenia są bezzasadne, przypomniano, że znalazła się w Paryżu wskutek wydalenia ze Szwajcarii za słowa sympatii dla rewolucji. Co najwyżej popełniła nieostrożność, lecz siedząc w więzieniu w ciężkich warunkach razem z prostytutkami i złodziejkami, dostatecznie tym swoje winy odkupiła. Próbowano nawet interweniować przez Kościuszkę. Wszystko zawiodło, a wyznaczony z urzędu adwokat Claude-François Chauveau-Lagarde, wcześniej

obrońca Marii Antoniny, wypowiadał się przed sądem zbyt ostrożnie, bo jego też miano na oku. Tak więc obywatelka Lubomirska została skazana na śmierć i wtedy, by przynajmniej odroczyć egzekucję, oświadczyła, że jest brzemienna. Nawet mogło to się udać, bo w Conciergerie, dokąd ją następnie przeniesiono, lekarzem był Polak, Józef Markowski, który robił, co mógł, by przedłużyć termin obserwacji lekarskiej.

Miłość niesie zgubę

Z Conciergerie trafiła do L'Hospice du Tribunal Revolutionnaire, gdzie siedział młody, przystojny książę Charles Godefroi Auguste de la Trémoille. Zakochał się on w pięknej Polce, koniecznie chciał ją ratować i przygotował ucieczkę. Ktoś jednak zdradził i książę został ścięty w trybie przyspieszonym. Kilka dni potem wierni władzy doktorzy Nauray i Enguichard w asystencji akuszerki, obywatelki Prioux, orzekli, że obywatelka Lubomirska w stanie odmiennym nie jest. Jeszcze tego samego dnia trybunał zarządził, że wyrok ma być wykonany w ciągu doby. Stało się to 30 czerwca 1794 r. na dzisiejszym Place de la Concorde. La princesse printanière miała niecałe 26 lat i według romantycznej tradycji poszła na szafot w białej sukni, w której ją aresztowano na balu. Podobno tego dnia jej matka ujrzała sunącą w amfiladzie komnat pałacu Chodkiewiczów w Młynowie białą bezgłową żawę.

Może gdyby zakochany książę nie pośpieszył aż tak konkretnie na ratunek, udałoby się przeczekać najgorszy czas i odniosłoby wreszcie skutek starania rodaków. Brakowało zaledwie 27 dni do przewrotu 9 thermidora, kiedy to poleciała głowa Robespierre'a i terror zelżał.

Przed śmiercią księżna napisała do swojej przyjaciółki Amalii Hohenzollern-Sigmaringen, powierzając jej opiece małą Aleksandrę. Później dziecko przekazano ojcu. Dorosła księżniczka, przez pamięć utraconej matki używająca imienia Rozalia, wmurowała w ścianę kościoła opolskiego tablicę z łacińskim napisem: „Rozalii księżnie Lubomirskiej, zrodzonej z hrabiów Chodkiewiczów, Aleksandra księcia Lubomirskiego małżonka, wielu duszy i ciała darami hojnie ozdobionej, która, gdy przebywała w Paryżu, jako ofiara rozruchów domowych, okrutnym królobójców żelazem zamordowana, zginęła w przededniu 1 lipca 1794 roku”.



Z JEDZENIEM NA BAKIER



**KRZYSZTOF
ŻARYN**

NASZA AKTYWNOŚĆ NAJCZĘŚCIEJ JEST ŚWIADOMA, ALE BYWA TEŻ EFEKTEM DZIAŁANIA PODŚWIADOMOŚCI. JEDNYM Z DETERMINANTÓW PODŚWIADOMOŚCI WPŁYWAJĄCYCH NA NASZE CODZIENNE ZACHOWANIA SĄ KOMPLEKSY

Kompleksy to połączony zespół przeświadczeń oraz wyobrażeń na własny temat, który generuje nasze zachowania. Możemy obawiać się pewnych cech, hamować swoje popędy czy nadmiernie ograniczać w różnych dziedzinach, ponieważ w naszej podświadomości istnieje przekonanie, że takie zachowanie jest śmieszne i źle postrzegane. Pół biedy, gdy są to zachowania typu „ustawianie się do zdjęć tylko jednym profilem, bo drugi mamy gorszy”, czy tłumienie w towarzystwie głośnego śmiechu, bo wydaje się on nam obciachowy. Te ograniczenia na pewno wpływają na samopoczucie, bo jak wiadomo śmiech to zdrowie, ale nie są groźne. Problem pogłębia się znacznie w sytuacji, gdy nasze kompleksy mogą doprowadzić do utraty zdrowia lub życia. Przykładami zaburzeń, które podsycane są kompleksami, a mają duży wpływ na nasz organizm, są – coraz częściej no-

towane wśród pacjentów – zaburzenia odżywiania. Dążenie do wyidealizowanej szczupłej sylwetki jest fundamentem takich przypadłości jak anoreksja, bulimia czy ortoreksja. Mimo że są to jednostki stosunkowo niedawno wpisane w rejestr chorób, towarzyszyły ludzkości od zarania dziejów.

Ach te wierzenia!

Pierwsze formy problemów żywieniowych związane są z relacją religii z żywieniem. Dżinizm to jedna z najstarszych religii Indii, której korzenie sięgają VI w. przed Chrystusem. Jednym z rytuałów tej religii była sellekhana, czyli śmierć rytualna przez zagłodzenie. W historii tego wyznania odnaleźć można wielu wojowników i władców, którzy splamiony honor ratowali śmiercią głodową. Aby móc poddać się temu rytuałowi, trzeba było spełniać jeden z trzech warunków. Pierwszy to problemy osobiste, których ciężar

był nie do zniesienia, drugi to podeszły wiek i ostatni – nieuleczalna choroba. Już tutaj względy kondycji fizycznej były poważnym czynnikiem warunkującym predyspozycję do zaburzeń żywienia.

Wymienione wyżej skrajne dysfunkcje żywieniowe od razu przywodzą na myśl anoreksję, czyli jadłowstręt psychiczny objawiający się unikaniem jedzenia. Nazwa dolegliwości wywodzi się z języka greckiego i określa utratę apetytu. Mimo pochodzenia tego wyrażenia starożytna Grecja nie epatowała postawami aż tak znaczących restrykcji żywieniowych. A przynajmniej nie zachowały się opisy takich przypadków. Kulturowano zdrowie i atletyczne ciało, ale ograniczenia żywieniowe były raczej rozsądnie formułowane i odnosiły się do zdrowia oraz równowagi. Głównym celem postów był trening dyscypliny oraz przygotowanie do treningów fizycznych. Jednak wraz z postępem ery starożytnej ewoluowały postawy i zachowania społeczne.

Jak pogodzić dwie skrajności?

Problem zaczął pojawiać się wtedy, gdy kult kultury fizycznej oraz zdrowej sylwetki pozostał i rozwinął się hedonizm i konsumpcjonizm. Tego typu postawy zaczęły coraz częściej zderzać się u starożytnych Rzymian. W czasach dużo wcześniejszych otyłość była symbolem władzy i dobrobytu. W kulturze republiki i cesarstwa sytuacja wyglądała już zgoła inaczej – nadmierna masa ciała nie była dobrze postrzegana. Aristokracja lepiej czuła się przy wskaźniku BMI w granicach normy. Z kolei wyższe sfery lubowały się w luksusie i przepychu. Zbitka tych dwóch skrajności musiała nieść niezdrowe konsekwencje. Takim skutkiem były vomitalia, czyli zabawy arystokracji, w czasie których pito i jedzono bez umiaru, a w momentach krytycznych używano pawiego pióra do spowodowania wymiotów, by po opróżnieniu żołądka móc oddawać się dalszym uciechom. Tego typu zachowania można łatwo zinterpretować jako żarłoczność psychiczną, czyli bulimię. Termin został opracowany przez Gallena. Tę jednostkę chorobową określił on jako zespół byczego głodu. Problemy wynikające z nadmiernego objadania i braku udziwnienia jego konsekwencji są oczywiście widoczne również w czasach dzisiejszych.

Anorexia mirabilis

Po okresie skrajnego obżarstwa i jego rekompensowania nastąpił z powrotem era ograniczeń. Wiek średni to czas ascezy i rezygnacji z uciech, jednak nie z pobudek zdrowotnych czy wizualnych, ale religijnych. Choć trendy związane z postem i nadawaniem mu znaczenia duchowego rozpoczęły się bliżej przełomu XIII i XIV w., to pierwszą śmierć głodową z wyżej wymienionych pobudek stwierdzono już w 383 r. po narodzeniu Chrystusa. Jej ofiarą padła matrona będąca pod wpływem nauk św. Hieronima z Strydonu. Kobiety w porównaniu do mężczyzn z powodu ograniczeń nie miały wielu możliwości kultywowania i praktykowania swojej religijności. Największymi darami, które mogły ofiarować Stwórcy, były post oraz zachowanie dziewictwa. Powstało nawet specjalne określenie, „Anorexia mirabilis”, czyli cudowny brak apetytu, który był bardzo pożądanym zjawiskiem w średniowiecznej Europie. Na ten temat powstało wiele opracowań. Pokazują one,

że ponad połowa świętych i błogosławionych kobiet z tego okresu wykazywała cechy przypisywane anorektyczkom. Jednym z pierwszych udokumentowanych przypadków była św. Wilgefortis, której życie miało przypadać na przełom VIII i IX w. Według legendy została ona skazana przez ojca na niechcianego męża. Zamknięta w lochu poddała się głodówce i ascezie. Wymodliła własne oszpecenie. Jej prośby miały zostać wysłuchane i na jej twarzy wyrosła długa broda. Niedoszły małżonek zląkł się i uciekł, a ojciec w złości rozkazał ukrzyżować córkę, która sprzeciwiła się jego woli. Niektórzy badacze zaliczają do grona głodzących się kobiet św. Katarzynę ze Sieny, która ponoć praktykowała tak surową ascezę w formie głodówek, że doprowadziła się do śmierci. Celem tego typu działań było udowodnienie, że żywić się można tylko miłosierdziem Bożym. Problem polegał na tym, że w wielu przypadkach to się nie udawało. Mimo szacunku do pobudek trudno nie oprzeć się wrażeniu, że efekt końcowy był bardzo zbliżony do tych, które generują zaburzenia żywieniowe.

W renesansie i następnych epokach zaobserwowano już coraz większe zależności między żywieniem a zdrowiem. Wiedza ta oczywiście zwiększała się z biegiem kolejnych lat. Jednak na początku ery oświecenia była jeszcze dość słaba. Obserwowano co prawda zależność między stanami obniżonego nastroju, apatii i innymi cechami wska-

zującymi na depresję a zanikającym apetytem. Jednak wciąż istniało mocne przeświadczenie, że kobietom z natury delikatnym i subtelnym nie przystoi jeść potraw ciężkich oraz kalorycznych. Stąd narastała maniera ograniczeń żywieniowych przez młode dziewczęta.

Jednostki chorobowe

Pierwszym pełnym opisem dolegliwości występujących w anoreksji pochwalić się mógł angielski lekarz Richard Morton. Opisał on w 1694 r. przypadek kobiety z utratą apetytu, wyniszczeniem organizmu oraz zaburzeniem miesiączkowania. Byłby pewnie odkrywcą tej dolegliwości, gdyby objawów tych nie sklasyfikował jako niewiadomej postaci gruźlicy.

XVIII i XIX w. to pierwsze definicje jednostek chorobowych, takich jak anoreksja i bulimia. Ta ostatnia klasyfikowana była jako napadowy głód z epizodami zwracania treści pokarmowej, a nawet utratą przytomności. Jednak wciąż traktowana była jako odmiana anoreksji. Pod koniec XIX w. anoreksję powiązano z zaburzeniami psychicznymi. Od tej pory nauka właśnie tym torem podąża w celu odkrywania przyczyn jej powstawania i realizacji leczenia.

Zaburzenia odżywiania są złożonym problemem o etiologii wielowymiarowej. Nie jest to jedynie problem kompleksów, choć tak został on spłycony we wstępie. Aktualnie wymienia się trzy czynniki generujące skłonności do zaburzeń odżywiania. Na jeden z nich nie mamy dużego wpływu, bo są to uwarunkowania genetyczne. Dwa pozostałe możemy jednak w pewien sposób kontrolować. Drugi czynnik wynikać może z okresu dzieciństwa, w którym dziecko staje się nadmiernie kontrolowane przed rodzicą. Zwłaszcza w sferze żywienia i regulacji masy ciała. Za dużą presję może generować u dziecka lęk przed jedzeniem i popychać w stronę anoreksji lub bulimii. Trzecie uwarunkowanie dotyczy społecznej idealizacji nadmiernie szczupłej sylwetki. Billboardy z umiśnionymi modelami i modelkami, wszechobecne porady, jak osiągnąć redukcję wagi, powodują niemal wymuszenie ograniczeń żywienia w najmłodszych pokoleniach. Mając na uwadze, że problem ten dotyczy przede wszystkim młodych dziewczyn, najlepszą prewencją jest prawidłowa edukacja w kontekście zdrowia i nawyków żywieniowych, ale bez wytwarzania nadmiernej presji.

Jedno z dzieł przedstawiających św. Wilgefortis, autor nieznan





KACPER
GROCHOWSKI

**OKRĘTY
TYPU KONGO
SŁUŻYŁY JAPONII
W DWÓCH
WOJNACH
ŚWIATOWYCH**

PANCERNIKI TYPU KONGO

– POCZĄTEK NOWOCZESNEJ JAPOŃSKIEJ FLOTY

Japońska marynarka wojenna przechodziła na początku XX w. etap dynamicznej rozbudowy i modernizacji. Silna flota miała stanowić filar suwerenności wyspiarskiego kraju. Wzorem dla marynarki cesarskiej była brytyjska Royal Navy, która wyznaczała standardy w wielu dziedzinach z zakresu budowy nowoczesnych okrętów wojennych.

Japończycy nie mieli wielkiego doświadczenia w konstrukcji jednostek o dużych rozmiarach i wyporności, wobec tego postanowili zamówić je w stoczni za granicą. Wybór padł na brytyjską firmę Vickers, której zlecono budowę krążownika liniowego Kongo, bazującego na zmodyfikowanym projekcie okrętu HMS Lion. Najistotniejsze wprowadzone względem oryginału zmiany to zwiększenie kalibru głównego uzbrojenia z 343 mm na 356 mm, a średniego ze 102 mm na 152 mm, zmniejszenie pancerza burtowego (by utrzymać prędkość okrętu pomimo zastosowania cięższych dział) oraz zmiana ustawienia trzeciej wieży artylerii głównej tak, by jej pola ostrzału na rufie nie ograniczał jeden z kominów kotłowni okrętowej. Wspomniane modyfikacje wpłynęły pozytywnie na możliwości okrętu, również Brytyjczycy zastosowali je w ostatnim swoim okręcie tego typu – HMS Tiger.

Kiedy na zamówionym okręcie Kongo trwały jeszcze prace wykończeniowe (wszedł do służby w sierpniu 1913 r.), w październiku 1912 r. Japończycy zawarli

z firmą Vickers umowę na zakup technologii budowy okrętu i podjęli decyzję o produkcji trzech kolejnych jednostek tego typu u siebie. Były to Hiei (w służbie od 1913 r.), Haruna i Kirishima (obydwa w służbie od 1915 r.). Brytyjczycy mieli dostarczać wykwalifikowanych pracowników do nadzoru procesu konstrukcyjnego oraz część materiałów i podzespołów. Był to w rozwoju cesarskiej floty kontrakt kluczowy. Pozwolił na pozyskanie technologii i doświadczenia potrzebnego do budowy dużych okrętów w przyszłości, szczególnie że jednostki typu Kongo były konstrukcjami nowoczesnymi, gdzie testowano wiele wcześniej niespotykanych rozwiązań.

W czasie I wojny światowej służba tych okrętów ograniczała się do zadań patrolowych na zachodnim Pacyfiku. Po zakończeniu wojny i wprowadzeniu traktatów ograniczających rozrost flot największych mocarstw, okręty typu Kongo systematycznie modernizowano, aby utrzymać ich zdolność bojową na jak najwyższym poziomie. Wyjątkiem był Hiei, który zgodnie z postanowieniami traktatu waszyngtońskiego został wycofany ze służby i przekwalifikowany na okręt szkolny. W połowie lat 30. XX w. Japonia wycofała się z „wakacji morskich” i rozpoczęła kolejną modernizację okrętów Kongo. Odbывała się ona w latach 1935–1941 i znacząco podniosła możliwości starych jednostek, m.in. wzmocniono opancerzenie, przedłużono rufę, wymieniono zespół napędowy, popra-

wiono obronę przeciwlotniczą i dodano katapulty wodnosamolotów. Również Hiei został zmodernizowany i przywrócony do służby liniowej.

Już wcześniejsze unowocześnienia sprawiły, iż okręty tego typu zaczęto klasyfikować jako pancerniki, a nie krążowniki liniowe. W ostatecznej formie Kongo miał wyporność 37 200 ton, długość 222 m i szerokość 31 m. Jednostka napędowa o mocy 136 000 KM pozwalała na uzyskanie prędkości 30 węzłów (ok. 55,5 km/h) i zasięg 10 000 mil morskich przy prędkości 18 węzłów (ok. 33,3 km/h). Pas opancerzenia miał grubość 203 mm, a uzbrojenie główne stanowiło osiem armat 356 mm, umieszczonych w czterech wieżach po dwa działa każda.

W czasie II wojny światowej okręty typu Kongo były intensywnie eksploatowane, brały udział w ataku na Pearl Harbor, w akcjach desantowych w pierwszej połowie 1942 r., w bitwie o Midway, a także w walkach o Wyspy Salomona czy bitwach na Morzu Filipińskim. Ostatecznie żaden z tych okrętów nie dotrwał do końca konfliktu.

Jako pierwszy zatopiony został Hiei, ciężko uszkodzony w listopadzie 1942 r. w czasie walk o Guadalcanal. Kilka dni później ten sam los spotkał Kirishimę. Dwa lata później, w listopadzie 1944 r., w rejonie Tajwanu Kongo został zatopiony przez okręt podwodny. Ostatni okręt, Haruna, posłało na dno amerykańskie lotnictwo podczas ataku na port Kure w lipcu 1945 r.

„PIERWSZY KRZYŻ KATYŃSKI”

ARCHIWUM
SEKCJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ



ROBERT
SZCZENIAK

Mimo wytężonych starań władz komunistycznych proces wymazywania z pamięci społecznej zbrodni katyńskiej i rzeczywistych jej sprawców nie powiódł się. Przejawem tego było m.in. powstanie tzw. Dolinki Katyńskiej na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. To właśnie tam od drugiej połowy lat 50. stawiano brzożowe krzyże, palono znicze oraz składano kwiaty i odręcznie napisane kartki. Działania te powodowały, że cmentarz znajdował się pod stałą kontrolą bezpieczeństwa, a „nieznani sprawcy” usuwali te skromne przejawy pamięci o pomordowanych oficerach.

Kiedy w 1979 r. po raz kolejny „nieznani sprawcy” zabrali brzożowy krzyż z Dolinki Katyńskiej, władze Konspiracyjnego Komitetu Katyńskiego, utworzonego m.in. przez ks. Wacława Karłowicza i Stefana Melaka, podjęły decyzję o trwalszej formie upamiętnienia polskich oficerów zamordowanych na Wschodzie. Pomnik zaprojektowali ks. Karłowicz, Stanisław Soszyński oraz Arkadiusz Melak. Miał on składać się z 4,5-metrowego granitowego krzyża z datą „1940” i orłem w koronie, tablicy z napisem „Katyń” oraz literami „WP”, a także słupków z nazwami

miejsowości, w których znajdowały się obozy NKWD. Ostatecznie z powodu trudności ze zdobyciem odpowiedniej ilości materiału zmniejszono rozmiary krzyża. Przygotowanie pomnika odbywało się w ścisłej konspiracji. Wykonanie poszczególnych elementów zlecano różnym rzemieślnikom. Kiedy pomnik był już gotowy, zastanawiano się, jak dostarczyć go na stale obserwowany przez SB cmentarz. Ostatecznie zdecydowano się na wykorzystanie śmieciarki MPO, która mogła wjechać na teren nekropolii i zazwyczaj nie była kontrolowana. Do montażu pomnika przystąpiono 31 lipca 1981 r. Wszystko trwało ok. dwóch godzin. Mniej więcej po godzinie na miejscu pojawili się funkcjonariusze SB, którzy swoje działania ograniczyli do robienia zdjęć i filmowania prac. Dopiero w nocy esbecy oraz milicjanci, jak ustalono później, 10. Kompanii Operacyjnej ZOMO, z wykorzystaniem ciężkiego sprzętu usunęli wszystkie elementy pomnika i wywieźli w bliżej nieznane miejsce. Należy jesz-

cze nadmienić, że w sprawie pomnika interweniowała również ambasada sowiecka. 1 sierpnia o kradzieży monumentu powiadomiono prokuraturę, która wszczęła śledztwo. Jak należało przypuszczać, działania poszukiwawcze nie przyniosły rezultatu i sprawa została umorzona.

Wydawało się, że pomnik został zniszczony i przepadł bezpowrotnie, jednak w lipcu 1989 r. jego elementy zostały podrzucone na wojskowych Powązkach. Po kilku latach starań monument miał ponownie stanąć na pierwotnym miejscu w Dolice Katyńskiej. 31 lipca 1995 r. pierwszy pomnik upamiętniający zbrodnię NKWD na polskich oficerach m.in. w Katyniu został ponownie odsłonięty.

Ślady opon samochodu, którym wywieziono z cmentarza Powązkowskiego elementy pomnika katyńskiego



FOT. APN



Od lewej: fotograf Andrzej Wiktor, Dariusz Sierhej, Antoni Librowski i dyrektor artystyczny Michał Korsun

Fotograficzne sesje dotyczące egzekucji zawsze są trudne. Mimo jej umownego charakteru na planie zawsze pojawiają się smutek i bliżej nieokreślone uczucie dyskomfortu. To drugie z pewnością spowodowane jest obecnością niemieckich mundurów SS, które mają wpisaną – to już dawno zauważyłem z Andrzejem Wiktorem – ponadczasową aurę mroku. Dlatego gdy dodatkowo na planie są jeszcze dzieci i temperatura zbliżona do 0 st. Celsjusza, każdy marzy, żeby mieć projekt już za sobą. Tak na marginesie, to druga nasza sesja poświęcona egzekucji Polaków za ukrywanie Żydów, z tą różnicą, że wtedy było -10 st. Celsjusza. Temat aktualnej okładki, a zarazem dodatku IPN-u, poświęcony jest egzekucji wielodzietnej rodziny Ulmów. Uprzedzając krytyczne komentarze czujnych purystów historycznych, chciałbym ich rozczarować. Doskonale wiem, że Ulmowie zostali zabici na zewnątrz budynku, że Wiktor Ulma w agonii urodziła dziecko, że dzieci na zdjęciu są w innym wieku. Skąd te świadome nieścisłości? Finalne zdjęcie ma być uniwersalnym symbolem tragedii wszystkich rodaków z polskich wsi, którzy w nieludzkich czasach zachowali człowieczeństwo, jednocześnie dając świadectwo najważniejszych chrześcijańskich wartości.

W roli oficera SS wystąpił Dariusz Sierhej, z którym mieliśmy już przyjemność pracować. Od kilku lat jest zawodowym zawodnikiem MMA, dodatkowo swoich sił próbuje na dużym i małym ekranie. Grał w takich filmach jak: „Dziewczyny z Dubaju”, „Jak

zostałem gangsterem”, „Pęta”, „Pitbull” czy „Johnny”. W SS-mana wcielił się 19-letni Antoni Librowski, który prywatnie jest drużynowym 145 WDH Impeesa. Bakcyła rekonstrukcji odziedziczył po ojcu Adamie, weteranie grupy GRF Bemowo. Leżący mężczyzna to Michał Kępiński, epizodysta, rekonstruktor i właściciel Agencji Artystycznej „Retro-Pasje”. Okładki, które współtworzył – czy to w roli bohatera zdjęcia, czy użyczając kostiumy – już dawno przekroczyły tuzin. Kobiety i dzieci na planie to też profesjonaliści. Tu warto wspomnieć, że Zuzia Szerszeniewska (dziewczyna przy kołysce), jej mama, siostra i brat byli na jednej okładce „wSieci Historii”. Krysia i Sabinka Kiełbasińskie z mamą Katarzyną (i braćmi Radkiem, Igorem oraz Stefanem) zaczęli przygodę z rekonstrukcją prawie siedem lat temu w Grupie Rekonstrukcji Historycznych „Dzieci Mokotowa” przy Szkole Podstawowej nr 98 z Oddziałami Integracyjnymi im. Lucy Maud Montgomery. Teraz kontynuują oni przygodę z rekonstrukcją w Grupie Rekonstrukcji Historycznych Ludności Cywilnej. Obie grupy były założone i prowadzone przez nauczycielkę plastyki Małgorzatę Retkowską. Cała sesja dzięki uprzejmości Mirosława Markowskiego, dyrektora Kampinoskiego Parku Narodowego, odbyła się na terenie Skansenu budownictwa puszczańskiego we wsi Granica k. Kampinosu. Wnętrze historycznej chaty z zagrody wiejskiej swój etnograficzny urok zawdzięcza Beacie Bąk, która wraz z Dorotą Matuszyk pomogły w realizacji sesji, za co serdecznie dziękuję.

MICHAŁ KORSUN



Drewniane budownictwo ludowe...



...Skansenu budownictwa puszczańskiego w Granicy



Dariusz Sierhej
jako oficer SS



Szkic
koncepcji



Zuza Szerszeniewska
przy nadziei



Sabina i Krysia
Kielbasińskie



Rozmowa kolegów
– Antoni Librowski
i Dariusz Sierhej



Casting
lalek



Ich mama – Katarzyna
Kielbasińska u góry
po prawej



Michał Kępiński
także w roli stylisty



Najmłodsze
„dziecko”

Jednym z najbardziej spektakularnych wyczynów polskiego lotnictwa jest przelot kpt. Stanisława Skarżyńskiego nad południowym Atlantykiem. Do tego celu przeznaczono specjalnie zbudowany samolot RWD-5bis, długodystansową wersję sportowej awionetki RWD-5. Samolot startował w kategorii II ówczesnej klasyfikacji Międzynarodowej Federacji Lotnictwa (FAI), czyli maszyn jednomiejscowych o wadze do 450 kg. Przy klasyfikowaniu brano pod uwagę masę samolotu bez pilota, bagażu, paliwa i oleju.

Seryjny RWD-5, produkowany w Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych, ważył 460 kg. Z dodatkowymi zbiornikami paliwa jego masa znacznie wzrosła, co wymusiło gruntowną przebudowę całego samolotu. Usunięto wszystko, co nie miało bezpośredniego wpływu na bezpieczeństwo lotu. Nie zainstalowano radiostacji, gdyż najłżejsze modele ważyły 60 kg. Nie zabrano spadochronu, który mógłby utopić pilota przy wpadnięciu do morza. Zrezygnowano z tratwy ratunkowej, gdyż samolot po zużyciu 75 litrów paliwa (trzy godziny lotu) powinien móc się unosić na wodzie. Dodatkowo pilot na fotelu miał gumową dmuchaną poduszkę, która mogła zastąpić ponton. Poduszka ta, wraz z podłokietnikami i podkładkami pod stopy, miała poprawić komfort 20-godzinnego pilotażu, szczególnie uciążliwego dla kpt. Skarżyńskiego, rannego w nogę podczas wojny polsko-bolszewickiej. Wyciszono też kabinę pilota, gdyż samolot, w celu zwiększenia mocy silnika, został pozbawiony tłumika wydechu. Zrezygnowano z oświetlenia kabiny – pilot odczytywał przyrządy przy świetle nagłownej latarki. Wszystkie te prace sprawiły, że RWD-5bis w stanie suchym ważył zaledwie 446 kg. Tak niską masę osiągnięto pomimo zamontowania 300-litrowego zbiornika paliwa zamiast fotela pasażera oraz dwóch 113-litrowych zbiorników w skrzydłach, dublujących standardowe zbiorniki (2 x 113 litrów).

Faktyczny cel przelotu utrzymywano w ścisłej tajemnicy, zarówno przed przedstawicielami wojska, jak i przed prasą. Nieudana druga próba przelotu Ludwika Idzikowskiego i Kazimierza Kubali przez Atlantyk (1929), zakończona śmiercią Idzikowskiego, spowodowała zakaz lotów transatlantyckich. Tragiczna śmierć Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury (1932) jeszcze zaostriżyła niechęć władz lotniczych do rekordowych przelotów.

Samolot kpt. Skarżyńskiego na wystawie LOPP pt. „Przyroda, Zdrowie i Opieka Społeczna” w Warszawie, październik 1933 r.



FOT. MAC

W GARNITURZE PRZEZ ATLANTYK

N
A
C

Oficjalnie Skarżyński miał pobić rekord długości lotu na trasie Lyon–St. Luis w Senegalu. W tym celu wyznaczono nawet specjalnych komisarzy FAI, mających potwierdzić rekord. Mimo to nie udało się powstrzymać ciekawskich dziennikarzy, których trzeba było nieustannie zwodzić. Skarżyński celowo unikał rozgłosu, wiedząc, że nie sprzyja on rekordowym przelotom.

Dopiero na krótko przed odlotem Skarżyński ujawnił przed francuskim komisarzem swój prawdziwy zamiar i po długich rozmowach przekonał go do zezwolenia na lot przez Atlantyk. Jeszcze tylko komisyjne zważenie maszyny, przy którym początkowo reszta paliwa zawyżyła wynik, i RWD-5bis został dopuszczony do bicia rekordu. Wystartował 7 maja 1933 r. o godz. 22.00, aby nocny lot nad oceanem przypadł na porę, kiedy pilot nie będzie jeszcze zmęczony. Skarżyński do lotu założył garnitur zamiast lotniczego kombinezonu, licząc się z wysokimi temperaturami na trasie przelotu. Po 20 godzinach lotu wylądował w Maceio w Brazylii. Na lotnisku nikt go nie witął, a gdy ujawnił miejsce, z którego przyleciał, początkowo mu nie wierzono. Potwierdziła to dopiero depesza z informacją, że mały samolot

o znakach SP-AJU faktycznie leci z Senegalu. Na całej 3000-kilometrowej trasie lotu Skarżyński zboczył z kursu o zaledwie 15 km, mimo posługiwania się jedynie prostymi przyrządami nawigacyjnymi.

Po wylądowaniu odbył tournée po Ameryce Południowej, owacyjnie witany przez tamtejszą Polonię. Potem na pokładzie statku wraz ze swoją maszyną dopłynął do Boulogne. Stamtąd przeleciał do Łodzi na krótki odpoczynek. Następnie wziął udział w licznych uroczystościach państwowych.

Awansował na majora. Jego samolot, zwany „Amerykanką”, był eksponowany na wielu wystawach, a następnie, po przebudowaniu na standardową wersję dwumiejscową, ofiarowany pilotowi. Po wybuchu wojny maszyna została zagarnięta we Lwowie przez wojska sowieckie. Stanisław Skarżyński przez Rumunię i Francję dotarł do Anglii. Służył na własną prośbę jako pilot w 305 Dywizjonie Bombowy. Zginął 26 czerwca 1942 r., wracając z nalotu na Bremę.

Rekord Skarżyńskiego utrzymał się aż do 2012 r., kiedy pobił go słoweński pilot Matevž Lenarčič na maszynie Pipistrel-Virus, ważącej zaledwie 300 kg.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

DRUH „MOTEK” – HARCERZ I ŻEGLARZ



MICHAŁ
TOMASZ
WÓJCIUK

SĄ LUDZIE, KTÓRYCH DROGA ŻYCIOWA WIŁA SIĘ W ZADZIWIAJĄCY SPOSÓB, PROWADZĄC PRZEZ PIEKŁO DO CZASÓW, GDY MOGLI SPEŁNIAĆ SIĘ W REALIZOWANIU PASJI. JEDNĄ Z TAKICH OSÓB BYŁ DRUH TYMOTEUSZ DUCHOWSKI „MOTEK” (1928–2014). CIĘŻKO STREŚCIĆ JEGO ŻYCIE JEDNYM ZDANIEM, CHOĆ TRUDNO NIE ZAUWAŻYĆ, ŻE BYŁO ZWIĄZANE Z WODĄ: HARCERZ, TECHNIK TEATRALNY, SPORTOWIEC, PROJEKTANT URZĄDZEŃ WODNYCH, ŻEGLARZ, EGZAMINATOR, SĘDZIA, INSTRUKTOR, KAPITAN ŻEGLUGI WIELKIEJ, DZIAŁACZ SPOŁECZNY



Łącznicy kanałowi, tzw. szczury kanałowe, na podwórku bloku przy ul. Krasińskiego 20, sierpień–wrzesień 1944 r.; obok opaska należąca do nieznanego powstańca

Był postacią niezwykłą, której całe życie przesiąknięte było etosem harcerstwa. Dzięki jego staraniom na ekspozycji stałej Muzeum Powstania Warszawskiego, przy replce kanału, został zamontowany plan warszawskiej sieci kanałowej pozwalający zwiedzającym zrozumieć trudności, z jakimi musieli się zmierzyć powstańcy i cywile. Ponadto muzeum zawdzięcza „Motkowi” ogromny zbiór depozytów, wśród których znajduje się biało-czerwona opaska z napisem „Mafeking” i harcerską lilijką. Jest to jedyna taka opaska w zbiorach MPW, można ją oglądać na ekspozycji.

Służba harcerska sięgała do tradycji brytyjskiego skautingu, który narodził się podczas ośmiodziiesięcioletniej obrony twierdzy Mafeking, gdzie 2 tys. Brytyjczyków oparło się 8-tysięcznej armii Bu-
rów. W czasie walk wyróżnili się kilkunastoletni chłopcy służący w oddziałach pomocniczych jako kurierzy, wartownicy i sanitariusze. Podobna sytuacja zaistniała w powstaniu warszawskim.

Wojna dopadła „Motka”, kiedy miał 11 lat. Szkołę podstawową skończył już podczas okupacji na tajnych kompletach. W czerwcu 1942 r. został wciągnięty do konspiracji. Od listopada 1943 r. działał w 48. Warszawskiej Wodnej Drużynie Zawiszy. W powstaniu warszawskim służył w plutonie 227 Zgrupowania „Żyrafa” na Żoliborzu. Pracował jako łącznik, tzw. szczur kanałowy. Został ciężko ranny w nogę 3 sierpnia. Wielokrotnie przechodził kanałową trasę z Żoliborza na Stare Miasto i na Śródmieście, przenosząc meldunki i rozkazy. Po latach wspominał: „Podzielono nas na patrole dwu–trzyosobowe i o określonych godzinach wychodziлиśmy, wracaliśmy, nocowaliśmy w Śródmieściu, różnie to bywało w zależności od harmonogramów i poleceń. Nosiliśmy przede wszystkim meldunki i z powrotem rozkazy”. Służba łącznika kanałowego, wielokrotne taplanie się w nieczystościach, fekaljach i innych brudach nie mogły nie odcisnąć się na zdrowiu 16-latk. „Dostałem wrzodów na nogach i temperaturę sięgającą chwilami czterdziestu stopni, praktycznie ostatnie dni przeleżałem na kwaterze w charakterze prawie nieboszczyka” – wspominał „Motek”. Przeżył. Po kapitulacji Żoliborza został zabrany przez Niemców i przewieziony do Dulagu 121 w Pruszkowie. Z obozu został skierowany do Końskich, później do Tomaszowa Mazowieckiego, Słomnik i Trątnowic, gdzie doczekał końca wojny.

Po wojnie skończył Państwowe Liceum Technik Teatralnych w Warszawie, dwa lata pracował w stołecznym Teatrze Wielkim. W 1960 r. skończył Politechnikę Warszawską ze specjalnością magister inżynier budownictwa wodnego. Pracował w biurze projektowym. Zaprojektował ponad 40 obiektów, takich jak ujęcia wody bądź stacje uzdatniania wody. Hobbystycznie zajmował się żeglarstwem i bojerami. Działał w Harcerskim Ośrodku Wodnym ZHP, Yacht Klubie Polska i Centralnym Wojskowym Klubie Sportowym „Legia” Warszawa. Zasiadał na kierowniczych stanowiskach w różnych gremiach szkoleniowych. Zajmował się organizacją kursów i egzaminów na stopnie żeglarskie i instruktora żeglarstwa. Od 1972 r. przewodniczył Głównej Komisji Żeglarstwa Lodowego. Był współautorem podręcznika „Wiadomości o żeglarstwie” (Warszawa 1975). Opracował polską wersję „Przepisów regatowych klasy DN” oraz „Przepisów klasowych klasy DN”. Był autorem regulaminów i programów szkolenia oraz instrukcji przeprowadzania szkolenia i egzaminów na stopnie żeglarza, sternika oraz instruktora żeglarstwa lodowego. Sprawował funkcję sekretarza Floty Polskiej DN (bojery, żeglarstwo lodowe). Jako sędzia główny czuwał nad regatami w klasie DN na mistrzostwach świata, Europy i Polski. Kilka razy przewodniczył polskiej ekipie regat w klasie DN na mistrzostwach Europy. Realizując pasje żeglarskie, nie zapomniał o powstaniu warszawskim. Popularyzował wiedzę o nim jako autor i współautor publikacji: „Żoliborski pluton Szarych Szeregów” (z Romualdem Augustyniakiem, Warszawa 1975), „Kanały: trasy łączności specjalnej (kanałowej) Powstania Warszawskiego” (Warszawa 2003) oraz „Kanały” (Warszawa 2014).

Materiał przygotowany
przez zespół Muzeum
Powstania Warszawskiego



Muzeum Powstania
Warszawskiego

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825